

częstochoowski magazyn literacki Towarzystwa Galeria Literacka





Altea Leszczyńska:bez tytułu, fotografia cyfrowa

styczeń – marzec 2019

SŁOWO OD REDAKCJI

Bogdan Knop, „Galerii” romans z mową 3

POŻEGNANIA

Magdalena Kmieć, „Na skraju melodii...”

Małgorzata „Balbina” Sętowska (1954–2019) we wspomnieniach 4

Zbigniew Myga, Marię znałem od zawsze..... 8

WYDARZENIA

Kalendarium: styczeń–marzec 2019 r. 11

Barbara Strzelbicka, Wyjątkowy Wieczór z Galerią 13

Janusz Mielczarek, Krótki komentarz do ważnego wydarzenia 15

Barbara Strzelbicka, Wybitni Częstochowianie 17

LAURÓW WIENIEC

Ukraińska nagroda

ROZMYŚLANIA ZBISŁAWA JANIKOWSKIEGO

Zbysław Janikowski, Rozmyślania o rozmyślaniu 21

Zbysław Janikowski, Wieczór sylwestrowy 22

POEZJABożena Gorska, Iluminacja, *Nevermore* 26Beata Skulska-Papp, *Pieśń epizodu* 27Jacek Gierasinski, *Samoświadomość* 30Elżbieta Jeziorowska-Wróbel, *Miłość do życia* 31Anna Jędryka, *Ogrody marzeń* 33Artur Gielezy, *Wiersze* 35Maciej Rudlicki, *Czysta krew* 36Małgorzata Franc, *Bez makijażu* 38**PROZA**Bogdan Knop, *Podróż* 40Jakub Bartecki, *Szyby, Dziupla* 42Paulina Wysocka-Morawiec, *Most* 46Ida Jadwiga Łubińska, *Imię* 50Wiesława Owczarek, *Pela* 54**CONVERSATIO**

Rozmowy o polskiej mowie. Z Bohdanem Zadurą rozmawia

Barbara Strzelbicka 58

SZKICE, ESEJE, RECENZJERoman Wyborski, *Rzecz o mowie czci* 63Elżbieta Jolanta Gola, *Niezwykła, niezapomniana...* 66Barbara Strzelbicka, *Album o Częstochowie i okolic* 3

Barbara Strzelbicka, Janusz Mielczarek – twórca wielu narracji 71

Arkadiusz Frania, *Poeta odnaleziony?* 75

Na okładce: Jacency Dędek, portretprovincji.pl

CZĘSTOCHOWA Publikacja dofinansowana ze środków budżetu Gminy Miasta Częstochowy w ramach otwartego konkursu ofert na realizację w 2019 roku zadań publicznych z zakresu kultury i sztuki, dziedzictwa narodowego oraz upowszechniania kultury.

Z NOTATNIKA MAŁGORZATY N-K
 Małgorzata Nowakowska-Karczewska, *Kobieta* 77
HISTORIA W GALERII
 Jarosław Kapsa, *Apostata w zaplątaniu* 85
WIDZIANE Z GALERII
Subiektywna kronika wypadków kulturalnych 95

 Barbara Strzelbicka, *Koniec roku w rytmie flamenco* 95

 Barbara Strzelbicka, *Opera nieliniarna* 95

 Tomasz „Aztenty” Barański, *Książka o Częstochowie* 96

 Barbara Strzelbicka, *Urbex w Częstochowie* 96

 Barbara Strzelbicka, *Koncert krzepiący serca* 96

 Barbara Strzelbicka, *Zbislaw Janikowski rozmawiał z... Galerią* 97

Barbara Strzelbicka, „Słowa i definicje” w „Niedzieli” 97

CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI
 Tymoteusz Werner, *Czenstochoviana z księgarskiej półki* 99

 Józef Witwicki, *Zapach słońca, Zapach słońca. Marzenie* 99

 Stanisław Zieliński, *Bitwy i potyczki 1863-1864* 100

 Marian Falski, *Elementarz* 101

 Wojciech Postuła, *Polska biżuteria patriotyczna i pamiątki historyczne XIX i XX wieku* 102
NOTY O KSIĄŻKACH

Noty o książkach

Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie. Księga jubileuszowa z okazji 60-lecia działalności Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie 103

 Jolanta Szwarz, *Między wczoraj a dzisiaj* 103

 Stanisław Szwarz, *Tańce do końca* 103

Książki nadesłane

 Bogdan Knop, *Dwie książki z Poznania* 104
ZAPISKI GALERJANA
 Jan Ciesielski, *Reminiscencje po czytaniu Kropek Mariana Panka* 105
FOTO GALERIA

Jacenty Dędek 107

 Janusz Mielczarek, *Uroki prowincji* 108
NOTY O AUTORACH

Artur Gielezy 36

Jakub Bartecki 45

Paulina Wysocka-Morawiec 49

Jacenty Dędek 107

„GALERII” ROMANS Z MOWĄ

Niech wasza mowa będzie: Tak, tak; nie, nie. A co nadto jest, od Złego pochodzi” – ten fragment z Ewangelii św. Mateusza jest powszechnie znany, głoszony i cytowany, ale wcale nie wiadomo, czy dobrze rozumiany, a na pewno wiadomo, że prawie nie stosowany. Mottem numeru 49. Częstochowskiego Magazynu Literackiego „Galeria” jest mowa. Mowa codzienna, mowa uroczysta, mowa ciała, mowa nienawiści, nowomowa, zwana kiedyś mową-trawą – oto kilka przykładów powiązań mowy z życiem. „Galeria” swój romans z mową zaczyna od wywiadu, który z wybitnym poetą, tłumaczem i eseistą, a ostatnio naszym gościem – Bohdanem Zadurą, przeprowadziła Barbara Strzelbicka. Ten początek znajdzie kontynuację w kolejnych numerach i kolejnych wywiadach Barbary Strzelbickiej, a może wywoła odzew szerszy i otworzy dyskusję na łamach naszego kwartalnika, bo temat mowy, języka, stanowi klucz do rzeczywistości. Tylko w języku (mowie) istniejemy świadomie, nie tylko tworzymy, ale i postrzegamy. Rozpiętość zaś dziedziny językowej osadzam na dwóch cytatach: „Co w świecie pozostaje, ustanawiają poeci” (Hölderlin) i „O czym nie można mówić, o tym należy milczeć” (Wittgenstein). Tu stawiam średnik (ze względu na kontynuację) i przechodzę do spraw bieżących, czyli zawartości numeru 49.

Z powodu zawartych w nim wspomnień o zmarłych: Małgorzacie „Balbinie” Sętowskiej, Marii Ogłazie i Natalii Jakubowskiej, jest to numer nieco nostalgiczny. Dużo miejsca poświęcamy bieżącym wydarzeniom kulturalnym, w organizacji których uczestniczyliśmy bądź jesteśmy związani z ich bohaterami – a takich było sporo. Osobna uwaga należy się krótkiej, lecz istotnej wzmiance o nagrodzie, przyznanej Bohdanowi Zadurze oraz Oldze

Wiewiórze i niżej podpisanemu – tym bardziej, iż jest to swoista kontynuacja wątku relacji polsko-ukraińskich, w których istotę stara się wniknąć w swoim tekście Jarosław Kapsa. Prezentujemy debiuty prozatorskie: opowiadania Pauliny Wysockiej-Morawiec i Jakuba Barteckiego, poetycko debiutują na łamach „Galerii” Beata Skulska-Papp i Artur Gielezy, są także recenzje – w tym wierszowana – wydanych niedawno lub wznowionych książek. Jedną z nich, o czym pisze Tymoteusz Werner, to wyjątkowy podręcznik, zasłużony dla kształcenia sprawności w posługiwaniu się językiem polskim.

Tradycyjnie, ze względu na marzec, nie zabrakło akcentów kobiecych, obecnych nie tylko we wspomnieniach: Małgorzata Nowakowska-Karczewska odnajduje je w poezji, Wiesława Owczarek umieszcza w przyszłości, Ida Łubińska – w bliskiej przeszłości, a Altea Leszczyńska przedstawia na fotografiach. Esej Romana Wyborskiego w wyrafinowany sposób łączy wątek kobiecy z wątkiem mowy.

Dziękuję za udostępnienie prac Jacen-temu Dędkowi, wybitnemu fotografowi, którego sylwetkę prezentujemy.

Nie chcąc dublować spisu treści, dziękuję za wszystkie teksty naszym nieocinionym Autorom, zachęcam do ich lektury i do rozważań na temat mowy, którymi mogą się Państwo podzielić na łamach „Galerii”.

Redaktor Naczelny – Bogdan Knop

Magdalena Kmiciek

NA SKRAJU MELODII...
MAŁGORZATA „BALBINA” SĘTOWSKA (1953-2019)
WE WSPOMNIENIACH

Na skraju melodii tańczyła ważka
 Widziałam melodię, jak widać igraszkę –
 Bez skrzydeł, wody i plusku
 W złocie prostoty...
 (Małgorzata Sętowska, *Melodia*, 2012)

2 lutego 2019 roku smutno zabrzmiała ta *Melodia* – pożegnaliśmy Małgosię. Udała się w bezpowrotną podróż – ale tajemnica krainy, do której odeszła – napęliła nas nadzieją, że będzie to jej kolejna piękna przygoda.

Małgorzata Sętowska – Balbina – malarka, bajkopisarka, performerka, pedagog, propagatorka kultury wśród dzieci, ale przede wszystkim matka, żona, przyjaciółka – Wspaniały Człowiek. Trudno pisać o niej „była” – bo ciągle jest, bo słyszę ją i widzę, jak pracuje, jak się śmieje, jak zatroskana opowiada o swoich bliskich. Zawsze szczerza i autentyczna! Mówiła o sobie „Jestem, jaka jestem... i nie zamierzam się zmieniać..., może gdzieś, coś, kiedyś..., ale to będzie już całkiem inna bajka”. Kilka ostatnich lat prawie się nie rozstałyśmy – Balbinka, Ewa i ja. Łączyła nas praca, projekty malarskie, plenery, wystawy, wycieczki artystyczne, zabawa i... wyjątkowa bliskość dusz, wrażliwość, pasja i piękno.

Jeszcze rok temu, podczas plenerowych spacerów w Złotym Potoku, podziwialiśmy zjawiska światła w przyrodzie, kolorów ziemi i wczesnowiosennej przyrody w alei akacjowej. Chwaliliśmy piękno życia przy Źródłach Miłości. Dotykałyśmy kory starych drzew w nadziei, że zdradzą nam tajemnicę długowieczności. Karmiłyśmy kaczki nad Irydionem rozmawiając o historii pałacu i jego mieszkańców, o odbiciach w wodzie, o trwaniu i o przemijaniu...

...Ja minę
 Ty miniesz
 Przeminiemy
 miłość mija
 woda źródłana płynie
 wiatr wieje
 zapach wiosny
 nad mijającą barwą jedwabiu
 nie minie.

(Małgorzata Sętowska, *Przemijanie*, 2012)

Spotkałyśmy się 5 lat temu w pracowni malarstwa prof. Włodzimierza Karankiewicza. Zrządzeniem losu znalazłyśmy się tam w jednym czasie: Małgosia, Ewa Powroźnik i ja – studentki malarstwa II stopnia na Wydziale Sztuki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie. Czas studiów bardzo nas zbliżył – zawiązała się między nami głęboka

przyjaźń. Przyglądałam się, jak Balbinka porusza się w materii malarstwa. Choć nieustannie powtarzała, że dotychczas malowała tylko pastelami i w tej technice lubi pracować, że malarstwa akrylami nie czuje, to jej prace, które powstawały w pracowni – martwe natury, akty – abstrakcyjne w formie i kolorze, były dla mnie odkrywcze i niedoścignione. Podziwiałam jej delikatne pastelowe pejzaże i kwiaty, portrety dzieci i... lalek, pajacyków, misiów – była mistrzynią! Baśniowy świat dziecka żył w niej, inspirował i dodawał urody codzienności. Marian Panek w artykule *Baśniowość sztuki Małgorzaty „Balbiny” Sętowskiej* („Jasne, że Częstochowa” nr 52, 2016) napisał: „Sętowska upodobała sobie tę przestrzeń i wprowadziła organicznie do swojej malarskiej, literackiej, teatralnej kreacji. Na swych obrazach personifikuje baśniowe postacie, nadając im zindywidualizowany charakter. Koncentruje się na ich twarzach, ubrankach, kostiumach, które potęgują wrażenie przebywania na scenie bajkowego teatru. Jest w tych przedstawieniach także refleksja i zaduma nad czasem, przemijaniem. Specyficzny sposób obrazowania Małgorzaty



„Na pomoście” – Małgorzata Sętowska na Biennale w Wenecji 2017, foto Magdalena Kmiecik



„Tercet” – Festiwal „Bieguny Kultury” w Nowej Rudzie 2015, od lewej: Magdalena Kmiecik, Małgorzata Sętowska, Ewa Powroźnik, foto Magdalena Kmiecik

Sętowskiej pozwala nam ponownie zajrzeć za kurtynę dziecięcego teatru wspomnień. Księżycowe, oniryczne światło dopełnia zjawiskowość wyobrażeń malarskich, które są bez wątpienia ucieleśnieniem ludzkiej tęsknoty za utraconym – niestety – rajem naszego dzieciństwa. Artystka w swoim indywidualnym stylu potrafi nadać magiczny, liryczny charakter uśmiechom, zdziwieniom, niepokojom czy zadumie portretowanych postaci”.

Te słowa opisują nie tylko twórczość Małgosi, ale także jej osobowość – emanowała z niej ciepło, była pełna pomysłów, skora do zabawy, ale i bardzo refleksyjna. Na plenerach obserwowałam ją przy pracy nad pastelami – w pozycji siedzącej, przygarbiona, z blokiem na kolanach, wyczarowywała – z rozrzuconych na kanapie kredek – ulotne, delikatne i niezwykle ciepłe obrazy.

Małgorzata Sętowska swoją artystyczną przygodę rozpoczęła już we wczesnym dzieciństwie. Jej talenty i zamiłowanie do sztuki kształtowały się w domu rodzinnym, kiedy to obserwowała pracę mamy, znanej ze znakomitych kopii dzieł wielkich malarzy, i odwiedzała pracownię malarską kuzynki Janiny Plucińskiej. Potem był częstochowski „Plastyk”, pedagogika opiekuńcza z wychowaniem plastycznym w Wyższej Szkole Pedagogicznej i dyplom z Malarstwa w Akademii im. Jana Długosza (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie). Przez 30 lat pracowała jako nauczycielka plastyki, prowadząc jednocześnie warsztaty środowiskowe dla dzieci w ramach Polskiego Stowarzyszenia Edukacji Plastycznej oraz lekcje otwarte dla nauczycieli.

Jej twórczość skierowana była głównie do dzieci. Namalowała cykle obrazów: „Świat dziecięcej wyobraźni”, „Lalki, misie, pajacyki i dzieciaków portreciki”, „W sklepie z zabawkami”; także w pracy dyplomowej – w Katedrze Malarstwa AJD – pojawił się jej

ulubiony temat: *Zabawki dziecięce – forma, ilustracja, interpretacja*. Cykl prac malarских wzbogacony był poezją jej autorstwa i instalacją z jej prywatnej kolekcji lalek. Opowiadała często o prowadzeniu zajęć z dziećmi – podziwiała ich fantazję i zaangażowanie w pracy nad zadanymi tematami. Słuchałam i myślałam – jak bardzo twórcza jest w tej pracy! Jej kreatywne pomysły potrafiły skupić uwagę nawet największych urwisów – niosła inspirującą pomoc i cierpliwość. Poprzez zabawę zarażała sztuką! Anna Maciejowska w tekście *Malarski Świat Lalek Małgorzaty Balbiny Sętowskiej* stwierdza: „Przez ćwierć wieku pracy pedagogicznej (...) pochylała się z wielką uwagą i sercem nad każdym młodym podopiecznym. Z im bardziej wrażliwą i skomplikowaną naturą dziecka miała do czynienia, tym głębiej starała się w nie wniknąć, zrozumieć, otoczyć opieką. Zatem poprzez rozbudzenie estetyczne otwierała w dziecku świat jego najintymniejszych przeżyć, intelektualnie ubierała to w wykreowane słowo bajki. I ostatecznie jej i dziecka wyobrażenia stykały się tam, gdzie powstawały – prawie imperatywnie – baśniowe »scenki z lalkami«”. Balbina tworzyła je jako ilustracje do własnych opowieści, ale wkrótce jako samodzielne obrazy.

Gosia tworzyła także piórem, była autorką wielu bajek, wierszyków i baśni dla dzieci. Swoją twórczą pasją dzieliła się na spotkaniach autorskich w szkołach i przedszkolach, biorąc udział w akcjach plastycznych oraz warsztatach literackich dla dzieci w ramach międzynarodowego programu „Wychowanie przez twórczość”, a także podczas „Dni Książki i Literatury”, zachęcając dzieci do wyrażania swoich uczuć w malarstwie i pisaniu. Była współzałożycielką Stowarzyszenia „SZANSA – pomoc dzieciom”, pomysłodawczynią i współorganizatorką Międzyszkolnego Konkursu Recytatorskiego „Brzechwałki”, jurorką wielu konkursów literacko-plastycznych w ramach programu Rzecznika Praw Dziecka. Wygłaszała też referaty na konferencjach „Akademia Szczęśliwego Dzieciństwa – W kręgu słowa, barwy i wyobraźni”, organizowanych przez Wojewódzki Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli.

Wiele lat była członkiem Zarządu Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza. Należała także do Klubu „Koloryt” przy Częstochowskim Oddziale ZNP i Klubu Twórców „Różni” w Katowicach oraz Związku Polskich Artystów Plastyków – Polska Sztuka Użytkowa w Opolu. Była członkiem Międzynarodowej Grupy Twórców „Złota Linia”. Działalność artystyczną ściśle wiązała z pracą społeczną uczestnicząc w wielu projektach naszego Stowarzyszenia – współorganizując wystawy, plenery, prowadząc warsztaty i oddając swoje prace na cele charytatywne.

Małgorzata Sętowska za swoją działalność była wielokrotnie nagradzana i odznaczana. Otrzymała m.in.:

- Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania za krzewienie kultury plastycznej wśród dzieci i młodzieży (1987),
- Brązowy Krzyż Zasługi (1987),
- Srebrny Krzyż Zasługi (1996),
- Nagrodę „Złoty Globus” w kategorii „Nauczyciel – Mistrz” (1999),
- Honorowe Wyróżnienie z wpisem do Jubileuszowej Księgi „Twórcy Wizerunku Polski” wydanej przez Fundację Dzieciom „Zdążyć z pomocą” wraz z Certyfikatem Dobroczynności (2008),
- Honorowe Odznaczenie Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego „Zasłużony dla Kultury Polskiej” (2011),
- Nagrodę Rzecznika Praw Dziecka za najlepszą pracę magisterską poruszającą problematykę praw dziecka (2017),

- Nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie Ochrona i Promocja Kultury (2018),
- Nagrodę im. Janiny Plucińskiej, przyznaną przez CSP im. Jerzego Dudy-Gracza za całokształt pracy artystycznej (2018).

Znikam za kurtyną kolorowego,
beztroskiego dzieciństwa, gdzie
wszystko jest na swoim miejscu,
zasłuchane niezmiennie w szept wspomnień,
zapatrzone w dal podsluchując ciszę.
Odnajduję odpoczynek...

(Małgorzata Sętowska, *Pożegnanie*)

Małgorzata „Balbina” Sętowska zmarła 29 stycznia 2019 roku.

Przeminęła... Nie spotkamy się już wiosną. Jestem wdzięczna, że choć na chwilę tak mocno była w naszym życiu!

(Wiersze pochodzą z tomiku poezji członków Częstochowskiego Stowarzyszenia Plastyków im. Jerzego Dudy-Gracza, inspirowanej twórczością Haliny Poświatowskiej *Białodunajskie impresje*, wydanego w 45. rocznicę śmierci poetki oraz ze zbioru wierszy dla dzieci Małgorzaty Sętowskiej. We wspomnieniach wykorzystałam materiały z notatek Ewy Powroźnik.)

Zbigniew Myga

WSPOMNIENIE O MARII OGŁAZIE (1953-2018)

Marię znałem od zawsze – a dokładniej od roku 1961. Wychowaliśmy się na ulicy Janinowskiej, *wis a wis*. Na naszym podwórku była okazała piaskownica, zaś podwórko Marii obfitowało w tajemnicze zakamarki, umożliwiające ciekawe zabawy. Tak więc bawiliśmy się razem, w połączonych podwórkowych towarzystwach. Kiedy w okresie szkół średnich życie podwórkowe zanikło, straciłem Marię z oczu na wiele lat. Znajomość została „odgrzana” na początku lat osiemdziesiątych. Spotkaliśmy się w klubie Stowarzyszenia Środowisk Twórczych, który miał siedzibę w podziemiach Filharmonii Częstochowskiej.

W działalność SST wciągnął nas (moją żonę i mnie) Szymon Wypych – jako sympatyków stowarzyszenia, natomiast obecność tam Marii była ze wszech miar uzasadniona. Spotykaliśmy się również na „Szymonowych wtorkach”. Były to tradycyjne spotkania artystów, wymyślone jeszcze w latach sześćdziesiątych. Ludzie związani z kulturą przychodzili do rzeźbiarskiej pracowni Szymona, gdzie przy drinkach dyskutowali o sprawach środowiska, wymieniali się szczegółami technicznymi, ale również były chóralne śpiewy przy gitarowym akompaniamencie i opowiadanie dowcipów. Maria wzbogacała nasze spotkania modyfikując teksty znanych piosenek, układając teksty nowe, przy czym szczególną uwagę



Maria Ogłaza, foto ze zbiorów Zbigniewa Mygi

przywiązywaliśmy do pieśni pt.: „Pawana na śmierć krowy”. Miewała również niezwykle pomysły kulinarne – w rodzaju gotowania ziemniaków w zalewie po śledziach i faszerowaniu jabłek tym, co akurat było pod ręką. Na każdym spotkaniu na prośbę towarzystwa Marysia opowiadała te same dowcipy, przy czym istotą był sam przekaz dobrze znanych nam treści. Niech ilustracją nastroju Szymonowych spotkań będzie dowcip o sówkach. Siedzą dwie sowy na gałęzi. Jedna mówi do drugiej – uhhhhhu! Druga, wzdragając się, stwierdza – Aleś mnie, k..., wystraszyła!

Po śmierci Szymona – jego żona Ewa – kontynuuje tradycję, a Maria uczestniczyła w spotkaniach aż do wiosny 2018 roku. Zawsze we wtorki umawialiśmy się, w jaki sposób dojedziemy do Ewy, najczęściej licząc na miejską komunikację. Ona wsiadała koło częstochowskiego parku, ja dosiadałem się w II Alei. Ilekroć mijam ten przystanek autobusowy, wypatruję wśród ludzi Marysinego beretu... Wiem, że go nie zobaczę, ale wypatruję.

Łatwa we współżyciu nie była, bardzo wiele wymagała od przyjaciół, ale również od siebie. We wszystkim, co robiła, była perfekcjonistką. Przygotowywane przez nią materiały do wydawnictw musiały być bezbłędne, nawet drobne literówki były korygowane. Nie szczędziła drukarzom przykrych uwag. Odnosiłem wrażenie, że pojawienie się Marii w progach firm wydawniczych wzbudzało popłoch i atmosferę strachu.

Nie zawsze była tak zdecydowana, jak w sprawach zawodowych. Najtrudniejsze były chwile, kiedy musieliśmy ustalić jakieś wspólne wyjście, przyjęcie lub załatwienie sprawy. Niby proste, a jednak... Ustalamy, kiedy. Wszystko jasne – dzień, godzina. Nie mija 15 minut i jest telefon. Maria oznajmia, że jednak nie może – odwołuje. W porządku. Kolejne minuty, czasami godziny mijają, Maria dzwoni, że jednak może. Dobrze. Za chwilę zmienia termin, potem godzinę, potem znów odwołuje, aby w końcu jednak ustalić ten sam termin i godzinę. Początkowo ta niezwykła ilość telefonów mnie irytowała, ale później z żoną śmialiśmy się i zastanawiali, czy ten telefon to ostatni w tej sprawie, czy może jednak jeszcze jeden...

Maria była osobą wielu talentów. Malarka, poetka, pedagog, świetna organizatorka. Wielokrotnie bywałam na organizowanych przez nią plenerach. Widziałem, ile pracy wkładała w zapewnienie dobrego nastroju i współpracy plenerowiczów, z wyklócaniem się o sprawy, czasami, wydawałoby się mało istotne, jak np. stołówkowy jadłospis, łącznie.

Ocenę Marysinego malarstwa zostawiam fachowcom, dla mnie była estetką, malującą obrazy ładne. Widać w nich tęsknotę za światem, który przeminął, który odchodzi, znany jej z dzieciństwa i lat młodości. Stąd tak wiele w jej obrazach chat ze strzechą, pobielonych wapnem, czerwonych pelargonii w oknach, wiejskich pejzaży. Kiedyś pokazywała nam swoje obrazki poukładane w papierowym pudełku, niektóre były skończone, inne jeszcze czekały na ostatnie kreski. Zadziwił mnie jeden i urzekł – był to zwykły, stary, wiklinowy koszyk. Taki zwyczajny, wysłużony, chyba już nikomu niepotrzebny. Ale dla Marysi był ważny tak bardzo, że go naszkicowała i zachowała na zawsze sobie i tym, którzy zechcą na niego spojrzeć.

Stare, urokliwe, wiejskie chaty, pejzaże, kwiaty, owoce – pięknie udekorują i rozweselą każde pomieszczenie. Należy jeszcze wspomnieć o malowanych przez nią portretach. W Gallerii Dobrej Sztuki umieszczony jest cytat wypowiedzi St. Tomkowicza: „Patrząc na obraz nie tylko widzimy, jak wyglądał człowiek, który pozował, ale wiemy, co było w jego myśli i jego duszy”. Dla mnie Maria pozostanie przede wszystkim portrecistką; nie tylko potrafiła bezbłędnie uchwycić podobieństwo, ale również zajrzeć w duszę i powiązać to z mniej lub bardziej pochlebnym traktowaniem modela.

MARIA – jeszcze do dziś figuruje w moich telefonicznych kontaktach, nie potrafię tego kontaktu usunąć, powtarzam sobie w myślach powiedzenie ks. Bonieckiego: „abonent chwilowo niedostępny”.

Jaka była dla mnie i mojej rodziny? Była dla nas zawsze dobra – tak po prostu DOBRA. I zadziwiała nas często. Kochaliśmy ją za drobiazgi, które przynosiła w charakterze „prezencików” – były i drewniane, malutkie, kolorowe tulipanki, była pyszna herbatka kupiona w sklepie herbacianym, było malutkie blaszane pudełeczko, był szklany słonik, karteczka z namalowanymi przez nią dwoma kwiatkami (oczywiście w ramce!), jakieś kiszone ogórki w słoiku, dżem z czerwonej porzeczki...

Jak wspominałem, Marysia była również poetką, w mojej biblioteczkę mam wszystkie tomiki jej wierszy, do których czasami wracam. I pełen zdziwienia nie potrafię wytłumaczyć sobie dysonansu – w tych wierszach Maria jest eteryczna, lekka jak piórko, które zagląda w stare podwórka, ogląda pełne kłosa zbóż na polach, zachwyca się pięknem przyrody i modli przy przydrożnych kapliczkach. Nie ma w tych wierszach żadnego uporu, surowości i chłodu.

Czekaliśmy na kolejny tomik...

Była osobą wierzącą. Swoją wiarę traktowała w sposób bardzo poważny i rzadko o niej mówiła. Wiem, że samotnie często „chadzała” na Jasną Górę i знаła prawie wszystkie kościoły i kościółki na Jurze. Szczególny sentyment miała do aniołów, a jej ulubieńcem był Anioł Stróż. Do mojej żony powiedziała, żeby o swoim nie zapominała i czasami pomodliła się do niego, bo on na pewno jest i czuwa, i trzeba z nim rozmawiać. I tak sobie myślę: Gdzie był, Mario, Twój Anioł Stróż, gdy go tak mocno potrzebowałaś?.. Czyżby na chwilę się gdzieś zawieruszył?..

Maria Ogłaza zmarła 15 lipca 2018 roku.

Częstochowa, 11.12.2018 r.

KALENDARIUM styczeń – marzec 2019 r.



STYCZEŃ

- 5.01.** – finisaż wystawy „Niepodległość Sztuki. Wolność Artysty” – Muzeum Częstochowskie – Pawilon Wystawowy, Konduktorownia;
- 10.01.** – Szopka Noworoczna Zbysława Janikowskiego – Muzeum Częstochowskie – Ratusz;
- 11.01.** – spotkanie z Mirosławem Rogalą – Ratusz;
- 13.01.** – 27. Finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy; zamach na Pawła Adamowicza, prezydenta Gdańska;
- 14.01.** – zmarł Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska;
- 14.01.** – noworoczne spotkanie z Prezydentem Częstochowy Krzysztofem Matyjaszczykiem – Filharmonia Częstochowska;
- 18.01.** – promocja książki *Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie. Księga jubileuszowa z okazji 60-lecia działalności Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie*, red. Agnieszka Czajkowska, Joanna Warońska, Elżbieta Wróbel – Ratusz;
- 20.01.** – finisaż wystawy Janusza Mielczarka – Miejska Galeria Sztuki;
- 24.01.** – Wieczór z Galerią: promocja książki Wasyla Słapczuka w tłumaczeniu Bohdana Zadury *Kropka*

w środku, spotkanie z Bohdanem Zadurą, prezentacja „Galerii” 48;

- 25.01.** – *Opowieść o Leopoldzie Tyrmandzie* – spotkanie autorskie z Marcelem Woźniakiem – OPK „Gaude Mater”;
- 29.01.** – zmarła Małgorzata Sętowska, częstochowska malarka, pedagog i poetka.

LUTY

- 4.02.** – otwarcie wystawy fotografii Altei Leszczyńskiej – ROK;
- 6.02.** – koncert Macieja Rudlickiego i promocja płyty „Zmęczonym sercem” – Ratusz;
- 7.02.** – Zbysław Janikowski rozmawia z... „Galerią” reprezentowaną przez Bogdana Knopa i Barbarę Strzelbicką – Ratusz;
- 7.02.** – wernisaż wystawy „Michalik. Ojciec i syn” – Miejska Galeria Sztuki;
- 8.02.** – zmarł Jan Olszewski, adwokat i polityk;
- 10.02.** – prezentacja filmu Krzysztofa Kąsprzaka „Częstochowa lata 1918-1939. Od wojny do wojny” – Ratusz;
- 19.02.** – spotkanie autorskie Tadeusza Wrony i promocja tomu *Słowa i definicje* – redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela”;

- 22.02.** – wernisaż wystawy fotografii Jacentego Dędko „Portret prowincji” – Muzeum Częstochowskie – Galeria Dobrej Sztuki;
- 22.02.** – spotkanie autorskie z Marcinem Zegadłą, Marcinem Jurzystą i Rafałem Gawinem – OPK „Gaude Mater”;
- 23.02.** – Salon Poezji: Adam Zagajewski – spotkanie z Poetą – Teatr im. Adama Mickiewicza;
- 23.02.** – otwarcie wystawy „Gradacja żywiołów: morze i góry” – Pawilon Wystawowy Muzeum;
- 25.02.-1.03.** – VI Konkurs Wokalny im. Jana, Edwarda, Józefiny Reszków – Filharmonia Częstochowska;
- 27.02.** – otwarcie wystawy fotografii „Wielka dama polskiego sportu” – Ratusz.

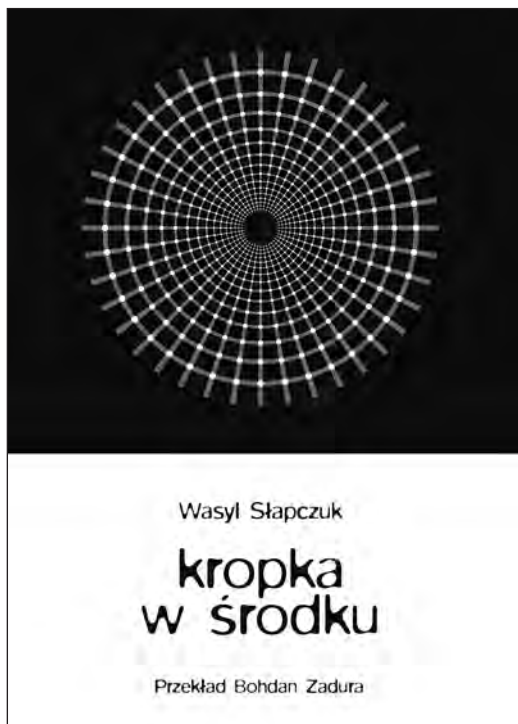
MARZEC

- 1-4.03.** – I Konkurs Skrzypcowy Muzyki Polskiej im. Wandy Wiłkomirskiej – Zespół Szkół Muzycznych im. Michała Żebrowskiego i Muzeum Częstochowskie;
- 1.03.** – otwarcie wystawy Jurija Syczewa-Hlazona „Lwów – moje miasto” – Pawilon Wystawowy Muzeum;
- 3.03.** – zmarła Karolina Ściegienny, plastyk i pedagog;
- 4.03.** – wernisaż wystawy członków Jurajskiego Fotoklubu „Portret Miasta” – ROK;
- 5.03.** – koncert „Grażyna Bacewicz *in memoriam*” – Ratusz;
- 7.03.** – spektakl Zbysława Janikowskiego „Przewrotnie o kobietach w dniu kobiet” – Muzeum Haliny Poświatowskiej;
- 8.03.** – wernisaż VII wystawy „OSIEM-KOBIET” – Konduktorownia;
- 9.03.** – wernisaż wystawy malarstwa Michała Żytniaka – OPK „Gaude Mater”;
- 13.03.** – zmarła Zofia Czerwińska, aktorka;
- 13.03.** – spektakl autorski Wojciecha Kołsuta „Sen – 063 Dziewczyna” – Miejska Galeria Sztuki;
- 14.03.** – otwarcie wystawy poplenerowej 44. Ogólnopolskiego Pleneru Malarzkiego „Jurajska jesień” „Motyw wody w pejzażu Jury Krakowsko-Częstochowskiej” – Miejska Galeria Sztuki;
- 15.03.** – Wielcy Częstochowianie – spotkanie z prof. Elżbietą Hurnik – Ratusz;
- 15.03.** – wernisaż wystawy „Maria Ogłaza (1953-2018). Wystawa obrazów” – Galeria Związku Polskich Artystów Plastyków;
- 15.03.** – wernisaż wystaw: Jakub Jankowski „Na zboczu góry idee umierały spokojnie” i Małgorzaty Bryndzy „Imaginacja” – Miejska Galeria Sztuki;
- 21.03.** – wernisaż wystawy „Historia polskiej szkoły plakatu” – Miejska Galeria Sztuki;
- 23.03.** – projekcja filmu Krzysztofa Kaspzaka „Częstochowa lata 50.” – Ratusz;
- 27.03.** – spotkanie z cyklu Filozofujemy: „Między muzyką a szolbiznesem” z udziałem skrzypaczki Aleksandry Szwejkowskiej-Belicy i Janusza Yaniny Iwańskiego, moderuje prof. Ryszard Wiśniewski – Ratusz;
- 29.03.** – Literacki Piątek: „Rozmowa o silnych kobietach” – spotkanie z Elżbietą Sieradzińską. Literacka piosenka: koncert Bogusława Bierwiazconka – OPK „Gaude Mater”;
- 30.03.** – wernisaż wystawy malarstwa Anny Beaty Barańskiej – OPK „Gaude Mater”.

Barbara Strzelbicka

Barbara Strzelbicka

WYJĄTKOWY

WIECZÓR
z galerią

Wieczór z Galerią 23 stycznia 2019 r. miał wyjątkowy charakter z kilku powodów. W związku z premierą wydanej przez Towarzystwo Galeria Literacka książki Wasyla Słapczuka *Kropka w środku* gościliśmy bowiem tłumacza zawartych w niej wierszy, Bohdana Zadurę, wybitnego polskiego poetę, tłumacza, redaktora naczelnego „Twórczości”.

Wasyl Słapczuk jest ukraińskim poetą i prozaikiem, uczestnikiem wojny w Afganistanie. Jako twórca był wielokrotnie nagradzany, otrzymał Państwową Nagrodę im. Tarasa Szewczenki. W Polsce nie jest twórcą nieznanym, ukazały się jego dwie powieści: *Kobieta ze śniegu* (2012) i *Księga zapomnienia* (2013), za którą w 2015 r. autor otrzymał Międzynarodową Nagrodę

Literacką im. J. Łobodowskiego i nominację do Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus”. Ukazał się także w 2016 r. tomik wierszy Wasyla Słapczuka *Tak to jest*. Przypomnijmy, że autor, który teraz nie mógł przybyć na spotkanie, był naszym gościem 19 kwietnia 2013 r.

To ważne dla Towarzystwa wydawnicze przedsięwzięcie, jakim jest niewątpliwie wydanie pierwszego pełnego zbioru poezji tego uznanego twórcy, którą spolszczył poeta tej rangi, jakim jest Bohdan Zadura, zainicjował Bogdan Knop dzięki propozycji Wojciecha Pestki, od wielu lat zaprzyjaźnionego z „Galerią”. Stroną graficzną zajął się Jacek M. Krasucki we współpracy z Olgą Wiewiórą, wiceprezesem Towarzystwa.

Rozmowa z Bohdanem Zadurą, którą przeprowadził Bogdan Knop, dotyczyła przede wszystkim pracy translatorskiej nad tekstami, ale nie tylko, ponieważ twórca o tak szerokich zainteresowaniach i bogatej osobowości nie dał się utrzymać w ryzach.



Bohdan Zadura, foto Radio Fiat

Na spotkaniu z częstochowskimi czytelnikami i środowiskiem literackim zaprezentował się także jako interpretator tekstów



Bogdan Knop, Bohdan Zadura, Barbara Strzelbicka, czyta Antoni Rot, foto Muzeum Częstochowskie

Wasyła Słapczuka, które nie znalazły się w książce. Trzeba przyznać, że czytanie wierszy sprawiło Bohdanowi Zadurze sporą radość. Obszerny wybór wierszy z tomu *Kropka w środku* usłyszeliśmy natomiast w interpretacji niezawodnego Antoniego Rota.

Wiersze Wasyła Słapczuka są formą dialogu między dojrzałym mężczyzną i chłopcem, co można także interpretować jako rozmowę człowieka samego ze sobą, gdy stronami dialogu są różne wiekiem i dojrzałością aspekty osobowości. Co ciekawe, chłopiec najczęściej prezentuje postawę godną filozofa, zadając pytania, udzielając odpowiedzi, dziwiąc się światu. Niektóre kwestie chłopca wydają się naiwne, czasem nedorzeczne, ale to tylko pozór, najczęściej bowiem trafiają w sedno zagadnienia i zadziwiają trafnością opinii i spostrzeżeń. Dialog urzekł Tłumacza, będącego także absolwentem filozofii uniwersyteckiej, do tego stopnia, że zaczął przekładać wiersze zaraz po pierwszym z nimi kontakcie.

Tytuł zbioru pochodzi z jednego z wierszy: „– Wszechświat / to kropka w środku.”, ale nie jest, jak wyjaśnia Bohdan Zadura, dosłownym tłumaczeniem tytułu ukraińskiego, lecz jego wersją zawierającą więcej

„energii poetyckiej”. Zapytany, co sprawiło mu największą trudność, odparł, iż praca była przyjemnością, dlatego też trudności nie dostrzegał. Tłumacz swoje refleksje zawarł także w słowie *Od tłumacza*.

W drugiej, znacznie skromniejszej części wieczoru, odbyła się prezentacja „Galerii” 48. Numer, choć jego premiera odbyła się w styczniu 2019 r., był poświęcony setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, o czym dobitnie świadczyły okładki oraz zawarty wewnątrz materiał literacki. Fotografia Andrzeja Zembika z pierwszej strony okładki była także – tym razem w oryginalnym formacie 100x70 cm – elementem scenografii spotkania. Prezentacja zawartości „Galerii” połączona została z przedstawieniem autorów tekstów, obecnych na spotkaniu. Wiersze Feliksa Łańcuckiego, poety odkrytego przez Bożenę Gorską, wprowadzone obszernym esejem, przeczytał sam Bohdan Zadura i choć, jak sam przyznał, zetknął się z nimi i z poetą po raz pierwszy, zrobił to znakomicie.

Mamy nadzieję, że ten pierwszy w 2019 roku Wieczór z Galerią będzie dobrą wróżbą dla wydawniczej i publicystycznej działalności Towarzystwa na cały rok.

Janusz Jano Mielczarek

KRÓTKI KOMENTARZ DO WAŻNEGO WYDARZENIA

Wstyczniu opadła ostatnia zasłona nad ważną dla kultury Częstochowy ekspozycją „Niepodległość Sztuki. Wolność Artysty”. Znowu przybyli artyści prezentujący swoje dzieła, a główny animator tego przygotowywanego prawie rok przedsięwzięcia, Szymon Parafiniak, zaprezentował blisko dwustustronicowy katalog. Pokazano fotografie Jacentego Dędek i film zrealizowany przez Adama Żurawieckiego.

W czasie, gdy kraj przygotowywał się do realizowania fali projektów upamiętniających wiek, który minął od odzyskania przez Polskę Niepodległości, w Częstochowie czterech ludzi sztuki pod przewodnictwem wrocławianina Andrzeja Saja, jednocząc siły Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych oraz Muzeum, próbowało znaleźć formułę, aby nadać tym obchodom charakter najbardziej bliski ludziom sztuki.

Piszę te kilkanaście zdań w niespełna godzinę po opuszczeniu niezwykłych spektakli związanych z tym wydarzeniem. Nie zamierzam ich rozpatrywać od strony założenia; na to daję sobie czas przyszły, ale

dzisiaj, teraz, syć się energią dzieł i zdarzeń, które przeżyłem i które naznaczyły mnie gorącym śladem.

Myszę, że nieprzypadkowo, z towarzyszącą mi Przyjaciółką, o dzień wcześniej przybyliśmy pod obiekt Muzeum na otwarcie ekspozycji. Czy była to tylko pomyłka? A może był to sygnał z podświadomości o zbliżającej się nadzwyczajnej uczcie Sztuki, wygenerowany przez intuicję tego, który kilkadziesiąt lat temu uczył się po omacku odkrywać jej magię, nie przewidyując, że będzie w jego życiu tworzyć wartości wyjątkowe.

Nie zamierzam sporządzać listy obecności artystów – choć uczestniczyły w wystawie znakomitości – chciałbym tym tekstem jak najserdeczniej pokłonić się wszystkim i oświadczyć, że niezależność ich twórczości, mnie, na czas obcowania z ich sztuką, pozbawiła wolności własnej. Zabrałście mi ją dowodząc siły oddziaływania tego, co tworzycie... Dziękuję Wam za to.

Partyturę projektu pisało trzech wybitnych „kompozytorów”. Obok wspomnia-



Instalacja Magdaleny Kaźmierczak, foto Jacenty Dędek

nego już Andrzeja Saja, Krzysztof Stanisławski i Piotr Głowacki.

Dzieło twórcy wkomponowane w ciąg innych zdarzeń artystycznych tworzonych w przekonaniu o swobodzie i wolności wypowiedzi, potrafi zawładnąć odbiorcą. Zaprzyjaźnia się z nim i pozostaje nadal obecne w świadomości, choć dzieje się to już z dala od miejsca ekspozycji. A przecież wszystko zaczyna się jak zwykle, wręcz rutynowo: przemowy, ukłony, poczęstunek. Dopiero w ciągu dalszym dochodzi do dobrowolnego poddawania się „niewoli uczuć upragnionych” bądź tylko... W tym przypadku chodzi o te pierwsze.

Do nas dwojga, pochłoniętych oglądaniem instalacji z doktorem Korczakiem, wpatrującym się w rozrzucone w bezładzie fotografie swoich wychowanków, podchodzi pan w ciemnym garniturze i pyta „czy się podoba”.

– Przepraszam, ale to nie jest do podobania – prostuję – to można jedynie przeżywać.

Pan okazuje się Autorem (Bogusław Lustyk), dziękuje za uwagę i opowiada o swoich dziełach, jakbyśmy się znali od dawna. Mówi o miastach i galeriach, w których gościł stary doktor wraz z innymi instalacjami i rzeźbami. O zaskakujących reakcjach widzów podczas pokazów ulicznych, a także o czasie, gdy siedemdziesiąt osiem lat temu, trzymiesięcznego Bogusława Lustyka ten niezwykle lekarz przywraca do życia po ciężkim zapaleniu płuc. Niespodziewanie tworzy się między nami nowa przestrzeń intymności, coś dematerializującego nawet na chwilę miejsce, w którym przebywamy.

Po serii innych wrażeń przenosimy się do Konduktorowni. Na piętrze: architektura, słowo i światło zakleszczają czernią i bielą (instalacja Małgorzaty Kazimierczak). Multiplikują. Wciągają do – „przechodząc pomiędzy przekraczam”. Zmuszają ucznia się siebie od nowa; tego z Dzisiaj i Wczoraj. Każde przestąpienie czarnej bramy

jest jak laser rozwarstwiający świadomość. Cały czas czuję kogoś podążającego za mną z kamerą rentgenowską, filmuje mnie, żeby pokazać coś, czego jeszcze nie widziałem. Czy nie będę miał odciętej drogi powrotu do rzeczywistości? Pochłonięty tą grą odczuwam strach, ale na przekór rozsądkowi brnę dalej.

Należę do pokolenia, którego szczeniackie umysły, zaraz po wojnie, starano się zatruwać hasłem „burzenia starego”. Nie mając podstaw stworzonych w warunkach domowych – a czas wojny wypełniała inna „sztuka”, sztuka przetrwania – można było się temu poddać. Na szczęście w liceum (1950-1953) miałem nauczyciela rysunków, wysiedlonego ze Lwowa malarza o nazwisku Turski. Pozwolił czasem odprowadzać się po lekcjach, a po drodze towarzyszyć także sobie przy głodowych obiadkach w barze mlecznym i słuchać; zasłuchiwać się w jego opowieści o Mieście i obrazach. Mimo podeszłego wieku i biednego odzienia, zachowywał się godnie i dystygownie nawet wtedy, gdy – aluminiowymi łyżką i widelcem – jadł wodnistą zupkę i zsiniałe ziemniaki na drugie danie. Później dopiero zrozumiałem, że uformowała Go wolność artysty poddawanego w życiu najcięższym próbom.

Napisałem te kilkanaście zdań z potrzeby powiedzenia osobom zaangażowanym w „Niepodległość Sztuki. Wolność Artysty”, że dostarczyli nam przeżyć wybiegających daleko poza rutynę ekspozycji na dobrym poziomie. Przypomnieli także, że niepodległość i wolność to przestrzenie niezbędne do życia dla k a ż d e g o.

(Wystawa „Niepodległość Sztuki. Wolność Artysty”, zorganizowana dla uczczenia setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości, została otwarta 27 października 2018 r. w dwóch miejscach: w Pawilonie Wystawowym Muzeum Częstochowskiego i w „Konduktorowni”; trwała do 5 stycznia 2019 r.)

Barbara Strzelbicka

WYBITNI CZĘSTOCHOWIANIE



Profesor Elżbieta Hurnik i Andrzej Kalinin, foto B. Strzelbicka

Z inicjatywy Andrzeja Kalinina 15 marca b.r. w reprezentacyjnej sali Ratusza odbyło się spotkanie, którego bohaterką była profesor Elżbieta Hurnik, literaturoznawczyni związana z Uniwersytetem Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie. Zgodnie z oświadczeniem Pisarza, które zasmuciło gości, miało to być ostatnie z cyklu spotkań z Wybitnymi Częstochowianami, który prowadził przez wiele lat. Wieczór otworzył dyrektor Muzeum Częstochowskiego Tadeusz Piersiak, podobnie jak Bohaterka spotkania absolwent katowickiej polonistyki. Z dumą odnotowaliśmy, iż Andrzej Kalinin poprosił o honorowy

patronat dla tego przedsięwzięcia Prezesa Towarzystwa Galeria Literacka Bogdana Knopa. Celem spotkania była prezentacja sylwetki wybitnej literaturoznawczyni i nauczycielki akademickiej, urodzonej, żyjącej i pracującej w Częstochowie.

Elżbieta Hurnik jest absolwentką Liceum Ogólnokształcącego im. Juliusza Słowackiego w Częstochowie (matura w 1972 r.). Po ukończeniu polonistyki na Uniwersytecie Śląskim pracowała w Pałacu Młodzieży w Katowicach. W 1985 r. wraz z rodziną przeniosła się do Częstochowy. W 1987 r. obroniła doktorat na temat poezji Marii Pawlikowskiej-Jas-



Profesor Elżbieta Hurnik, foto Piotr Dłubak

norzewskiej, wtedy także podjęła pracę w Wyższej Szkole Pedagogicznej (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza) w Częstochowie, gdzie pracuje do chwili obecnej. W latach 1994-1997 była lektorką języka polskiego na Uniwersytecie Wiedeńskim. W 2001 r. uzyskała habilitację na podstawie książki *W kręgu wiedeńskiej moderny. Z zagadnień polsko-austriackich powinowactw literacko-kulturowych*. 21 stycznia 2015 r. otrzymała nominację profesorską od Prezydenta RP Bronisława Komorowskiego.

Obszary badawcze prof. Elżbiety Hurnik to twórczość Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, w dziedzinie której jest niekwestionowanym autorytetem, zjawiska kulturowe i literackie przełomu XIX i XX wieku na gruncie polskim i austriackim, związki między literaturą i sztukami

pięknymi oraz twórczość pisarzy wywodzących się z Częstochowy i okolic. Jest w istotny sposób związana ze środowiskiem akademickim Częstochowy oraz zaangażowana w życie kulturalne miasta. W 2014 r. za zasługi dla kultury otrzymała Nagrodę im. Karola Miarki.

Jest autorką licznych publikacji, w tym książek: *Natura w salonie mody. O międzywojennej liryce Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej* (Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1995), *Maria Pawlikowska-Jasnorzewska: zarys monograficzny* (Śląsk, Katowice 1999; wyd. drugie poprawione i uzupełnione, Śląsk, Katowice 2012), *W kręgu wiedeńskiej moderny. Z zagadnień polsko-austriackich powinowactw literacko-kulturowych* (Wydawnictwo Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, Częstochowa 2000), *W Cekanii i gdzie indziej. Studia i szkice*

o literaturze i kulturze austriackiej i polskiej (Wydawnictwo Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie, Częstochowa 2011). Przygotowała wybór wierszy i wstęp do książki *Z częstochowskiej ziemi na literacki Parnas. Antologia wierszy Władysława Sebyły, Jerzego Lieberta, Haliny Poświatowskiej, Ludmiły Marjańskiej* (Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2006), opracowała korespondencję *Z Tobą jednym. Listy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Stefana Jasnorzewskiego. Wybór i opracowanie Elżbieta Hurnikowa* (Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2015), współredagowała książkę *O Ludmile Marjańskiej. Szkice – interpretacje – wspomnienia pod red. Elżbiety Hurnikowej i Iwony Skrzypczyk-Galkowskiej* (Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2015).

Zgodnie z konwencją spotkania o Bohaterce wieczoru wypowiadali się zaproszeni goście. Wprowadzenie wygłosił Andrzej Kalinin, kreśląc krótki życiorys swojego gościa oraz przypominając, iż prof. Elżbieta Hurnik jest od 2002 r. członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Podkreślił także walory osobowości Pani Profesor. Sama Profesor Elżbieta Hurnik w swoich wypowiedziach uwagę gości kierowała ku ludziom, którzy wywarli znaczący wpływ na jej życie. I tak w pierwszej kolejności zostali wymienieni nauczyciele, a więc nauczycielka języka polskiego w Liceum im. Juliusza Słowackiego prof. Maria Nasińska oraz prof. Ireneusz Opacki, promotor doktoratu. Potem wymienione zostały córki, które potwierdziły inspirującą rolę swojej Mamy w kwestii wyboru ich drogi życiowej: starsza jest absolwentką polonistyki Uniwersytetu Śląskiego, młodsza – germanistką. W ich interpretacji usłyszeliśmy ulubiony przez prof. Elżbietę Hurnik wiersz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej oraz fragment książki o historii Austrii. Dowiedzieliśmy się również, jak znaczące są dla

całej rodziny związki z Austrią, a szczególnie z Wiedniem. Nie zabrakło także opowieści o ukochanym wnuku, nieobecnym na spotkaniu z powodu choroby.

O prof. Elżbiecie Hurnik, określonej mianem Kobiety Sukcesu, mówiły także zaprzyjaźnione z nią Barbara Strzelbicka i dr Elżbieta Wróbel. Starając się przeniknąć tajemnicę sukcesu, podkreśliły zalety charakteru Bohaterki wieczoru, takie jak wierność przyjaźniom i związkom rodzinnym, umiejętność widzenia dobra w świecie i w ludziach, optymizm, poczucie humoru, pracowitość i konsekwencję.

Gośćmi spotkania byli członkowie rodziny, przyjaciele, współpracownicy, doktoranci i studenci prof. Elżbiety Hurnik; byli także przyjaciele Andrzeja Kalinina – zbędną wydaje się uwaga, iż wiele osób przybyło dla duetu Wybitnych Częstochowian. Przypomniano, iż 24 stycznia 2018 r. miała miejsce sytuacja odwrotna, kiedy to gościem prof. Elżbiety Hurnik był w OPK „Gaude Mater” Andrzej Kalinin. Obecna była również prof. Maria Nasińska, towarzysząca swojej wybitnej Uczennicy we wszystkich ważnych momentach życia. Pamięć o wieloletniej, nieżyjącej przyjaciółce Aleksandrze została przywołana przez odczytanie kartki przysłanej z podróży.

Oprawę muzyczną wieczoru zapewniła Barbara Anna Wierzbicka, która wystąpiła ze starannie dobranym do okoliczności repertuarem jako wokalistka, akompaniaturka, czasem także kompozytorka i autorka tekstu. Nieoficjalna część spotkania, kontynuowana przy stole z poczęstunkiem, była równie udana.

Gratulujemy świetnej inicjatywy, dziękujemy za wspaniałe spotkanie i mamy nadzieję, że wcale nie ostatnie. Dwojgu Wybitnych Częstochowian życzymy dalszych sukcesów na polu kulturalnym!

UKRAIŃSKA NAGRODA

Z radością i satysfakcją odnotowujemy, że Nagrodę Literacką i Artystyczną im. Pantelejmona Kulisza, przyznaną przez Międzynarodową Akademię Literacko-Artystyczną Ukrainy, w roku 2019 otrzymali: Bogdan Zadura, Olga Wiewióra i Bogdan Knop – za popularyzację literatury ukraińskiej w Polsce i stworzenie międzykulturowej przestrzeni do dialogu i wzajemnego zrozumienia.

Literacko-Artystyczna Międzynarodowa Nagroda im. Pantelejmona Kulisza została utworzona 1 marca 2011 r. dla uhonorowania pisarzy, artystów, wydawców, naukowców, dziennikarzy, pracowników i mecenasów kultury, których działalność służy rozwojowi i popularyzacji kultury ukraińskiej. Jest wyróżnieniem honorowym. Przewodniczącym jury nagrody jest wybitny poeta ukraiński Ihor Pawluk, współpracownik Instytutu Literatury im. Tarasa Szewczenki Państwowej Akademii Nauk Ukrainy i profesor Katedry Prasy Lwowskiego Uniwersytetu Narodowego im. Iwana Franki. Patron Nagrody Pantelejmon Kulisz (1819-1897), pisarz, poeta, etnograf, tłumacz, w latach 1864-1868 pracował w Warszawie w komisji do spraw przekładu polskich ustaw, co pozwoliło mu na zdobycie doświadczenia w zakresie prawa oraz na zawarcie licznych przyjaźni z polską inteligencją. Popierany przez Józefa Ignacego Kraszewskiego, nawoływał do porozumienia Polaków i Ukraińców, był apostołem zgody polsko-ukraińskiej, wyrażał nadzieję, że dzięki współpracy można przezwyciężyć dawne urazy. Kulisz zachęcał Ukraińców do studiowania literatury i kultury polskiej, wierząc, że znajdą tam wiele wskazówek dla swego narodu.

Laureatami tej nagrody są między innymi: poeta ukraiński Wasyl Ślupczuk za zbiór wierszy *Золоті куполи* (2011),



konsul Krzysztof Sawicki z Konsulatu Generalnego w Łucku za organizację i patronat nad projektami artystycznymi, które sprzyjają zbliżeniu między narodami Ukrainy i Polski (2013), Jacek Tokarski, założyciel i dyrektor krakowskiego Wydawnictwa „Wysoki Zamek”, specjalizującego się w tematyce kresowej (2015), Jarosław Poliszczuk, pracownik naukowy Uniwersytetu Jagiellońskiego, między innymi za książkę *Rozstaje ukraińskie* (2015), Marek Wawrzyński za powieść *Ulysses* (2017).

Redakcja

Zbislław Janikowski

ROZMYŚLANIA O ROZMYŚLANIU



Każdy powrót do domu z kolejnego wernisażu lub spotkania autorskiego czy innej kulturalnej imprezy kończył się relaksowym posiedzeniem w fotelu; w fotelu, o którym już tyle razy opowiadałem lub pisałem. Fotel ten stał się moim najlepszym przyjacielem i rozmówcą, a nawet powiernikiem moich myśli, szkoda tylko, że jak magnetofon lub inny najnowszej generacji przyrząd myśli tych – nawet bez mojej wiedzy – nie umie zarejestrować. Bo że myśli w mojej głowie się rodzą, jest oczywiste i że gdzieś się gubią, równie oczywiste jest. I tu nowa myśl – może one nie giną, tylko gdzieś – w jakiejś na razie nieokreślonej i nienazwanej – chmurze się gromadzą lub składowane są... I co z tego? – taka nowa myśl mnie naszła – nic, i myśl refleksyjna – ty naprawdę nie masz o czym myśleć?

I wtedy nastąpiła we mnie wewnętrzna przemiana – myśli z obłoków lub z chmury wróciły na ziemię.

I?

I pobiegły we wspomnienia z dzisiejszej imprezy, dobrej imprezy. I rozbierały tę imprezę na czynniki pierwsze, aż dotarły do ostatniego czynnika, czyli do stołu wernisażowego. A na nim wzgardziły ciasteczkami, a zawisły nad kieliszkami z winem i chyba zapach tego wina i parujący alkohol, będący stadnikiem tego zapachu, myślom moim tok myślenia zamąciły. I biegały te myśli nad alkoholową krainą, a w niej nad winną prowincję, i przekonywały mnie do uznania wyższości wina nad innymi alkoholami. I może przekonałyby, gdyby w mojej głowie nie zrodziły się myśli opozycyjne, które argumentowały, że jak na wernisażu wypiję kilka kieliszków wina, to te kilka kieliszków da pół butelki, a gdy w tygodniu wypadną dwa wernisaże (a średnia tak mówi), to w tygodniu wpiję butelkę wina, a rok ma 52 tygodnie, to...

Lepiej nie myśleć, bo sikać będę dużo więcej i częściej...

Zbisław Janikowski

WIECZÓR SYLWESTROWY



Jak co roku wieczór ten rodzi emocje, podsumowujemy kończący się rok, niecierpliwie oczekujemy nadejścia nowego roku, staramy się odgadnąć, co przyniesie, a przede wszystkim świętujemy.

I my, znowu troszeczkę starsi, do tego wieczoru poczyniliśmy odpowiednie przygotowania. Obecny był tradycyjny szampan, czyli musujące wino marki wino, które odpowiednio spreparowane stało się noworocznym szampanem. Przygotowaliśmy zatem – podobnie jak w ubiegłym i kilku innych ostatnich latach – „wystawną” kolacyjkę, a rzeczywiście wystawna była: na cieniutętko pokrojonej bagietce pokrytej warstewką prawdziwego masła lśniły ziarenka czarnego astrachańskiego kawioru, też prawdziwego, który jeszcze rok temu osobiście z Petersburga przywoziłem (szkoda, że to był ostatni słoiczek i chyba ostanio moja wizyta w tym wspaniałym mieście). Na stoliku znalazło się jeszcze kilka smakołyków, rozpusta, ale niech tam, wszak mieliśmy powitać nowy rok. Oczywiście towarzyszył nam telewizor.

Wygodnie usadowieni w fotelach oglądaliśmy to, co różne telewizyjne stacje na ten wieczór przygotowały, nie było to coś nadzwyczajnego, wreszcie żona zajęła się jakimś filmem, a ja na chwilę zmrzyłem oczy. Oczywiście była to tylko chwila, bo przypomniałem sobie, że w moim barku stoi ledwo napoczęta butelka słowackiej „chaluparskiej” śliwowicy. Postanowiłem sprawdzić – pomny doświadczeń Kubusia Puchatka – czy – śliwowica, nie Kubuś – jest tam jeszcze. Była. Była też mała miarowa szklaneczka, którą napełniłem, już w czasie napełniania poczułem wspaniały zapach śliwowego sadu, soczystych, dojrzałych, upojonych słońcem śliwek, słodziutkich, z nutką goryczki od pestki. Spróbowałem, a myśli pobiegły do słonecznego śliwowego sadu. Siedząc z tą szklaneczką w ręku nie wiedzieć kiedy zauważyłem, że jest pusta, to i jeszcze raz ją napełniłem i... Gdy znowu znalazłem się w fotelu *vis a vis* telewizora, odruchowo przestawiłem kanały, nowy program też nie porywał, żona nie protestowała, tą sylwestrową ekranową sieczką była także znudzona.

– Zostawić czy zmienić? – spytałem.

– Wszystko jedno – odpowiedziała.

No to zmieniałem, ale nic godnego oglądania nie znajdowałem. Poszedłem do kuchni i z lodówki wyjąłem przygotowanego „szampana”.

– Spróbujemy? – zapytałem.

– Ja nie mogę, wiesz, że mi szkodzi.

– Eee, kieliszek!..

– A o północy co będziemy pili? – butelka szampana należała do tych najmniejszych.

– Zejdę do piwnicy, tam mam jeszcze jedną.

Nie odpowiedziała, co uznałem za aprobatę.

– Załóż coś na siebie, w końcu jest zima, i uważaj! Lepiej, żeby cię nikt nie widział, jak w sylwestra łazisz do piwnicy.

– Zamknę za sobą drzwi, zresztą zaraz wrócę, będę uważał, bo ta dewotka z góry na pewno będzie leciała do kościoła.

– Słyszałam, że już schodziła.

– No to idę

*

Nim jednak do tej piwnicy zszedłem, do mojego pokoju zajrzałem, a tam... Śliwowicą pachniało, a że zapach kuszący był i miłe wspomnienia smaku tego wspaniałego trunku przywodził, to barek otworzyłem i szklaneczkę napełniłem, a jak napełniłem, to nim wypilem, chwilkę z szklaneczką w ręce w fotelu posiedziałem, a myśli na słoneczną Słowację uciekły, gdzie sady śliwowe...

– Idziesz już?.. – usłyszałem.

– Idę, idę...

Lecz nim wyszedłem, jeszcze przez chwilę moje myśli po tej Słowacji błądziły – jacyż oni sprytni, że ze zwykłych śliwek, których co roku jesienią nadmiar, wspaniałą śliwownicę pędzą! A u nas? Najwyżej niektóre co sprytniejsze gospodynie powidła śliwkowe usmażą lub śliwki w occie w słojach zamkną w ramach akcji zabezpieczenia zaopatrzenia zimowego. Jest wprawdzie w Polsce kraina, Sądecczyzna, gdzie w Łącku śliwownicę pędzą, śliwownicę wspaniałą, ale to wyrób regionalny, trudno dostępny, a cenowo co najmniej niezrównoważony, jeżeli to cokolwiek znaczy. Zdenerwowałem się i szybko szklaneczkę napełniłem po raz kolejny, barek zamknąłem, szklaneczkę opróżniłem i w drogę do piwnicy wyruszyłem. Drzwi wejściowe z klatki schodowej były, o dziwo, zamknięte, więc klucz w dziurkę od klucza włożyłem, przekręciłem, zamek puścił, wszedłem, zapaliłem światło i drzwi za sobą starannie na klucz zamknąłem. Piwnica, jak piwnica, surowy ceglany mur, rury gazowe, wodne, centralnego, pajęczyny, ale, o dziwo, pozamiatane, nawet czysto i schłodnie, świątecznie. Na rogu korytarza zapaliłem kolejne światło, drzwi do mojej piwnicy, opatrzone solidną kłódką, były przede mną. Nim zacząłem manipulować kluczem, wydało mi się, że słyszę cichą muzyczkę. – Ale też po tych starych murach od kogoś głos niesie! – pomyślałem. Gdy wreszcie pokonałem tę pancerną kłódkę i wszedłem, muzyczka stała się głośniejsza, dobiegała z kąta z rupieciami (tak jak gdyby w tej piwnicy było coś innego niż same rupiecie), więc: widoczne tam było jakieś blade światelko.

– Ki diabeł? – pomyślałem i w tym momencie przypomniałem sobie, że kiedyś zostawiłem w tym kącie stare tranzystorowe radio – czyżby ono grało?

Zapaliłem światło i rzeczywiście – w kącie leżał ten stary odbiornik radiowy, był włączony i grał!

– Niech sobie gra...

Podszedłem do półki, na której leżały butelki z winem (a trzy tam zostawiłem) i ten mały szampanek. Sięgnąłem, ale szampanka nie było. Do poszukiwań dołączyły moje oczy, bo pierwsza faza to było sięgnięcie i macanie; szampanka nadal nie było. Przesunąłem stojące tam między pustymi trzy pełne butelki wina, zrobiło się luźniej. Dalej bacznie przyglądając się półce zauważyłem, że zza jednej z butelek patrzą na mnie dwa bystre oczka... Oczka należały do szczurzego pyszczka ozdobionego sterzącymi wąsikami.

– Szczurek – wyrwało mi się mimowolnie – cześć, jak się masz?

– Dobrze, a ty?

– Też dobrze – dałem się wciągnąć w rozmowę – Co tu robisz w mojej piwnicy?

– Mieszkam – odpowiedział wcale niespeszony.

– A wygodnie ci? – zupełnie zatraciłem zdrowy rozsądek, ta myśl błdziła po mej głowie.

– Nie najgorzej – odpowiedział i dodał – Antoni jestem.

– I co, jakiś bał szykujesz? To ty włączyłeś radio? Może jeszcze goście przyjdą? – hurtem postawiłem te pytania. – A w ogóle miło mi, jestem...

– Wiem, wiem, kim jesteś.

Jego wypowiedź przyjąłem jako coś normalnego.

– A przyjdą, jedna para z sąsiedniej piwnicy i dwie takie podstarzałe panienki z sąsiedztwa.

– I ty jeden na te dwie panny!

– Dam radę, nie taki diabeł straszny jak go malują.

W tym momencie zrobił się szum i obok mojego szczurka pojawiły się kolejne dwie szczurze mordki.

– Fredzia i Julek – przedstawił ich Antoni – a gdzie Stokrotki?

– Jeszcze się pindrzą – powiedział Julek, a Fredzia parsknęła śmiechem.

– To jest nasz dobroczyńca – powiedział Antek, bo tak go już w myślach nazwałem – to on użyczył nam lokalu na dzisiejszy wieczór.

Wprawdzie nic takiego sobie nie przypominałem, ale niech tam – pomyślałem.

– Napijecie się? – spytałem, bo nie wiedzieć kiedy jedna z trzech butelek wina znalazła się w moich rękach

Antoni i Julek z aprobatą kiwnęli główkami, a Fredzia cichutko zachichotała.

– Nie ma wprawdzie tych dwóch panienek – kontynuowałem – ale trudno, jest większy kłopot – tu w piwnicy nie ma kieliszków.

– Nie szkodzi – powiedział Antoni – możemy z gwinta.

No to pociągnęliśmy raz i drugi. Zrobiło się rozmownej...

– U nas się mówi „na trzecią łąpkę” – dorzucił Julek, a Fredzia znowu zachichotała.

Przy toaście „na czwartą łąpkę” zjawiły się zapowiadane panienki, Zuza miała na łepku kotylionowy kapelusik, a Fela na szyi imitację szala boa. Oczywiście nie odmówiły, a nawet karniaka wypiły. Wesoło było i nawet nie słyszeliśmy, jak w radiu ogłoszono północ, wznieśiono noworoczne toasty, złożono życzenia – nic nie słyszeliśmy, nic do nas nie docierało. Świątowaliśmy na całego, pusta butelka potoczyła się po podłodze pod regał, na którym leżała następna. To był jakiś mistyczny znak, no to spełniliśmy to misterium, otwierając kolejne wino. W międzyczasie dobraliśmy się do przechowywanych w piwnicy zimowych zapasów, otworzyliśmy słoik z marynowanymi grzybkami – były za kwaśne – i drugi z konfiturą z rajskich jabłuszek – ta z kolei była za słodka. O czym rozmawialiśmy, nie pomnę, wiem tylko, że między Julkiem i Fredzią doszło do jakiejś sprzeczki i Fredzia obrażona opuściła towarzystwo. Panowie tylko na to czekali, Julek od razu zaczął przystawiać się do Feli, a Antek do Zuzy, a może odwrotnie. Druga butelka też była pusta, odstawiłem ją cichutko nie

oczekując żadnych mistycznych znaków. Zniesmaczony zachowaniem moich gości zabrałem ostatnią butelkę i opuściłem piwnicę. Gasząc światła i człapiąc po schodach słyszałem dobiegające z mojej piwnicy szurania i radosne piski.

– Niech się bawią!.. – pomyślałem.

*

Cichutko wróciłem na mój fotel przed telewizorem. Żona siedziała w tej pozycji, w jakiej była, gdy wychodziłem, spała. Odkorkowałem przyniesione wino, nalałem, wypilem, zakąsiłem kanapką z kawiozem, wyglądała nieapetycznie, a przy tym była całkiem wysuszona i niesmaczna. Żona ocknęła się, widziałem, że jest zupełnie zdezorientowana.

– Która godzina – spytała.

– Za dziesięć... – odpowiedziałem

– Która?

– Za dziesięć pięta.

– To już Nowy Rok?

– Tak, 2019.

– A gdzie ten szampanek?

– Nie wiem, nie znalazłem, było tylko wino.

– Niech będzie, nalej mi troszkę.

Nalałem i nawet kropelki nie uroniłem...

(W oczekiwaniu na sylwestrowy wieczór 2018/2019 – w jesienny wieczór 1. października 2018 roku.)



Bożena Gorska

ILUMINACJA

Więc to był tylko teatr, to grą złudną było,
a przecież tak mistrzowsko udawało prawdę.
Co kazało podziwiać wszystko, czym dziś gardzę?
W zdumieniu chylę czoło przed potężną siłą.

Gdy każde słowo sztychem, w masce kłuć bezpiecznie
i cofać się, szukając uników, pozorów.
Dziś twarz odkrytą hańbi jawny grymas moru.
Chroniła przed zarazą? Widać nieskutecznie.

Maska jest marnym świadkiem w sporze, kto miał rację,
bo to zwykła podróbka czy poślednia marka.
W ślad za Aniołem, podziwiając akrobacje,

szykuje się do lotu lew świętego Marka.
Za chwilę w morze światła wskoczą cztery konie.
Nie czas żałować masek, gdy Wenecja tonie.

6.01.2019

Nevermore

Gdy jednym cięciem tyle lat
zniweczą śmiercionośne słowa,
bo w nich ocalał dawny jad,
już się nie zrodzi ufność nowa.

Wracam do siebie, choć pomału.
Przeszło, minęło, już nie boli.
Anioł, którego mi przysłałaś
powiesił się na aureoli.

11.03.2019

Beata Skulska-Papp

PIEŚŃ EPIZODU

01010101010101010101010101010101010

ostatecznie nie może być więcej śmierci
niż życia
bo cóżby miało umierać

na razie życie ma przewagę
ale to świat zmiennych reguł
kiedyś nie wystarczy że zjada własny ogon

zje głowę
gruczoły rozrodcze
umrze z głodu głupia

wtedy życie wlezie ponownie
wszystkimi szczelinami
zaludni wszechświaty

znów zabrzmią bajki
niewyobrażalnie inne
jednak legendy nie zapomną o smoku
który zjadał (koniecznie) dziewice
ani o kwiecie paproci który zakwita
raz na tysiąc lat

oko wszechświata mrugnie samo do siebie
jeszcze raz
nie dowiesz się śniąc między jego rzęsami
dlaczego

budowanie twierdzy

te chwile
łopoczą na wietrze
jak flagi albo prześcieradła

nie przynoszą nic innego
niż same siebie

lecz ja próbuję budować z nich
własną

wieczność

mega giga

krowy o ogromnych wymionach
kobiety o hiper ustach
zboża z mega ziarnami
napoje z witaminami
domy pod niebo

Babilon
super ścieżka do piekła
ocięzała z nadmiaru
zapominam
gdzie idę
między kolejnymi kęsami
nie śmiem pytać po co

elegancka superprodukcja
wśród jej czystych pachnących ścieżek
nie czuć
jak obumiera
zagracone serce

potem nawet nie chcę wiedzieć
że poza usypiająco pięknymi salonami
masowa produkcja to

horror

epizod

„Pamiętaj, człowieku,
jesteś tylko epizodem w życiu przedmiotu”.
(Franciszek Starowieyski)

ja epizod ledwie w życiu kamienia
wciąż się zmieniam
on się nie zmienia

gardzę jego niezmiennością

lecz to kamień chcę położyć na grobie
by snuł o mnie wspomnienia

z miłością

Dotyk

(wiersz dla tych których braku dotyku
w dzieciństwie – nadużyto)

są krainy
których granic nikt nie chce przekroczyć

wołają z oddali
błagają dotknij mnie choćby armią

i armia przychodzi lub nie
ale one zostaną i tak głodne

to zostało już zapisane w ich historii
to już jest namalowane na ich flagach

wierzę nie musi tak być

na niektóre może zawołać Odyn by rodziły
Wikingów
wezmą siłą czego im brak
inne mogą przemieniać swój niedosyt
w klejnoty sztuki lub dobroczynności

tylko niech się nie poddają
życie to transformacja

dobry sługa
który ma wiele do przemienienia
budowanie twierdzy

ochrona życia poczętego

kropla przepełniła dzban
po mojej twarzy spłynęła łza
potem druga
strumienie

otwieram się

niech się źródło wypowie
niech woda popłynie gdzie trzeba
to sucha ziemia

rośliny potrzebują jeść
trzeba też ocalić dziwaczne istoty głębinowe

dziś je nakarmię

przyzywanie wilka

jak bardzo jestem pojedyncza
i nieistotna
jak krótkotrwale intensywna
jak nieskończona w swoich niespełnieniach

wołam wilka
słowami i obietnicą mięsa
pragnę interagować

wyzywam go i kuszę
jego wycie do księżycy
jest dla mnie jak śpiew ptaków
może mniej piękne
ale bardziej ludzkie

zaśpiewaj mi wilku o tęsknocie
ciebie pojedynczego
w osobnej skórze
z osobną śmiercią na końcu

zaśpiewaj mnie pojedynczej
pragnę
interagować

superpozycja

przechodzi dwiema szczelinami
jak to zrobiłeś pytam
po prostu tam były
mówi

ale jak się zebrałeś do kupy
po tym wszystkim
zawołałaś mnie

a gdybym nie zawołała

gdybym ja nie zawołał cię
najpierw

gra w kości

wierzę w całość
ona czuje mój ból moją rozkosz
czuje jak trzaskają mi rusztowania
gdy szukam właściwej drogi
własnym dla niej ciałem

umrę przez ciebie krzyczy
reanimując moje kości
ale i tak umiera
z każdą mną mnym mnem mn mm mmmm

rodzę przez ciebie krzyczy
błogosławiąc moje zwłoki
ale i tak je pożera
resztki rozrzuca roślinom archeologom
i zamyślonym

czy po śmierci będę jak deszcz

czy po śmierci będę jak deszcz
padać na dobrych i złych
czy po śmierci będę jak ogień
parzyć dobrych i złych
jednak

czy po śmierci będę lepsza

teraz
kocham tylko życie
i to co mu sprzyja
czy po śmierci
zrozumiem całość

gniew

rwą się mosty
stałe lądy
okazują się pustynią
gniew strzela we wszystko
co żywe i martwe
w ciebie samego

też
oręż to zaiste sprawiedliwie dwustronny
jeśli wyjdiesz cało
to tylko dlatego
że nie byłeś
zbyt gniewny

Jacek Gierasiński

SMOŚWIAOMOŚĆ

Na Nowy Rok 2019

schodzę
 ze szkapy roku
 starego siodła
 w lasso marzeń
 już nic nie złapię
 dosiadam darowanego konia
 na rok następny
 stepów nieznanych
 w kanionach tygodni
 w pragnieniu wody
 się utopię
 pójdą inni
 za mną
 w tę utopię
 oderżnę uda kawałek
 zwierzęcia roku
 trzymając je za uźdę
 i umrę sobie
 trochę po ciemku
 na chorą życia
 mojego ułudę
 w pacierzach
 końskiej krwi narowistej
 umoczę usta spragnione
 i grzechy wszystkie
 swe nieczyste
 odwrócę
 na drugą stronę
 i umrę
 lub zacznę
 odradzać się
 z kopyta
 oderwę grzywę
 ze swoich skroni
 i jakoś trochę
 się przywitam
 i jakoś trochę się
 odrodzę

Samoświadomość uprzytomniona

i cóż w tych dłoniach
 zostało
 kalambury wspomnień
 chciało się tyle
 bez zobowiązań
 krzyżówka niedokończona
 klębek człowieka
 w fotelu
 niezgrabnie popełnia jutro
 pamięć się skraca
 o pamięć
 smutno w oczach ogródka
 już się nie rwą
 życia pomysły
 do nieprzytomności wrażeń
 i tylko lody
 na patyku
 krwią się mają
 na krawędziach ust

wzajemne podcinanie
 sobie skrzydeł ma znamiona
 strachu przed własnym upadkiem
 na głębę z grymasem bólu który
 jest nam wpisany w daty i
 szerokość ramion wątych ale
 zatwardziałe wklejonych w
 niepewność powietrza ulotnego które
 tak trudno utrzymać przy sobie
 a już na pewno schować w kieszeń
 dziurawych przyzwyczaję przylepionych
 do oczu z lotu ptaków zapatrzonych
 w niedoskonałość ego – altru
 istyczną
 ...
 łyżeczka sody oczyszczonej
 odkwasza organizm
 oderwane pióro skrzydła
 na parapecie

Elżbieta Jeziorowska-Wróbel

MIŁOŚĆ DO ŻYCIA

Uwięziona w ciele patrzę
 jak złuszcza się czas jak pożera
 sam siebie przy okazji mnie wciągając
 w swoje trzewia
 uwięziona w ciele odczuwam
 dotyk jego ust ostrość zębów
 bolesne mielenie szorstkiego
 języka
 uwięziona w ciele myślę nieustannie
 kombinując poszukując sposobu
 jak stanąć mu ością
 w gardle

OBIAD WE DWOJE

Talerz przed tobą
 ja na talerzu
 w rybie w ziemniakach w surówce
 w zielonej pietruszce prosto z ogrodu
 pachnącej jesiennym deszczem
 w plasterku cytryny leżącym
 na brzegu talerza

jestem
 talerz przed tobą
 ja w talerzu
 jak odbicie światła które mi dajesz
 dnia każdego żebym płonęła

i nie zgasła

AMELKA

Słodka jak kropla letniego deszczu
 drżąca na liściu łopianu
 zbudzonego o świcie
 bliska jak dotyk ziemi
 i nowy oddech
 mojego życia

22 lutego 2017

Móc zajrzeć w twój sen
 jak w studnię której dno
 wymościło światło księżyca
 wślizgnąć się w twoje myśli
 jak w skalną szczelinę przez którą
 przewlekła się jasna nić słońca
 móc dowiedzieć się
 ile mnie jeszcze jest
 w tobie

Smutna pani w szarej pelerynce
 w wypłowiałym kapeluszu
 drepce alejami wspomnień
 czasem
 przysiadzie na ławeczce westchnienia
 zamyśli się zaduma
 w odruchu przyzwyczajenia położy
 drżącą dłoń na sercu
 jakby chciała sprawdzić
 czy jest bezpieczna
 jej miłość
 do życia

Łatwiej udawać filozofa
 poszukiwać sensu życia
 początku końca błądzić w oderwaniu
 od rzeczywistości zderzać się ze ścianą
 braku odpowiedzi lekceważyć spalający się
 czas naszych dusz dziczejących
 jak zaniedbane ogrody
 prościej udawać filozofa
 pozować na ekstra myśliciela
 niż zmierzyć się z samym sobą
 w buzującym obojętnością stygnącym
 podszytym strachem przemijania
 kosmosie własnego wnętrza

Przebudź mnie ze snu życia
 w którym wciąż kuleję
 nadzieję biorąc za wiarę
 wiarę za nadzieję
 przebudź mnie zanim uczucia
 na drobne rozmiennę
 i przestając kochać
 stanę się

kamieniem

DO M.B.

Każdej nocy wyciszam
 krzyk mojej krwi –

wrzeszczy jak opętana
 żąda wyjaśnienia
 bo nie wie
 nie pojmuje
 nie rozumie
 że miłość
 to zjawisko przejściowe

OBLUDNICY

Pobożnie ulegli
 na zgiętych kolanach
 pokorni
 potulni jak baranki
 rozglądają się trwożnie

– bo kto wie
 a nuż ktoś rozpozna w nich
 wilki
 ukryte pod skórą owiec

Na nic to ukrywanie się
 w barwnych fatałaszkach
 pod warstwą pudru i tuszu kipiącego
 z rzęs
 na nic ucieczka w sen i zamroczenie
 kieliszkiem wina
 na nic
 kiedy rzeczywistość dobija się
 do drzwi świadomości
 pod nos ci podtykając
 wszystkie nieszczęścia świata

nie ma takiej mysiej dziury
 w której można się ukryć
 przed zranieniem

Anna Jędryka

OGRODY MARZEŃ

OGRODY MARZEŃ

Świat olśniony marzeniami,
One dają życiu sens,
Cicho płyną wieczorami,
Milkną, gdy nastaje dzień.
Zawieszone w codzienności,
Rozświetlają każdy dzień,
Pokonują przeciwności,
Usuwając nocy cień.
Ulatują gdzieś w przestworza,
Są jak ogród barwnych róż.
Czasem giną na bezdrożach,
Czasem toną w głębi mórz.

Marzeń ludzkich bywa wiele:
Miłość, zdrowie, szczęścia smak,
Dobre chwile w przyjaciele –
Smutno, gdy przyjaciół brak.
Czasem sława nam się marzy
Lub pieniędzy pełen trzos.
Nie wiadomo, czym obdarzy
Nieprzewidywalny los?
Kołysani marzeniami
Zawojować chcemy świat.
Napełnieni fantazjami
Planujemy wiele lat.

Jak ptaki wijemy gniazda,
By osiągnąć ziemski raj.
Chcemy, by sprzyjała gwiazda
I trwał nieprzerwanie maj.
Roziskrzonych gwiazd tysiące –
Każda z nich to ludzki los:
Nieraz jasny – lśni jak słońce,
Nieraz ciemny nocy głos.
Lecz marzenia są dla ludzi,
Koją serca niczym miód.
Miło czasem jest się łudzić,
Wierzyć, że się zdarzy cud!

KONIEC LATA

Noce biegną wolniej – dłuższe ich godziny,
Wkraczają powoli do jasnej krainy.
Leniwe poranki wstają opieszale,
Jakby ciemną nockę opuszczały z zalem.
Powietrze jest rześkie, wilgotne i czyste,
Rosa łązy wylewa jak perły srebrzyste.

W zamglonym kokonie wrzesień barwi li-
ście,
Układa w bukiety jarzębiny kiście,
A wrzosa maluje w fioletowe cienie,
Wychwytuje z nieba słoneczne promienie.
Dzień w lato bogaty, słońcem ozłocony,
Ciepło swe roztacza w cztery świata strony.

Dorodne mieczyki – niczym malowane,
Patrzą prosto w niebo kwiatkami ubrane,
A wesołym astrom główki postrzępione
Mienią się figlarnie słońcem ozłoczone.
Dojrzałe owoce, urokliwe sady,
Zapraszają wszystkich do wspólnej biesiady.

Rankiem i wieczorem czuć zapach jesieni,
Chociaż jeszcze wokół wszystko się zieleni.
Dzień jest coraz krótszy, wieczór chłodem
wieje,
Wiatr się zrywa nagle i porusza knieje;
Tańczy wśród konarów, drzewa ze snu budzi
I spierzchniętą ziemię po dniu całym studzi.

Czasem deszcz pokropi, ożywi rośliny,
Które stały w słońcu przez długie godziny.
Wnet grzyby urosną w namokniętym lesie,
Wszak po deszczu słońce – to nam niesie
wrzesień.
Lato ku końcowi zmierza nieuchronnie,
Już niebawem o nim musimy zapomnieć.

11.09.2018 r.

18.08.2018 r.

MIĘDZY USTAMI

Między ustami a brzegiem pucharu –
 To jest ten moment, co pozwala marzyć.
 Między ustami a brzegiem pucharu –
 Wszystko się może, jeszcze może zdarzyć.

Między ustami a brzegiem pucharu –
 To jest ta chwila jeszcze nieodkryta,
 Co tęsknie czeka na spełnienie czegoś –
 To tajemnica wciąż mgiełką spowita.

Między ustami a brzegiem pucharu –
 To jest to szczęście jeszcze niepoznane,
 Ta myśl, co nagle wyrosły jej skrzydła,
 To czyjeś oczy tęskniące, kochane.

I oby nigdy usta nie dotknęły
 Brzegu pucharu i słodczy jego,
 Bo wnet poznają, co się kryje na dnie
 I już nie będzie sekretu żadnego.

27.06.2018 r.

POŻEGNANIA CZAS

Dzisiaj na mnie nie czekają twoje myśli,
 Bo osiadły wspomnieniami na bezdrożach.
 Wciąż się łudzę, że choć w nocy mi się przyśnisz,
 Ale sny pobiegły dawno gdzieś za morza.

Znowu zrywam pustą kartkę z kalendarza,
 Odszedł dzień, co nie zapisał się w pamięci.
 Jednak teraz coraz częściej mi się zdarza,
 Że przeszłości już wspominać nie mam chęci.

Jak bumerang wciąż powraca twoja postać –
 Coraz bardziej niewyraźnie, jakby mgliście.
 I natychmiast się oddala, nie chcąc zostać,
 A odchodzi tak spokojnie, uroczyście.

To z pewnością nadszedł czas na pożegnanie,
 Nie żałuję ani jednej wspólnej chwili.
 Ten scenariusz musi skończyć się rozstaniem,
 Dawno umilkł trzepot skrzydeł w nas motylach.

13.08.2018 r.

Artur Gielezy

WIERSE

Czas

Przestrzeń racjonalna
umieszczona w otchłani,
której początek
przesunięty jest
na prostej osi,
oznaczana co chwilę
niczym słupkami przy drodze
przez wydarzenia dziejowe
tworzące historię.

Spoglądam wstecz

Zaglądam pamięcią
do tamtych lat,
wspominam ciepło ludzi,
których zabrał czas.

Zaglądam pamięcią
w te stracone dni,
spalone mosty,
zapomniane dawno sny.

Zaglądam pamięcią
w tamte dni,
choć wiem, że nie wrócą,
ich obraz we mnie
pozostał na zawsze.

Sens życia

Sensem życia
jest miłość,
sensem życia
jest myślenie o ukochanej osobie.
Sensem życia
jest spędzony z nią czas.
Sensem życia
jest jej skradziony uśmiech.

Sensem życia
jesteś TY.

Powiedz mi...

Powiedz, że kochasz mnie,
Powiedz, że mnie pragniesz,
Powiedz, że marzysz o mnie,
Powiedz, że szlochasz z tęsknoty...
Choć lepiej jednak nie,
nie lubię, gdy kobieta płacze!

Każdy może marzyć.

Artur Gielezy – urodzony w Częstochowie, posiada wykształcenie wyższe. Trzykrotny laureat konkursu literackiego Kolegium Nauczycielskiego w Wieluniu. Jego wiersze są drukowane w lokalnej prasie. Jest członkiem Klubu „Złota Jesień”, dla którego prowadzi blog internetowy. Uczestniczy w przygotowaniu tekstów członków Klubu do druku. Jego teksty znalazły się w III. części *Antologii wierszy poetów częstochowskich Klubu „Złota Jesień”*. W 2015 r. z klubem wydał książkę *W kręgu lat, w kręgu przyjaciół*. Jest także członkiem Koła Literackiego „Anafora”, jego tekst znalazł się w publikacji *Szkice i recenzje wokół Dojrzwania Barbary Strzelbickiej*. W 2017 r. wydał debiutancki tomik pt. *M...*

Maciej Rudlicki

CZYSTA KREW

Kim jesteś, czysty pra Polaku,
 zrodzony z łona czeskiej Dobrawy i księcia Mieszka,
 o którego pochodzenie spierają się najtężsi historycy?
 On, nasz praojciec, właściciel państwa Polan,
 w watykańskim dokumencie powierzenia państwa Kościołowi
 podpisał się – Dagome.
 Cóż to znaczy?
 Czy coś nam przez to o sobie opowiedział?

Kim jesteś, czysty pra Polaku,
 zmieszany z genów płowłosych Słowianek dorzecza Wisły i Odry
 zgwałconych przez Wikingów, Sasów, Czechów, Rusów i Tatarów,
 rozmnożony przez Andegawenów, Jagiellonów, Sforzów i Wazów?

Kim jesteś, czysty pra Polaku,
 podniesiony genetycznie i europejsko przez Hohenzollernów,
 Habsburgów i Wettinów,
 unurzany przez tysiąc lat współżycia w ciężkich grzechach
 z aszkenazyjskimi Żydami?

Kim jesteś, czysty pra Polaku,
 o niejasnych konturach profilu twarzy, zbyt dowolnym kolorze oczu i ciała?
 Jedyne?
 Niepodobny do nikogo
 czy podobny do innych, jak obcy?

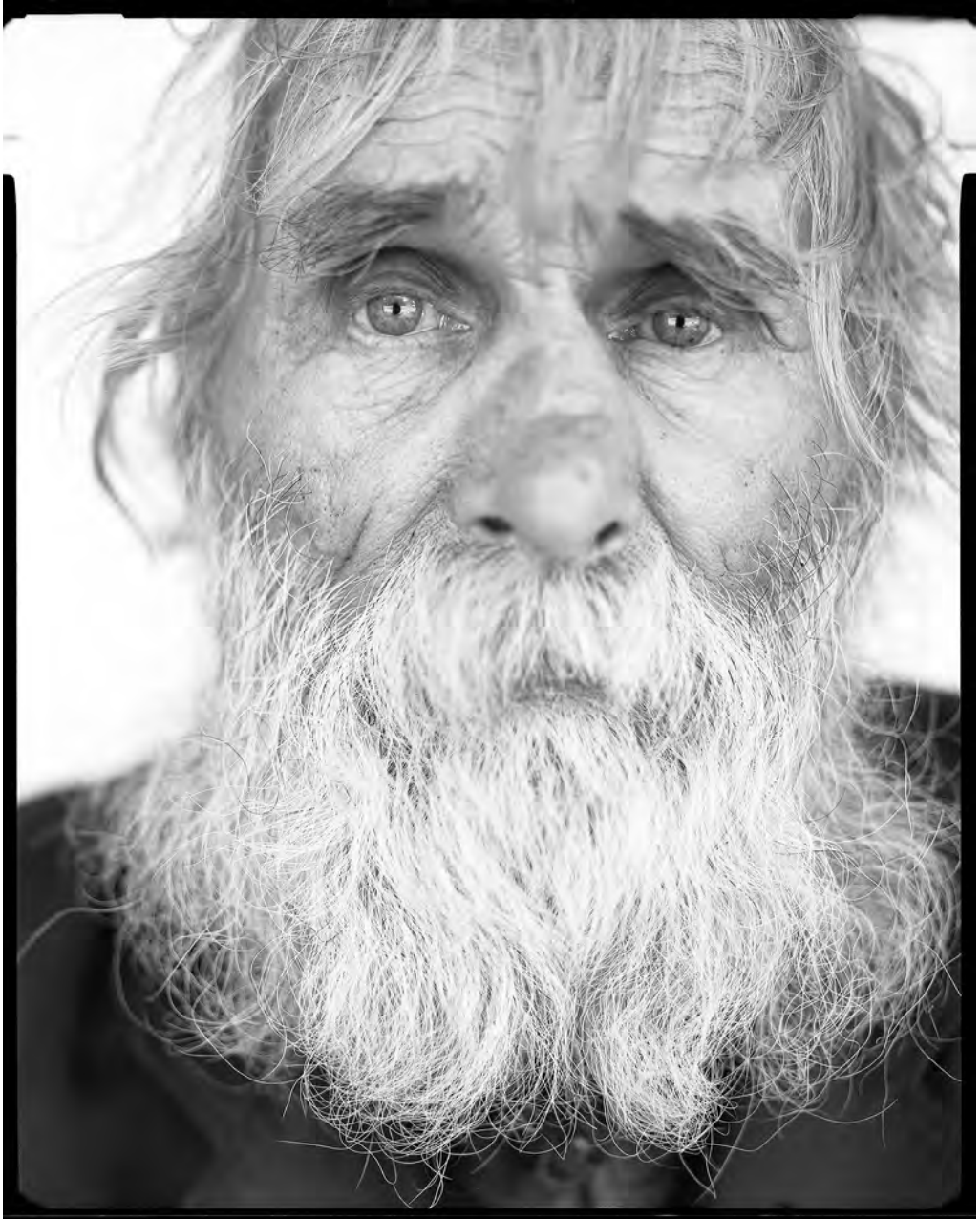
A jednak jesteś!
 Żyjesz w nas z pokolenia na pokolenie, ten sam i nie taki sam.
 Gdyby nie język i obyczaje, byłbyś tylko ideą!
 Tylko idea bowiem może być czysta, jasna i nieskażona.

No więc skąd się wzięłeś?
 Który akt miłosny lub zniewolenia zrodził cię?
 Kto pierwszy rozpoznał i odpowiedział innym?
 Ilu w to uwierzyło i powiedziało to swoim dzieciom?

To przez ciebie skaczymy sobie wzajemnie do gardeł,
 wrzeszcząc w twarz jeden drugiemu: to nie ten, to nie ten, to obcy!
 To przez ciebie tak dziwnie kochamy czerwień i biel,
 ostry dziób i szpony orła.

A Ty, Mieszko – Dagome,
rozpoznajesz w nas potomstwo czystej krwi,
czy jesteśmy tylko sierotami po niespełnionych ideach?

2013-08-05



Jacenty Dedek, portretprovincji.pl

Małgorzata Franc

Z CYKLU: BEZ MAKIJAŻU

Dotyk przeznaczenia

Przechodziła tamtędy
tysiąc razy szukając
wytchnienia wśród drzew
nie umiała rozpoznać
twarzy choć widziała
w deszczu krople łez.

Wśród pomników
starych kamieni gdzie
czas odcisnął swe piętno
nie słyszała że w tej
zimnej przestrzeni tam
niejedno serce już pękło.

W martwej ciszy
jakby w uśpieniu
przemierzała drogę tak samo
jakby nigdy nikogo
nie miała nie straciła
wcześniej drogich ramion.

Tylko czasem
gdy mrużyła oczy osłepione
niefortunnie przez słońce
za plecami czuła dotyk
przeznaczenia co przy
krzyżu przysiadło niechcący.

Bez makijażu

W jasnych aureolach
dawnej codzienności
zwyczajni święci
na starych zdjęciach
uśmiechają się niewinnie
całkiem bez pośpiechu
jakby o czymś marząc
nawet w starszym wieku.

Są tak blisko
gdy patrzą na nas
oczy znów lśnią
blaskiem tajemniczym
kiedy welon przeszłości
lekko się unosi i powraca
do nas uśmiech
dziadka lub cioci Zosi.

I tak oto nagle
w sepii utrwalone
wszystko co było kiedyś
wciąż toczy się kołem
choć czas mija szybko
zatrzymuje w kadrze
bez makijażu
i na zawsze.

Czarno – Biały

Jest cieniem
człowieka
którym był
kiedyś.

Gwar głosów
krąży
oklaski ucichły
pustka.

Pod ziemią
niepokój
wciąż boli tak
samo.

Gdy serce
samotne
znów staje się
raną.

Tylko cisza
pozostała
przy nim do
obrony.

Jego obraz
Czarno – Biały
już dawno
stracony.

Na zawsze nie mój

Opowieść romantyczna

Kiedyś miałam nadzieję
że spotkam Cię
na ulicy na chodniku
gdziekolwiek
uderzałam głową w mur
zaciskałam dłonie
do krwi modliłam się
niepokornie
nie umiałam Cię zapomnieć
przestać istnieć
zniszczyć wszystko
nie miłować.

Teraz skrzydła masz
Anioła lecz gdzie jesteś
nie wiem miły
w Twoją stronę
imię wołam lecz biec z Tobą
nie mam siły
czuję się jakby wiek minął
i przycisnął mnie
do ziemi a tam tylko
wąska ścieżka

kręta mokra
wśród kamieni.

Mija czas i lata płyną
nic w tej kwestii
się nie zmienia
godzina goni godzinę
i dalej kręci się Ziemia
słyszę czasem jakąś nutę
i znajomych dźwięków
chór który staje się ołowiem
gdy znienacka mnie dogoni
i wycisnie pot ze skroni
myśl okropna i jedyna
na zawsze nie mój.

Skrzydła

Skrzydła
nie muszą być
kolorowe
wystarczą białe
zwyczajne.

Potrafią
unieść wysoko
nad wszystko
co brzydkie
i marne.

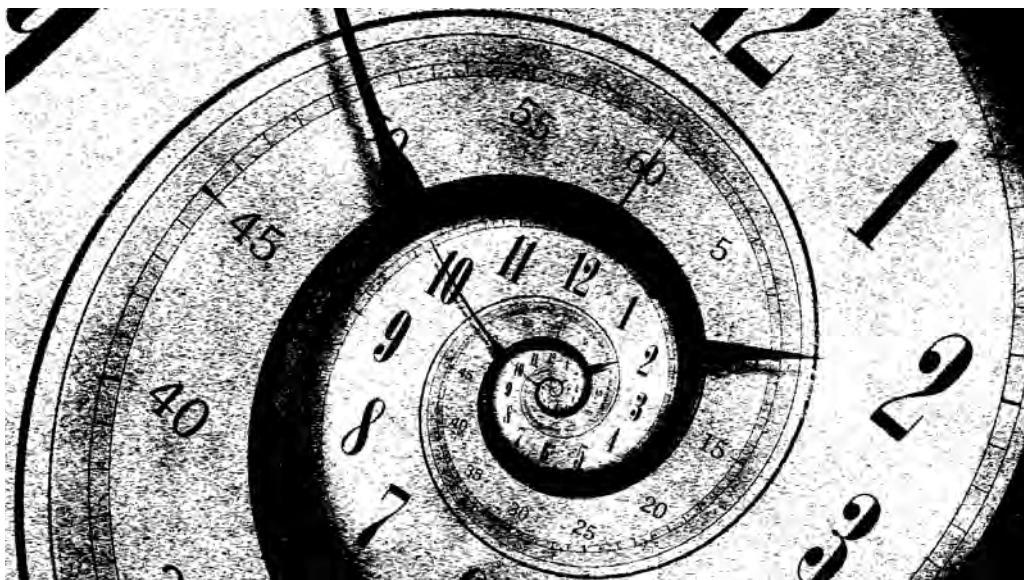
Ptaki
wiedzą to dobrze
mogą być
wolne i własną
podążać drogą.

My
musimy czekać
na skrzydła
gdy dotknie nas
tchnienie Boga.

14.03.2019 r.

Bogdan Knop

PODRÓŻ



Jeszcze przed wieczorem zamierzałem wybrać się w podróż. Cele miałem na poły handlowe, na poły nieczne, a też i nie do końca uświadomione. Po prostu trzeba mi było w drogę się zbierać, losowi czoła stawić, wyzwaniom sprostać.

Podróżowałem od wielu lat, od późnej młodości, od kiedy postanowiłem przeważać na szali losu swe uczynki złe i dobre, najlepsze i najgorsze. Zmienne były okoliczności mych wypraw, marki pojazdów różne, czasy niepodobne do siebie, wreszcie i wygląd mój się zmieniał. A jednak zawsze ruszałem w drogę z ową zajądlnością godną lepszej sprawy i potężniejszego efektu. Zawsze gotów nakłonić świat do współpracy.

Mówi się, że czas nie gra roli, ale to przecież przestrzeń może być iluzją. Wszelki ruch, toczenie się, staczanie i wspinanie jest tylko przemieszczaniem się wzdłuż osi czasu. Zatem byłby czas tylko pochodną i odmianą ruchu? Pierwsze drgnienie początkiem czasu, a pyl bezdroży poszukiwaniem czasu utraconego?

Kiedy więc wyruszyłem w moją podróż? Wczoraj czy przed nieomal trzydziestu laty? Sto kilometrów stąd czy zaledwie o rzut kamieniem? Gdyby w ten sposób spojrzeć na mijające życie, daremność wypraw dalekich i bliskich ujawniłaby się nam w pełnym blasku, w całej swej marności.

Jeszcze za dnia, pakując się przed podróżą, jasnym wzrokiem w dal spoglądałem. W dal, gdzie lustrzane odbicie zwielokrotnia iluzję głębi obrazu, w rzeczywistości ubogiego i ograniczonego do niedalekiej okolicy. Tak jakbym patrzył w lustro, które patrzy w lustro, które na nie patrzy.

Dzięki temu nie bałem się mroku, a kres wydawał mi się niewyobrażalnie odległy. Wciąż jeszcze dawałem ponieść się fantazji, wyzywając los do nierównej walki. A jednak ciemne chmury, bliskie pomruki zapowiadały nieuchronny zmierzch i odnowienie świata.

W poszukiwaniach trwałem uparcie jak ów bohater przelotnie wertowanej powieści: „hej, czy nie widzieliście białego wieloryba?” Ale przecież nie byłem kapitanem Ahabem – nie dlatego, że zabrakło mi determinacji i poczucia utraty, lecz z powodu niedowierzania światu i sobie. Bo czy na pewno wyruszałem w podróż, czy śniłem tylko kołysany niepewnością losu? Czy mogłem się obudzić z poczuciem spraw niezłaławionych, zamiarów niespełnionych i uczuć niedopowiedzianych?

Ileż razy zatrzymywałem się w drodze z wrażeniem dojmującej nierealności, którą od biedy można by nazwać dziwnością istnienia? „Jakże to – mówiłem sobie – jakże to świat tak doganiać, siebie samego doganiać i być ciągle nieodpartą, niczym nie uzasadnioną iluzją”. I zaraz słońce poczęło przeświecać powietrze, jakby miało przebić jakąś zasłonę pokrywającą wstydliwą tajemnicę. A ja czekałem, aż zza dziurawej jasności objawi się zgubna prawda, która nas wszystkich upokorzy: zamek, który jest chatką na kurzych nóżkach, złoto zamienione w piach albo autostrada Embarcadero wypełniona sznurem riks. Jednak paląca jasność nie urastała nigdy do takiego natężenia, przy którym krzyk z niej się rodzący mógłby rozerwać ją na kawałki.

Ileż razy zmierzch, a potem noc, zmawiały się ze snem przeciw mej podróży. A to właśnie we śnie ruch traci siłę zmuszania czasu do poruszania się wyłącznie we własnych koleinach. Czas wtedy staje się swawolny, może krążyć, nawracać, omijać ruch bokiem, odbierać mu sens i przyczynę. I straszyć nas niedocieczonymi meandrami obrotów rzeczy. A rano wprawia świeżo obudzonego w zakłopotanie związane z trudnością rozpoznania brzegów snu i jawy po obu stronach rzeki, którą stał się czas.

Podróż we śnie była zawsze częścią mej podróży, lecz granice snu nie zawsze dawały się określić, płynnie przenikały na teren jawy, potem wracały na terytorium snu i tak raz za razem. Wtedy pojęcia snu i jawy traciły ostrość, stawały się rozmażane, pełne inkrustacji niby bąbelki powietrza w wodzie.

Czy byłem zatem wielką rybą, skoro nie byłem kapitanem Ahabem? Czy dzikość swą ścigałem, los wyzywając na pojedynek? Czy chciałem zniszczyć łódź zniechędzonych poszukiwaczy szczęścia? Nie sędzę. Co prawda wiodłem podwodne życie milczka, do którego odgłosy świata docierają stłumione i zniekształcone, jakby trwały w odmiennym skupieniu. Jednak w mej wyobraźni świat wielkich ryb i świat Ahabów istniały wspólnie – jako przemijająca dekoracja.

I tak oto, w obliczu kresu nocy, zamysł podróży poddałem pod rozwałę losu, czasu i autentyczności świata. Zwróciłem wzrok ku latom minionym, tej przepaści, która podąża za każdym z nas nieustannie i nieuchronnie, kusząc, by rzucić się w nią, zanim moloch przyszłości zdoła ciebie i mnie zniewolić, jak zima skuwająca mrozem niezebrane owoce jesieni.

W szalonym kręgu, w wirze listka opadającego w przeszłość, zobaczyłem zmieniające się koleje losu. Zamknięte w następujących po sobie obrotach, krążyły po epicyklach przebrzmiałej rzeczywistości. I w tych zapierających dech piruetach ujrzałem me podróże w szalonym tańcu przeblasków nadziei, napotkanych zawodów, straconych przewag.

Wtedy wreszcie pojąłem, że obrót, będący miarą rozplaszczania, może opisać każdy z punktów zarówno minionego, jak i tego, co ma nadejść, a życie nasze tkwi na odcinku promienia wodzącego, który omiata bezkresną płaszczyznę czasu.

I w dniu ciemnym, poza czasem, w świecie pełnym pozorów, wypowiedziałem zdanie o miłości, która nie zginie, choć zginą kochankowie.

A ja nigdy nie zbłądłem w mej podróży do kresu czasu.

jesień/zima 2018

Jakub Bartecki

SYZYF

Stary mężczyzna w długim płaszczu i zabrudzonych lakierkach szedł drogą w kierunku mojej wsi. Leżała ona dokładnie pośrodku lasów oddzielających Jurę Krakowsko-Częstochowską od miasta Jasnej Góry; była oddalona od głównej trasy, po której ciężarówki sunęły w kierunku Szczekocin, Jędrzejowa i Kielc. W weekendy mieszkańcy Częstochowy objeżdżali tędy zgiełk ruchliwej szosy i kluczyli po zielonej okolicy; kilka razy dziennie przejeżdżała nią jakaś zabłąkana ciężarówka. Stary szedł sam. Jego krok był powolny i niepewny. Wyglądał, jakby przechodził tędy pierwszy raz w życiu.

Przez okno dostrzegłem, że jakieś dzikie zwierzę stoi obok mojego dostawczaka. Czy jeszcze kiedyś ruszysz? – zapytałem w myślach. Wybiegłem więc przed dom, ale zastałem tylko świeże ślady na śniegu. Jak on mógł się tu znaleźć? Nie wiedziałem. Za bramą zauważyłem starego i postanowiłem na niego poczekać. Cholerny mróz – pomyślałem. Kiedy przechodził obok, powiedziałem:

– Zimno dzisiaj jak w psiej budzie. Dzień dobry!

Stary podniósł głowę.

– Do licha, to nie ta zima, co kiedyś – odpowiedział i przystanął.

Patrzył na mnie nieobecny wzrokiem. Był gdzieś indziej. Po chwili milczenia powiedział:

– Nie dalej jak trzydzieści lat temu takie śniegi były, że nad człowieka sięgały. Tunele trzeba było kopać, żeby się z domu gdzieś wydostać.

Przytaknąłem z szacunkiem.

Jest za stary, żeby przyjść tu pieszo z Częstochowy – pomyślałem. Autobus przejeżdżał tylko przez główną drogę, więc musiał przejść ze dwa kilometry, żeby się tu dostać z przystanku. W oddali usłyszałem klekotanie silnika dieslowego.

– Do domu pan wraca?

– Ach, po żonę idę. Zaś u teściowej wysiaduje – odpowiedział i uśmiechnął się.

Mówienie o żonie sprawiało mu widać nieopisaną przyjemność.

– Pan wie, jakie to czorty, jak matka z córką zaczął gadać.

Na horyzoncie pojawił się samochód; spod kół mocno chlapał breją. Posypany solą śnieg zaczynał topnieć, więc na ulicy potworzyły się brudne kałuże. Gdy przejechał, powiedziałem:

– Pan ją bardzo kocha.

– Jest ode mnie młodsza o trzy miesiące – zignorował mnie i wyraźnie posmutniał. – Zawsze jej powtarzam, że jest pod moją opieką... No, pójdę już. Do widzenia.

Stary odszedł i po chwili zgubiłem go z pola widzenia.

Kiedy wróciłem do domu, nie przestałem o nim myśleć. Odkąd nie było Oli, nie mogłem sobie znaleźć miejsca. Myślałem tylko o niej. Wszystko inne działało mi na nerwy. Jej twarz pojawiała się w twarzy każdej widzianej kobiety; szeptała do mnie, gdy tylko gubiłem myśl; franki w całym domu rozwiewały się, jakby właśnie przeszła. Nie wyobrażałem sobie, że jej nie ma. Poczekajmy trochę – powiedziała w drzwiach i odjechała. Kilka godzin później dostałem telefon od jej matki...

Zabrałem się za jakąś książkę, ale zamiast czytać – myślałem o starym. Nagle ocknąłem się. Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk przelatującego samolotu. Podbiegłem do okna, żeby go zobaczyć. Była to jednak tylko mała cessna, jedna z pierwszych, które w tym roku wyle-

ciały z małego lotniska Częstochowa-Rudniki. Jest takie niebo, z którego nie da się wrócić – pomyślałem. Za oknem zauważyłem starego, który wyłaniał się właśnie zza domów. Szedł i patrzył w stronę samolotu. Wybiegłem mu na spotkanie.

– Może pana podrzucić? – zapytałem, gdy przechodził obok. – Gdzie pan idzie?

– Niech się pan nie trzodzi – odpowiedział. – Nie chciałbym robić kłopotu.

Poprawił płaszcz i chcąc się jakoś wytłumaczyć, rzekł:

– Teściowa wysłała mnie do wszystkich diabłów. Zapomnij o niej, cholero jedna – wrzeszczała. Przyjdę jutro, jutro na pewno już wróci.

Obaj spojrzeliśmy w czyste niebo.

– Tak, jutro już na pewno – rzekł stary. – Do widzenia!

Nie odpowiedziałem. Wiatr delikatnie wzmógł się, a w powietrzu znowu zawarkotała kołująca awionetka. Stary szedł drogą, aż straciłem go z pola widzenia. Przez kilka kolejnych tygodni widziałem go codziennie i byłem mu wdzięczny, że przechodzimy przez to razem. Gdy śniegi zupełnie stopniały, stary rozplynał się i nigdy się już nie pojawił. I choć przez ten krótki okres byliśmy dla siebie bardzo bliscy, nie jestem pewien, czy rzeczywiście spotkałem go choć jeden raz w życiu.

DZIUPLA

Wiatr zamiatał padającym śniegiem podsypując go pod ciemnozielone wieżowce. Wacław Merk, dwudziestodwuletni, dość przystojny, głęboko zamyślony student, wchodził właśnie w krąg sześciu kolosów z wielkiej płyty. „Za długo już wieje” – pomyślał. Śnieżycą utrzymywała się już czwarty dzień z rzędu. Szedł chodnikiem; jego buty nie odbijały kroków na puchowym przejściu – przesuwwały się nieruchomo nad miękkim śniegiem. Przed chwilą, delikatnie mrużąc oczy, szedł alejką prowadzącą do pobliskiego sklepu; wcześniej jeszcze wysiadł z biało-czerwonego autobusu elektrycznego, którego ryk mógłby wyróżnić krater w jakiejś górze. Drzewa tańczyły ponurymi gałęziami, natomiast jasnoszare niebo pozostawało w błogim bezruchu. Całe osiedle słuchało dmącego wichru. Merk nie mógł pozbyć się smaku jakiegoś zdania, dlatego szedł sam, gdzieś daleko i bez duszy. Ta ostatnia kołysała się na lewo i prawo, podskakiwała po szczebelkach jego pamięci jak uczepony sznurem do budy pies. Kolejny raz – kiedy już wyrwał się z więzienia innej rzeczywistości – Merk zauważył plac zabaw oraz chodnik wokół niego: słabo wydeptany i ledwo tylko zakreślony. „Znowu w domu” – pomyślał. Coś wielkiego i odległego, czego nie mógł sobie przypomnieć lub wymyślić, popychało go w ogromną otchłań niepokoju. Czuł się nieswojo; skulony, starał się ukryć przed szalejącym wokół orkanem.

Student przeszedł przez bramę stworzoną przez gałęzie dwóch nagich klonów. Na koronie jednego z nich trzepotała plastikowa reklamówka. Za drzewiastym portalem schował się przed wiatrem, podpinając się pod węższą ścianę żelbetonowego prostopadłościanu. Śnieg rozwiewał się na wszystkie strony; skupiał się w wielkie twory, które przypominały rozmachane ręce. Wiatr wył. „Zaraz zamarznię” – powtarzał wewnątrz siebie Merk. Obie ręce trzymał w kieszeniach spodni i wyglądał jak jakaś bryła wklęsła – z barkami pchającymi się do przodu, głową schowaną między nimi i wypchniętymi plecami – idąca nierównym, wyslizganim, pośpiesznym krokiem. Minął blaszaną budę na śmieci po prawej stronie i budkę gospodarczą wieżowca po lewej. Schody i podeściek gospodarski były oblaźle śniegiem. Wacław przypominał sobie o wielu sytuacjach, które miały tu miejsce. Silny blask kilkuset wieczorów ni w ząb nie ogrzał rzeczywistości i kiedy tylko Merk skręcił

za rogiem w lewą stronę, wiatr szybką serią mocnych ciosów ugasił wszystkie jego myśli. Ostatnie trzy kroki wykonał w podskokach i znalazł się przed dziupłą klatki schodowej. Kod #1234#. „Po jaką cholere zakładali ten domofon?” – zastanawiał się. „Przecież każdy idiota... przecież każdy najpierw wybierze jeden, dwa, trzy, cztery”.

Po sześciu kliknięciach i bzyczeniu pchnął drzwi, a przed nim ukazała się wielka, ponura otchłań. Pomieszczenie przybrało kolor najczarniejszej magii. Merk zrobił dwa kroki w głąb ciemności i zamknął za sobą drzwi. Przez chwilę przyzwyczajał wzrok do mroku. W końcu zauważył na podłodze walające się grudy śniegu, które najwyraźniej musiały się wepchnąć do bebeczów wieżowca. W jednym z rogów, po jego lewej stronie, ktoś leżał. Był to stary, zżółtały dziad, leżący w kupce śniegu i starający się przetrwać ten mróz.

– Nic panu nie jest? – zapytał Merk.

Pamiętał kilka historii, w których jacyś tam z jego znajomych urządzali sobie polowania na śmieciarzy – najpierw woda, a później szukanie. Jak się jakiś śmieć znalazł, to trzeba go było przekopać.

Pomyślał o starym z obrzydzeniem. Nie chciał się pastwić nad biedakiem, ale od zawsze odczuwał jakiś paranoiczny lęk przed bezdomnymi. Było w tym coś z pedanterii. Nie rozumiał też postępowania starego. „Przecież tuż przy wejściu jest w pizdu zimno, dlaczego nie wlezie do środka?” – zastanawiał się.

– Niece... – zachrypiał dziad.

„Ma gość tupet” – pomyślał student. Wpadł w krótką zadumę. Miejsce wydało mu się zrazu kwestią względną. Przeniknął gdzieś indziej; jego ciało niezauważalnie przesunęło się do wieżowca obok. Na klatce schodowej pito wódkę. Cztery białe kubeczki z plastyku leżały dumnie na parapecie pod wielkim oknem. Światło co chwilę gasło, więc ktoś musiał zapalać je machnięciem. Białe płomienie oświetlenia odbijał się od chabrowych ścian. Peppert opowiadał reszcie jakąś historię. Skończyli butelkę i trzeba było coś z tym zrobić; więc jeszcze papieros, ale szybki i najlepiej w drodze. Znaleźli się na trzecim piętrze: Pepi schodził pierwszy, za nim Merk i jeszcze dwóch: Wergiel i Dretko. But poleciał w zasadzie bez tracenia czasu na zbędne zastanawianie się. Leżał jakiś smród i trzeba go było dodatkowo upokorzyć. Wódka uderzała już dobrze do głów całej czwórki. Typ nawet się nie szarpał. Uderzenia spadały z trzech stron – miały dźwięk pustoty i głuchy. Nie było jęknięć. W Wacławie, który nie bił, coś pękło. Jego skóra pomarszczyła się, przez co wyglądał jak wypompowany balon. Po chwili wszyscy uciekali, skacząc po kilka schodów na raz, wpadając jeden na drugiego.

– Może pan jest głodny albo pić się chce? – spytał Merk.

Z wnętrza klatki wyłonił się jakiś sąsiad: brodaty pan. Najpierw z lekkim przerażeniem spojrzał na studenta. Dopiero po chwili spostrzegł dziada w jednym z rogów pomieszczenia. Wacław poczuł, że ten człowiek naprawdę gardzi starym. Nie spodziewał się, że myśl ta wnuknie w niego tak mocno. „To największa prawda w tej chwili” – mówił ktoś wewnątrz studenta. Czuł jedność z sąsiadem, ale to sytuacja budowała ich wspólnotę. Merk poczuł, że wszyscy ludzie, z którymi się codziennie spotyka, są w gruncie rzeczy tacy sami. Nieokreślone, olbrzymie byty rozpanoszyły się w jego głowie. Wyobraził sobie, że należy do wielkiego targowiska różnych świadomości. W małym pomieszczeniu poczuł sąsiedową obecność: na ponurym tle wnętrza dwie niebieskie gąbki połączyły się w jedną całość. „Ciekawe, czy on też to czuje” – pomyślał student. Brodacze wyszedł z klatki szybko, gnąc się i zaciskając w sobie.

– Niech pan tu poczeka, zaraz wrócę – powiedział Merk i nie czekając na odpowiedź starego wszedł w głąb wieżowca.

Wjechał windą na czwarte piętro; w budzie dźwigu wisiało duże lustro. Otworzył drzwi od mieszkania i wszedł do środka. Wewnątrz nie było nikogo. Nie ściągając butów, pospiesznie zabrał się za robienie jedzenia. Włączył światło w kuchni, a przez okna momentalnie wpadł do mieszkania ostry promień światła. Waclaw nie zwrócił na to uwagi. „Mleko było w lodówce, powiem mu, żeby nie pił od razu” – myślał, szamocząc się z burzą pomysłów. Co chwilę przeskakiwał wzrokiem na kolejne rzeczy w kuchni. Kiedy spakował kilka małych kartoników z mlekiem i chleb, wiatr silnie uderzył w okno, co obudziło go z głębokiego zamyślenia. Zgasił światło, a w mieszkaniu ponownie zapanował ciężki i nudny półmrok.

Merk zbiegł na parter klatką schodową. Po drodze podjął decyzję, że pójdzie do sklepu i kupi sobie jakieś śniadanie. Chabrowe ściany mrugały zaciekami.

Wpadł wreszcie do dziupli, w której leżał dziad.

– Proszę!

Podał staremu siatkę; ten ociągał się z przyjęciem podarku.

– Niech pan nie pije szybko mleka, bo pan sobie gardło załatwi – powiedział Merk.

– Co? – zachrypiał dziad.

– Mleko jest zimne! – krzyknął student.

Merk patrzył na starego. Zawisł lekko w dziwnej próżni i oczekiwał wyrazów podziękowania. Jakaś skumulowana energia chciała najwyraźniej przebić jego skórę, zebrała się więc w okolicy twarzy i barków i nadęła się jak balon. W końcu Waclaw wyrwał się z zamyślenia i wyszedł na zewnątrz. „Ehh... trudno, przecież nie pójdę teraz i nie zabiorę mu tego. Niech ma” – myślał. W drodze do sklepu czuł się nieprzyjemnie. Dwie siły przekrzykiwały się w jego wnętrzu. Pierwsza wołała o zainteresowanie. Oczami wyobraźni chciał stanąć obok i zachwycać się swoim czynem. Druga warczała ze złości. Była wysłanniczką zła *par excellence*.

Student wszedł do sklepu jak do wielkiej metafizycznej bani. Ocknął się z tego niebytu dopiero gdy wracał do mieszkania, z zakupami w ręku. Mróz jakby zziębł jeszcze mocniej; był suchy. Waclaw kupił sobie śniadanie. Zrazu zapomniał na moment o całej sytuacji ze starym. Zastanawiał się, czy w telewizji będzie leciało „Dwóch i pół” czy „Teoria wielkiego podrywu”.

Wyszedł za róg swojego wieżowca. Tuż przy wejściu do klatki zauważył promienie słońca, skradające się po śnieżnym dywanie. „Boże, wreszcie słońce!” – pomyślał. Wpisał kod i wszedł do środka. Na podłodze nie było już starego. Leżał za to rozrzucony chleb. „Chociaż mleko sobie wziął” – zauważył Waclaw i wszedł po schodach na podwyższony parter. Wsiadł do windy, gdzie zapatrzył się na swoje lustrzane odbicie. Jego twarz przedstawiała jakiś grymas. Wpadł w głęboką pustkę, z której nie mógł się przez chwilę wydostać. Uśmiechał się.

Jakub Bartecki – ur. w 1992 r., prozaik. Studiował na kierunku Dziennikarstwo oraz Antropologia literatury, teatru i filmu na Uniwersytecie Wrocławskim. Na studiach magisterskich współtworzył Studenckie Koło Naukowe „Egzystencja, Literatura, Humanizm”. Wielbiciel twórczości Marka Hłaski, Erne-

sta Hemingwaya oraz pięknych kobiet. Gdyby mógł, to z wielką chęcią napiłby się wódki z Henrykiem Sienkiewiczem. Jego wielką pasją jest również piłka nożna, dzięki której dorobił się kilku mniej lub bardziej poważnych urazów. Mieszka w Olsztynie koło Częstochowy.

Paulina Wysocka-Morawiec

MOST

Jestem bytem dosyć osobliwym. Bywa, że zjawiam się niespodziewanie. Między innymi dlatego jestem tak nienawidzony. Ludzie, wbrew ogólnej opinii, nie lubią niespodzianek. A już na pewno nie takich, jakie dostają ode mnie...

Dawid zerknął na fotel pasażera, który zajmowała jego żona. W podróży byli już od godziny, a ona nadal się do niego nie odzywała. Siedziała, uparcie wpatrując się w nocny krajobraz za oknem. Ramiona miała zadziornie skrzyżowane, a minę zawziętą. Zerknął na jej uwypuklony brzuch. Uśmiechnął się pod nosem. Jeszcze cztery miesiące i ich rodzina ponownie się powiększy.

Popatrzył na odbicie w tylnym lusterku. Dwuletni Adaś siedział w swoim foteliku. Głowę miał opartą o jego bok, a usta lekko rozchylone. Spał. Zupełnie nie przypominał rozwrzeszczanego potwora, którym był, gdy Dawid wyciągnął go z łóżka, by przenieść do samochodu. Jedyłą pozostałością po ówczesnym pokazie niezadowolenia był kawałek zaschniętej wydzieliny pod nosem. Ogólnie rzecz biorąc, całe ich pakowanie bardziej przypominało piekło, niż spokojne przygotowywanie się do wyjazdu.

Wybrali się na Mazury, by w otoczeniu rodziny żony spędzić długo wyczekiwane wakacje. Dawid miał żeglować i łowić ryby, a Aneta odpoczywać od wszystkich obowiązków, wliczając w to ich małego synka (Adaś miał zostać oddany pod skrzydła stęsknionej babci). Czekala na nich prawdziwa idylla i chyba tylko dlatego Dawid zachował resztki spokoju i dobrego humoru, a było naprawdę trudno...

Mieli przed sobą ponad czterogodzinną podróż samochodem. By uniknąć korków i marudzenia znużonego potomka, postanowili wyjechać w okolicach godziny trzeciej nad ranem. Wieczorem część rzeczy była już upchnięta w samochodzie. Do zabrania został jedynie bagaż podręczny oraz prowiant na drogę. Mimo to Dawid już wcześniej wiedział, że będzie ciężko.

Aneta, obudzona w środku nocy, stała się lekko rozdrażniona. Na poprawę jej samopoczucia z pewnością nie wpływały ponaglące sapania męża ani rozdzierające wycie syna. Atmosfera gęstniała w tempie wprost zastraszającym. Na domiar złego, w ostatnim momencie, kiedy już mieli wyruszać z osiedlowego parkingu, Dawid przypomniał sobie o jakichś niezwykle ważnych przynętach i mimo nalegań żony postanowił po nie wrócić. Śpieszył się, jak tylko mógł. W rekordowym tempie dotarł na trzecie piętro bloku, wskoczył do mieszkania i wrócił z powrotem, omal nie spadając przy tym ze schodów. W tym czasie Aneta siedziała w samochodzie i próbowała uciszyć nadal płaczącego Adasia. Naprawdę mało brakowało, a sama zaczęłaby krzyczeć, jakby ktoś ją przypalał rozgrzanym żelazem. Kiedy Dawid wrócił, spadła na niego cała gama złorzeczeń i pretensji żony, przy akompaniamencie żałosnego zawodzenia dziecka. Wziął głęboki oddech, przeprosił i ruszył. Po dziesięciu minutach Adaś został ukołyszany do snu przez delikatny szum silnika. W samochodzie zapanała błoga cisza.

Dawid ponownie zerknął na żonę. Przygryzł dolną wargę, rozważając ryzyko, aż w końcu zdecydował się położyć dłoń nieco powyżej jej kolana. Nie doczekał się żadnej reakcji, co było bardzo dobrym znakiem. Przez chwilę obawiał się, że może stracić rękę...

– Za chwilę będzie stacja benzynowa. Może masz ochotę na gorącą czekoladę? – zagadnął głosem ociekającym słodyczą.

Kobieta zerknęła na niego pozornie obojętnie, po czym wzruszyła ramionami.

Uśmiech na jego twarzy zwiększył swoje rozmiary. Znał ją dobrze. Wiedział, że ją tym skusi. Odkąd pamiętał, była łąsa na słodczyce niczym dziecko. On, który ze słodczych lubił jedynie śledzie, nie rozumiał jej zupełnie, ale przecież wcale nie musiał.

Przypomniawszy sobie dzień, kiedy się poznali. Ona była młodą, żądną przygód studentką, a on początkującym ratownikiem medycznym, zakochanym w swojej misji. Było lato. Godzinę przed zakończeniem zmiany jego ekipa dostała wezwanie. Jakaś młoda dziewczyna miała atak padaczki w pobliżu akademików. Na miejscu zastali ją oraz jej współlokatorkę, którą była Aneta. Już w pierwszej chwili mu zaimponowała. Co prawda była zdenerwowana, ale mimo to udało jej się zachować zimną krew. Podczas oczekiwania na pomoc ułożyła swoją przyjaciółkę w odpowiedniej pozycji i dzielnie pilnowała, by nic sobie nie zrobiła podczas ataku. Jednym słowem: nie spanikowała, co było naprawdę godne podziwu. Poza tym wszystkim Dawid wprost nie mógł jej zignorować. Była najładniejszą dziewczyną, jaką dane mu było widzieć w życiu, a mogę zapewnić, że miał z czym porównać.

Aneta pojechała z nimi do szpitala, gdzie czuwała nad koleżanką, kiedy ta przechodziła wszystkie niezbędne badania. Dawid, czując jakiś dziwny wewnętrzny przymus, postanowił zrezygnować z relaksującego „browara po pracy” i został z nią.

Trzy lata później owa przyjaciółka, dzięki której się spotkali, była świadkiem na ich ślubie.

Po dwunastu miesiącach powitali na świecie Adama Krzysztofa. Poród zaczął się w środku nocy, tydzień przed planowanym terminem. Przez pięć godzin Dawid ani na krok nie opuszczał kobiety swojego życia. Dzielnie znosił jej krzyki, przekleństwa i ból zgniatanego dłoni, którą trzymała niczym w imadle. Przy tym wszystkim z anielską cierpliwością ocierał jej zroszone potem czoło i oddychał wraz z nią. Nigdy się do tego głośno nie przyznał, ale był wtedy autentycznie przerażony. Wszystko się zmieniło, kiedy usłyszał rozdzierający krzyk protestu noworodka. Położna ułożyła jego synka na piersiach mamy, a on, ojciec, patrzył na nich oboje jak zaczarowany. Miał wrażenie, że za chwilę pęknie od ogromu miłości i szczęścia. To wtedy postanowił, że będzie najlepszym tatą na świecie. Oczywiście nie zawsze mu to wychodziło, ale trzeba mu oddać, że naprawdę się starał.

Na stacji benzynowej Dawid zajął się tankowaniem. W tym czasie Aneta udała się za potrzebą. Chwilę później ponownie byli w drodze. On popijał przepyszną kawę z kartonowego kubeczka, a ona przesłodką, płynną czekoladę. Atmosfera szybko uległa poprawie. Aneta w końcu zaczęła odpowiadać na jego zaczepki, a na jej twarzy coraz częściej gościł uśmiech. Dawid był zadowolony. Obok siebie miał najpiękniejszą kobietę na świecie, w której rósł jego kolejny potomek, a za nią smacznie pochrapywał jego pierworodny. W dodatku na autostradzie panował naprawdę mały ruch, a on z każdym kilometrem coraz bardziej zbliżał się do upragnionych i od dawna wyczekiwanych wakacji. Wprost żyć nie umierać – pomyślał.

Choć powoli zbliżała się pora świtania, pierwsze promienie słońca zostały skutecznie zablokowane przez gęste, ciemne chmury. Samochód prowadzony przez Dawida wjechał na wielki wiadukt. Mimo ciemności po przeciwnej stronie mostu można było dostrzec skutki wypadku. W okolicy nie było jeszcze żadnej jednostki służb ratowniczych. W dodatku nie zaczął tworzyć się korek. Nasuwał się zatem wniosek, że do zdarzenia doszło niedawno.

Młody ratownik zwolnił, wpatrując się w to, co działo się na przeciwnych pasach. Za barierkami dostrzegł, że w zająści musiały uczestniczyć dwa pojazdy. Jeden z nich niemal został zepchnięty z mostu. Na szczęście zatrzymał się na jego barierkach, które stanowiły skuteczne, betonowe zabezpieczenie.

Dawid zaklął siarczyście, dostrzegając, że nikt z przejeżdżających nie był skory do pomocy. Nikt się nie zatrzymał, ani po jednej stronie wiaduktu, ani po drugiej. Jedyne,

na co decydowali się ludzie, to zmniejszenie prędkości do bezpieczniejszej i ciekawskie spojrzenia, a i to nie zawsze. W jego głowie zaświtała przerażająca myśl, że być może jeszcze nikt nie wezwał pomocy. Nie mógł tego zignorować.

Zjechał na pobocze, włączył światła awaryjne i spojrzał na Anetę.

– Muszę! – powiedział tylko.

Ona przytaknęła ze zrozumieniem. Wychodząc za niego, wiedziała, że niesienie pomocy innym jest jego powołaniem. Między innymi za to kochała i podziwiała.

Dawid wyskoczył z samochodu i podbiegł do bagażnika, z którego wyjął torbę lekarską, kamizelkę odblaskową oraz dwa trójkąty drogowe. Zanim pobiegł w stronę wypadku, jeden z trójkątów ustawił za swoim samochodem. Pomoc pomocą, ale bezpieczeństwo jego rodziny zawsze było najważniejsze. Następnie otworzył drzwi od strony pasażera, ucałował swoją żonę i skłamał cicho:

– Zaraz wracam.

Tak naprawdę nie miał zielonego pojęcia, ile czasu może mu zająć interwencja. Wszystko zależało od tego, w jakim stanie są uczestnicy wypadku i czy ktoś już wezwał pomoc.

Z najwyższą ostrożnością pokonał dwa pasy ruchu, by znaleźć się przy barierkach oddzielających jedną stronę mostu od drugiej. Okazało się, że pomiędzy dwiema częściami wiaduktu, które prowadziły w przeciwne strony świata, ziała niespełna metrowa dziura. Skonsternowany zerknął na uszkodzone samochody.

Trudno – pomyślał. – Wystarczy, że będę uważał.

Przecież nie mógł tak po prostu zostawić tych ludzi samym sobie.

Przerzucił swoją torbę na drugą stronę mostu i spojrzał w przepaść. Jego oczom ukazała się biegnąca w dół droga, po której co jakiś czas przejeżdżał samochód. Dawid wziął głęboki wdech, przekroczył barierkę i zrobił długi krok, szeroko rozstawiając nogi. Szybko chwycił się metalu po drugiej stronie i już po chwili uspokajał oddech, pewnie stojąc na asfalcie. Rozejrzał się, czy bezpiecznie może przejść, po czym truchtem pospieszył do dwóch rozbitych samochodów.

W pierwszej kolejności zabezpieczył miejsce zdarzenia. W odpowiedniej odległości od miejsca wypadku ustawił odblaskowy trójkąt. Po chwili pędził już do pierwszego z pojazdów, z którego powoli zaczął wysiadać roztrzęsiony mężczyzna. Był ubrany w elegancki garnitur, miał około 40 lat i oko zalane krwią z rozciętego łuku brwiowego.

– Jestem ratownikiem! – zwołał do niego. – Co się stało?

– Nie wiem – mężczyzna nerwowym gestem potarł czoło. – Jechaliśmy, jakiś passat zaczął nas wyprzedzać i nagle zjechał nam drogę. Hamowałem, ale i tak zniosło nas na pobocze.

Dawid pomógł mężczyźnie oprzeć się o maskę i przyjrzał się ranie na jego głowie. Ten odepchnął jego rękę.

– W samochodzie jest moja żona. Nie chce się obudzić. Niech pan jej pomoże.

Dawid zajął się pojazdem i rzeczywiście, na miejscu pasażera siedziała nieprzytomna kobieta. Głowę miała bezwładnie spuszczoną, jakby spoglądała na swoje stopy. Szybko sprawdził, czy oddycha i ustawił jej głowę w pozycji, która miała ułatwić jej tę czynność.

Wbrew protestom mężczyzny pobiegł do kolejnego samochodu, który zatrzymał się na betonowym murku. Zajął do środka przez szybę. Dostrzegł tylko jedną postać. Powoli otworzył drzwi od strony kierowcy. Ujrzał młodą kobietę, która spojrzała na niego przerażonym wzrokiem. Trzęsące się dłonie trzymała na kierownicy, niepewnie dotykając białej pozostałości po poduszce powietrznej. Po jej twarzy zaczynały płynąć łzy.

Dawid szybko domyślił się, że niedawno musiała odzyskać przytomność. Przejechał światłem latarki po jej ciele. Wyglądała na całą, ale to mogły być tylko pozory. Poświecił jej w twarz, badając reakcję źrenic.

– Jak się pani czuje? Coś boli, ma pani zawroty głowy, nudności? – pytał jednocześnie.

– C...co się stało? – wydusiła tylko, krzywiąc się na rażące światło.

– Miała pani wypadek – poinformował ją, przekręcając kluczyk w stacyjce, by wyłączyć silnik. – Jesteśmy na autostradzie. Proszę powiedzieć, czy może pani poruszać rękami i nogami?

Okazało się, że kobieta była w głębokim szoku, ale poza tym jej życiu nic nie groziło. W tym momencie, mając już pełny obraz sytuacji, Dawid wyciągnął telefon i wezwał pomoc, szczegółowo nakreślając stan poszkodowanych.

Czekając na przyjazd niezbędnych służb, wrócił do pierwszego z samochodów i zaczął zajmować się żoną zdenerwowanego mężczyzny. I wtedy spadły pierwsze krople deszczu.

Ambulans przyjechał naprawdę szybko. Chwilę po nim zjawił się patrol policji. Szybko okazało się, że kobieta z pierwszego samochodu zasłabła i straciła panowanie nad pojazdem. Na całe szczęście nic nie wskazywało na to, że komukolwiek stała się większa krzywda.

Młody ratownik pomagał jeszcze chwilę swoim kolegom po fachu. Gdy zjawiła się druga karetka, uznał, że z czystym sumieniem może wrócić do żony i synka.

Będąc przy barierkach strzegących przepaści, którą miał pokonać, spojrzał w kierunku swojego samochodu. Mało widział, bo drobna mżawka już zdążyła zmienić się w rzęsy deszcz. Mimo to był niemal pewny, że dwie najważniejsze osoby w jego życiu patrzą w jego stronę. Uśmiechnął się i pomachał do nich.

Przerzucił torbę, przekroczył barierkę, zrobił krok i nim mógł w jakikolwiek sposób zareagować, poczuł dziwną nieważkość. Ułamek sekundy później dotarło do niego, co się stało i ogarnęło go przerażenie, zmieszane z niedowierzaniem.

„Przecież to nie może być prawda. To nie może się dziać...” – przeleciało przez jego głowę na chwilę przed zderzeniem z bezlitośnie twardym asfaltem.

Ale się działo, a ja już łapałem jego struchlałą, zaskoczoną duszę, by poprowadzić ją w dalszą drogę.



Paulina Wysocka-Morawiec – ur. w Tarnowskich Górach w 1990 r., absolwentka Wydziału Zarządzania Politechniki Częstochowskiej, laureatka Turnieju Jednego Opowiadania organizowanego przez Ośrodek Promocji Kultury „Gaude Mater” w Częstochowie oraz Koło literackie Anafora, autorka prozy, blogerka.

Paulina Wysocka-Morawiec, foto ze zbiorów prywatnych

Ida Jadwiga Łubińska

IMIĘ

Czarno-białe zdjęcie. Na fotografii roześmiana, około półtoraroczna dziewczynka w wydzierganej na drutach sukience, z wielką kokardą we włosach, trzyma się za ucho. To mała Lusia. Jedno z pierwszych zdjęć z albumu założonego przez mamę.

Helena dawno nie sięgała do pamiątek, do wspomnień. To zdjęcie odgrzebuje ukryte w bibliotece podświadomości historie. Przywołuje pamięć zasłyszanych w dzieciństwie opowieści rodziców o czasie wojny, czasie jej narodzin.

Ile w tym prawdy, a ile iluzji, trudno ocenić. Umysł odtwarza to, co wydaje się ważne, co zostało uchwycone na kliszach wspomnień, w kalejdoskopie słów... Helena w swojej dziennikarskiej pracy, słuchając relacji świadków jakiegoś zdarzenia dziwiła się, jak często opowieści różnią się między sobą. Czasem to tylko drobne ułamki wyławiane są z całości historii, czasem inna perspektywa, inny psychologiczny odbiór...

Oczami duszy zobaczyła stary dom dziadków, zarośnięty staw, siebie w ramionach matki, a wyobraźnia malowała zasłyszane scenki.

* * *

Niepewne i niebezpieczne to były lata. Okupacja niemiecka. Wczesna wiosnaniosła nikłą nadzieję na jakiś cud. Słońce świeciło jaskrawo, pogodnie, z okolic nie dochodziły odgłosy strzelaniny, a w wiosce nic groźnego ostatnio się nie wydarzyło. Wieśniaczki wyglądały na pola, wdychając szeroki horyzont i tę błogą ciszę.

Eh! Ale jest wojna. A wojna to wojna – z jej zagrożeniami, konsekwencjami, nieprzewidywalnością. Egzystencja autochtonów była krucha niczym topniejący lód na pobliskim stawie.

Dąbki należały do Rzeszy, chociaż tak naprawdę ledwie kilku mieszkańców umiało porozumiewać się w języku okupanta. Wioska z przeładunkowym węzłem kolejowym i stacją znajdowały się w jednym z dystryktów Rzeszy, do której została włączona część województwa łódzkiego. Do terytorium Niemiec wcielono tereny, które nigdy nie należały do tego kraju, a były jedynie okupowane przez Niemców podczas I wojny światowej. Granica Generalnego Gubernatorstwa (GG) znajdowała się kilka kilometrów dalej na wschód.

Ale to w Dąbkach ma swój początek historia Lusi.

Zbliżał się czas rozwiązania. Celina Bryczkowska zawiązała węzełek z rzeczami. Miejscowy chłop za niewielką opłatą zawiezie ją kilkanaście kilometrów do wioski, gdzie ukrywa się jej Jasio, który teraz pracuje przy przeładunkach kolejowych. Stary koń ciężko człapie i każda dziura w błotnistej, wiosennej drodze powoduje u niej ból. Celina obejmuje mocno brzuch, szepcząc w duchu: Dam radę. Panie Boże, dam radę! Przecież to nie mój czas, jeszcze nie mój.

Te kilkanaście kilometrów jazdy sprawiło, że zaczęła trochę panikować. Ostry wiosenny wiatr przenikał przez płaszczy chusty. Było jej zimno i chciało się jej pić. Dzidzius w jej łonie wiercił się niespokojnie, a koń włókł własnym, powolnym rytmem.

Kiedy dotarła na miejsce, marcowy zmierzch kładł się na drogę delikatnym cieniem. Jasio, przestępując nerwowo z nogi na nogę, stał przy błotnistym chodniku kierując zaprzęg w stronę budynku stacji. To tu, na poddaszu, udostępniono mu i jego ukochanej Celinie mały pokoik.



* * *

Silny, napierający ból obudził Celinę. Usiadła na łóżku i spojrzała na miejsce obok. Było puste. Prawda, przypomniała sobie, Jan mówił, że już o piątej musi być w pracy. Ciężka zasłona wąskim pasmem ledwie przepuszczała poranne słońce. Powoli zsunęła się z łóżka, by odsłonić okno. Wyrzała. Peron przed budynkiem świecił pustką. Nagle poczuła, że odchodzą jej wody. Bose stopy tkwiły w ciepłej kałuży. Przeraziła się. Przecież mam rodzić za dwa tygodnie – westchnęła przeciągle. Jestem tu taka sama, samiutka. Co mam robić? Niemy krzyk przerodził się w przeciągły jęk. Powolutku wróciła do łóżka.

Oddech wydłużył się. Oddychała teraz wolno. Zapamiętała ten nakaz ze szpitala. Dwa lata temu straciła synka, Tadzia. Ale była w szpitalu, miała opiekę. Żałośnie załkała. Łzy spływały strużkami po policzkach. Czuła całą swoją bezradność i lęk. Jeszcze schowany, ukryty, jeszcze nie wypłynął tłumionym krzykiem. Gorączkowe myśli bezładnie szalały w jej głowie. Kombinowała, co należy zrobić. Nie wyjdzie na zewnątrz. Jest zimno i boi się... bardzo się boi.

Nagły ból, silny, rozpierający. Parcie trwało sekundy, może minuty. Cała była w tym bólu. Podpowiadał instynkt i nieważne były wcześniejsze przemyślenia.

Kolejny, przesywający, gwałtowny napór i mała istotka wyslizgnęła się z niej na posłanie. Z trudem docierało do niej to zdarzenie. Cud! Celina po chwili uniosła głowę, by ogarnąć sytuację. Maleństwo próbowało wydać swój pierwszy krzyk, ale buzia zanurzona była w pościeli. Tylko czarna, gęsta czupryna sterczała znad prześcieradła. Leżało na brzuszku, więc krzyk był zduszony, ledwie słyszalny. Celina opuściła głowę. Znow ogarnęło ją przerażenie. W szpitalu po porodzie nie kazano jej ruszać się. Leżała w łóżku prawie dwa tygodnie. A teraz – co ma robić, co?

Usłyszała zgrzyt klucza w drzwiach. Oniemiały z wrażenia Jan stał w progu. Po chwili podbiegł do łóżka, delikatnie unióś dziecko i położył na pleckach. – Marylka! – wyszeptał i uśmiechnął się. – Zaraz wracam, sprowadzę akuszerkę – powiedział. – Jesteś wspaniała! – dodał i pogłaskał Celinę po policzku. Mała zapłakała. Jasiek zawrócił i przykrył ją ręcznikiem.

Celina była spokojniejsza. Najgorsze chyba minęło. Intuicyjnie czuła, że będzie dobrze. Chociaż... Myśli i związane z nimi lęki znowu zaczęły drażnić jej umysł.

* * *

Marylka leniwie, z przerwami, ssała pierś mamy, odwracała główkę, jakby chcąc uwolnić się z przymusu picia i uścisku. – Marylko, kochana musisz coś jeść. A to jest twoje jedzonko – szeptała Celina głaszcząc swoją córeczkę. – Jest taka śliczna, taka maleńka... taka słodka – myślała wpatrując się zachwytem w dziewczynkę.

Marysienka ma już tydzień. Wszystko ułożyło się pomyślnie. Codziennie, swoim zdezelowanym rowerem, przyjeżdża akuszerka. Trochę pomaga, kąpie małą, instruuje Celinę. Jest przyjazna i bardzo pomocna. Mieszka kilkanaście kilometrów dalej, w prostej linii od Dąbków. Tuż przy granicy. Wieś nazywa się Brzeziny. To dawne, zdegradowane miasto z neogotyckim kościołem, w którego mury wkomponowano wieżę z dawnego kościoła. Ma jakiś niezwykły, staroświecki klimat.

Bryczkowsky zdecydowali, że ochrzczą dziewczynkę właśnie w tym kościele, w Brzezinach i poprosili akuszerkę Henię, którą szczerze polubili i mówili już sobie po imieniu, by była chrzestną Marylki. Tak, dziewczynka otrzyma imię Maria, Marylka. W rodzinie jest już Marysia, Marychna i Marynia. Więc ich córeczka będzie Marylką.

Henia jest młodą kobietą, córką miejscowego felczera. Stąd zapewne jej zainteresowania medyczne, spora wiedza i szacunek, jakim darzyła ją miejscowa ludność. Chrzestny, także o imieniu Henryk, znał się już wcześniej z Janem.

Kwestie dotyczące chrztu zdominowały rozmowy Bryczkowskich. Już trzeba przygotowywać się do uroczystości, pomyśleć o jej oprawie, o stroju dla dziecka, o zaproszeniach, o poczęstunku dla gości. Marylka jest przecież ich pierwszym dzieckiem. Nie będzie proste to wszystko tu ogarnąć. W Dąbkach znaleźli się przypadkiem. Nie znają zbyt wielu miejscowych. – Poradzimy sobie – powiedział Jasio zamykając temat i przytulając do siebie ukochaną żonkę. Do załatwienia pozostały jeszcze formalności w urzędzie, w Pajęcznie.

* * *

To, co wydawało się proste, okazało się więcej niż problematyczne. Urzędujący „kacyk” miał osobliwy pomysł na stygmatyzację polskich dzieci urodzonych w czasie sprawowania przez niego władzy. Otóż wszystkie dzieci urodzone w podległych mu miejscowościach automatycznie otrzymywały na pierwsze imię, w zależności od płci, Kazimierz lub Kazimiera. Niejako z urzędu. Na drugie mieli do wyboru dziesięć imion.

Kiedy Jan przywiózł te wiadomości do ich tymczasowego lokum, emocje wzięły górę. Przegadywali się z Celiną podniesionymi głosami. Przecież do dziecka mówimy Marylka, reaguje na to imię. Oboje związali to imię z osobą małej. A teraz co? Kazia? Jaka Kazia?

Wśród dziesiątki drugich imion też nie było wielkiego wyboru. Deliberowali prawie dwa dni, by ostatecznie wybrać imię Helena. „Lusia” – wymyśliła Celina. Niech będzie Lusia! I tak zapisano w akcie urodzenia w Pajęcznie: Kazimiera Helena.

* * *

Proboszcz w Brzezinach nie miał żadnych obiekcji, by nie stosować się do tego rozporządzenia. Osobiście nie znajdował żadnych przeciwwskazań. Jeśli chcecie imienia Maria dla swojej córeczki, mówił, otrzyma takie imię na chrzcie. Mnie nie obowiązują nakazy urzędnicze z tamtej strony granicy. Ale Jan, przed wojną urzędnik gminny, czuł respekt dla prawa i jego rozporządzeń. – Jak to? Dziecko ma mieć dwa akty urodzenia, cywilny i kościelny, na różne imiona? – głośno rozważał, Tu, gdzie mieszkają, w Rzeszy, będzie Kazimierą, a w kościelnym zapisie Marią? Chociaż był przekonany, że wojenna rzeczywistość jest przejściowa, teraz nie widział rozwiązania dla problemu.

Uroczystość kościelna była nastrojowa. Muzyka organowa napełniała mury tej pięknej świątyni dźwiękami „Toccaty i fugi d-moll” Jana Sebastiana Bacha. Dopisali goście. Także wielu miejscowych wiernych uczestniczyło w obrzędzie. Ceremonia odbywała się w bocznej nawie, gdzie znajdowała się duża średniowieczna chrzcielnica. Dziewczynka na chrzcie otrzymała trzy imiona: Helena, Kazimiera, Maria. Lusia, bo teraz właśnie tak zaczęto się do niej zwracać, jak przystało na bohaterkę dnia, donośnie płakała, utrzymując uwagę obecnych na swojej osobce. Niektórzy z gości uśmiechali się pod nosem, opowiadając później, że zastanawiali się, kto utrzyma frazę dłużej i głośniej: Lusia czy organy.

Dziewczyneczka rosła zdrowo, była śliczna, rezolutna i lubiła swoim zachowaniem i „gierkami” przykuwać uwagę innych.

Celina urodziła jeszcze dwójkę dzieci, Stasia i Hanię. Ale Lusia pozostała dzieckiem specjalnej troski i lęków. Zasłyszane w przeszłości stwierdzenie, że dzieci urodzone bez bólu szybko umierają, sprawiło, że Celina Lusię oszczędzała bardziej niż pozostałe dzieci, na więcej jej pozwalała, nie obarczała obowiązkami, tłumacząc pozostałej dwójce, że ich siostra jest słaba, że sobie nie poradzi, że coś zapomni. A przytulając Lusię, szeptała jej na uszko: Moja kochana córeczka, najpiękniejsza księżniczka – i obsypywała pocałunkami.

Lusia była rzeczywiście pięknym, pełnym wdzięku, grzecznym stworzeniem. No, może nie tak do końca. Była miła, przytakująca, ale zawsze stawiała na swoim.

Nie lubiła swojego imienia. Krótco po wojnie, w Sądzie Rejonowym, na wniosek rodziców, wykreślono zapisane w akcie urodzenia imię Kazimiera. Rodzina mieszkała już w dużym mieście, a dziewczynka nazywała się teraz Helena Maria Bryczkowska.

Z jej imieniem to nie koniec. Na różnych etapach życia zmieniała je kilkakrotnie. Była Leną, Eleną, a czasem zastępowała je pseudonimem, by ostatecznie powrócić do pełnego – Helena. Mówi teraz:

– Imię Helena ma w sobie jakąś niezwykłą moc, siłę kobiecości. Stało się Jednym ze mną. Ja, Helena. Lubię je. A moje narodziny? Takie bez bólu matki? Miały wróżyć dziecku krótkie życie. Według mojej mamy to był zły omen! Całe swoje życie lękała się o mnie. I cóż, nie sprawdza się! Więc cieszę się, bardzo się cieszę, że żyję! (na jej twarzy pojawia się uśmiech). Bo życie to cud, działanie, przygoda... niespodzianka.

Helena wolno przewraca karty albumu. Czarno-białe fotki rejestrują kolejne etapy jej życia: rośnięcie, dojrzewanie... Zamyka album.

PELA

Nie mógł usnąć tej nocy. Zbyt dużo było zamieszania w ciągu dnia. Żeby takie zmiany i to tak nagle. Uporządkowany świat rozsypał się i nie było do końca wiadomo, czy da się z tym cokolwiek zrobić. No bo tak nagle wtargnęli, narobili rumoru, pokazywali te wszystkie przyciski, guziki... I zostawili, jak tam jej jest...PELA. Zostawili PEŁĘ. A pani Justyna tylko stała, uśmiechała się, zadowolona taka. A przecież do tej pory układ był prosty – pani Justyna była jego dochodzącą w określonych dniach opiekunką, a on był jej podopiecznym. Proste? Przyszła, posprzątała, ugotowała, wyprała. I zakupy zrobiła. Prawie jak żona, która to, biedaczka, zmarła parę lat temu. Henrykowi to pasowało. Nie to, że żona zmarła, tylko że pani Justyna wywiązywała się. W porządku była. A teraz ta PEŁA...

Spojrzał poprzez mrok pokoju w to miejsce, gdzie postawiono PEŁĘ. Pilot spoczywał na nocnej szafce Henryka. Pilot do PELI. Bo PELA była na pilota. To znaczy włączało się ją przy pomocy pilota. PELAXY001 była sterowana pilotem. I miała zastąpić panią Justynę. Podobno PELAXY001 została do takich celów stworzona. PELAXY – w skrócie PELA. Jak to mówili ci rozgadani inżynierkowie, którzy PEŁĘ zademonstrowali w skromnym mieszkaniu schorowanego emeryta Henryka? Zintegrowany, kognitywny pomocniczy robot towarzyszący, wspierający niezależność i bezpieczeństwo. Czy jakos tak podobnie. Nadmiar informacji i wrażeń niepokoił Henryka. Zobaczymy jutro, przekonamy się. Zawsze będzie można złożyć zażalenie, poskarżyć się. I wrócić do dawnych, wypróbowanych układów

Rano PELA, cała rozmigotana, wprost rwała się do pracy. Jej czujniki wyłapywały ten stopień natężenia światła dziennego, na który zaprogramowany był jej pakiet startowy i który budził ją do życia.

Henryk przyjrzał się jej dokładniej. Wczoraj starał się pojąć i zapamiętać funkcje oraz odpowiadające im przyciski pilota. A więc PELA prezentowała się w blasku poranka jak... No właśnie – jak kto? Jak co? Podstawę miała solidną, z lekko zaznaczona talią. Część górna, którą, idąc na wszelkie kompromisy, można by nazwać głową, miała kształt małego telewizorka. W instrukcji obsługi można było przeczytać, że jest to wyświetlacz, który posiada videotelefoniczny interfejs, przy pomocy którego można z PELĄ porozumiewać się, a i ona może wyrażać swoje uczucia i potrzeby. No i jeszcze ręce. Solidne, wieloprzegubowe chwytaki o mocarnych dłoniach. Spod podstawy tej całej, niezbyt wysokiej konstrukcji, wyłaniały się zestawy kółek, przy pomocy których PELA się przemieszczała.

Całość była w kolorze jasnokremowym. Barwą wyróżniała się górna część, czyli interfejs, na którym na dobry początek wyświetliła się buźka, uśmiechnięta emotikonka.

Pilot... Co trzeba zrobić, żeby PELA przygotowała śniadanie? Zaraz, zaraz, jest przecież instrukcja. Uruchomimy ten przycisk... PELA dostała wigoru i zaczęła się krzątać. Henryk ze swojego posłania – rzadko już wstawał – słyszał odgłos nalewanej do czajnika wody, trzask otwieranej i zamykanej lodówki i oto przed Henrysiem znalazła się pełna śniadaniowych przysmaków taca. Były nawet świeże rzodkiewki, których ostatnio w lodówce nie widział.

Okazało się, że to pani Justyna robiła zakupy. Zjawiała się, tak jak dawniej, dwa razy w tygodniu i zapełniała lodówkę.

– No, jak tam sprawuje się pana nowa gospodyni, panie Henrysiu? – pytała czasem z ciekawością.

– To nie to samo, co pani, pani Justynko – mówił Henryk i puszczał do niej oko.

Mijały dni. Henryk od dawna nie wychodził z domu. Jego zdezelowane stawy z trudem dźwigały potężną sylwetkę mężczyzny. PELA, owszem, uwijała się po domu na swoich rolkach, gotowała, sprzątała. Trzeba było tylko uruchomić odpowiednią funkcję i wszystko było zrobione. Henryk wyczytał w instrukcji, że jego nowa pomocnica ma wbudowaną zdolność mowy, lecz było też zastrzeżenie, że czynność ta włącza się samoistnie dopiero po pewnym czasie, gdy zażyłość pomiędzy opiekunką a jej podopiecznym wejdzie w odpowiednią fazę.

Pomimo tej krzątanimy, użyteczności i, powiedzmy śmiało, obecności, Henrykowi w PELI czegoś brakowało. Przyglądał się jej, gdy wykonywała jego polecenia i zastanawiał się, kiedy do niego przemówi. Brakowało mu kobiecego głosu, spojrzeń, gestów. Czasami skarżył się pani Justynie, że ta maszynka to jednak nie to samo, co prawdziwa kobieta.

– No, no, panie Henrysiu – mówiła Justyna – ostrożnie, te maszynki nie są do końca rozgryzione. Po prawdzie to masz pan eksperyment w domu. Nie szalej pan.

PELA dobrze gotowała. I szybko. Po zaprogramowaniu natychmiast zabierała się do pracy. Warzywa, oczyszczone i obrane, lądowały w garnku. Prawą ręką miała mięso, lewą zagniała ciasto na makaron. I wszystko bez jednego słowa. Kobieta, która nie mówi – wydawałoby się: skarb. Jednak chciałoby się – myślał Henryk – trochę pogadać.

Któregoś dnia PELA zaśpiewała. Przy pracy zaśpiewała. Właśnie prasowała ręczniki i bieliznę Henryka, kiedy włączyła jej się opcja śpiewania. Był to stan pośredni między milczeniem a mówieniem. „Na całych jeziorach ty...” – zmysłowy głos Kaliny Jędrusik był pierwszą oznaką, że w PELI budziła się dusza. A potem poszło... A to piosenki „Mazowsza” odśpiewywane chóralnie, a to arie operetkowe, ballady i wszelakie instrumentalno-wokalne utwory z repertuaru znanych wykonawców. Henryk słuchał cierpliwie, nie musiał włączać radia. Kiedy mu się znudziło, robił odpowiedni „klik” i PELA milkła, by po jakimś czasie intonować samoistnie wybrany – nie wiedzieć czemu właśnie ten a nie inny – utwór muzyczny. Ale kiedy pewnego dnia PELA zaśpiewała bezzębnym głosem pogiętej przez życie starowinki:

Poszła Maryna za uobore,
bo miała brzuch bardzo chore,
oj, dyna, dyna,
wali dym z komina,
wali i Maryna

Zobaczył Antek to, niecnota,
że za uoboro coś się miota,
oj, dyne, dyne,
wychylił się krzywe
zobaczył Ma...

Henryk nie wytrzymał:

– A co mi tu wyśpiewuje! Czastuszki jakieś! Co to ja jestem, jakiś kmięć zagrodowy? Mężczyzna jestem, chamstwa nie lubię! Delikatniej mi tu!

Spłoszyła się PELA, zamigotała interfejsem, pokazała płaczącą emotikonkę i w ten repertuar już nie wchodziła.

– Rozumie, bestia – pomyślał Henryk.

Pewnego dnia PELA przemówiła. Rano, po włączeniu, zamiast jakiejś śpiewki, Henryk usłyszał:

– Co mam przygotować na śniadanie? Jakie jest twoje życzenie?

Henryk natychmiast powiadomił o tym wydarzeniu pracownię inżynierską, która PEŁĘ skonstruowała. Znowu wpadła ta banda inżynierów, aby naocznie stwierdzić zaistniałe wydarzenie. Byli zachwyceni, gratulowali Henrykowi. – Kto wie – dyskutowali podekscytowani – czy nie jesteśmy lepsi w tej dziedzinie od Japończyków. PEŁA może zawojować świat! Trzeba uruchomić produkcję seryjną! Jakie to możliwości się otwierają! Będzie można zarobić porządne pieniądze, nareszcie.

Poszli i życie toczyło się dalej. Henryk leżał przeważnie w łóżku, czytał, oglądał program telewizyjny, rozwiązywał krzyżówki. PEŁA dbała o czystość, jedzenie, porządek w domu. Jak to kobieta. Z czasem jednak jej ciągła obecność zaczęła nudzić i denerwować Henryka.

– Co się tak grzebie, szybciej nie można? – wyrывało mu się czasem. Nie, żeby PEŁA się ociągała, ale skoro jest możliwość wyrażenia swojego zdania...

– Dlaczego te naleśniki są przypalone? Chyba można trochę bardziej uważać? No ale do tego trzeba mieć olej w głowie, a u ciebie z tym jakaś porażka.

Tak, zdarzały mu się takie teksty. I to coraz częściej. PEŁA zmakotniała. Emotikonki miały buzię w podkówkę, a i łezki bywały widoczne. Ale nadal pytała:

– Wolisz do drugiego dania buraczki czy marchewkę?

I spełniała życzenie. A jednak go wkurzała. Coś ostatnio wszystko go wkurzało. Można powiedzieć, że był wkurzony od rana do wieczora, a nawet trochę dłużej. A już ta PEŁA... Czasami z nudów powarkiwał:

– Te, PEŁA, ciuchy mi na jutro czyste wyszykuj, doktor ma przyjść.

Któregoś dnia zauważył u swojej gosposi źródło silnego światła, gdzieś po lewej stronie tej części, którą można by nazwać torsem. Światelko jarzyło się poprzez powłokę konstrukcji i było widoczne zwłaszcza w nocy, kiedy PEŁA stała unieruchomiona.

– A co ty tam masz, takie świecące? – zapytał z ciekawości.

– To moje serce – odpowiedziała – obudziło się we mnie serce.

– Serce? Ktoś taki jak ty ma serce? Nie rozśmieszaj mnie! Mnie twoje serce nie jest do niczego potrzebne. Jak będę chciał, to je zgaszę.

Ale serce gorzało. Żyłło swoim światłem i Henryk musiał je zaakceptować. Żaden przycisk na pilocie nie odpowiadał funkcji: Zgaś serce. Wyłącz serce. Widocznie serce, rozbudzone i żyjące, miało takim pozostać.

Pewnego dnia popchnął PEŁĘ. Nie przewróciła się, miała stabilną konstrukcję, która zabezpieczała ją przed takimi przypadkami. To go rozzuchwaliło.

– Ciekawe, ile wytrzyma – myślał. Szturchnięcia, złe słowa – PEŁA była zdana na jego humory. Jej serce migotało wtedy rozpaczliwie. A w nim rosła niechęć do niej. Mógłby ją unicestwić, zniszczyć i nie ponieść za to żadnej odpowiedzialności.

– To tylko maszyna, sztuczny twór – takie przemyślenia leżały się w jego umyśle – zawsze można powiedzieć, że zdarzył się nieszczęśliwy wypadek.

Pozwalał sobie na coraz więcej. Byli przeważnie sami, zdani na siebie. Interesowało go, czy mógłby doprowadzić ją do takiego stanu psychicznego, do jakiego doprowadził w swoim czasie – ech, wspomnienia... – żonę. Biedulka nie wytrzymała długo. Słaba była, byle czym się przejmowała. I marnie skończyła. Z PEŁĄ może być trudniej.

Emotikonki łały łzy, często miały buzię w podkówkę, ale wszystkie czynności przypisane PEŁI były wykonywane bez zarzutu. Tylko coraz rzadziej śpiewała, a jeżeli już, były to smutne ballady Cohena, śpiewne dumki na kilka serc, utwory rzewne, nostalgiczne. Coraz częściej stawiała przy oknie i patrzyła na szare, nieciekawe osiedle. Co Henryka, oczywiście, denerwowało.

– Co się tak gapi, bezmyślnie tak? Nie trzeba to czego wyszorować, nastawić na ogień,

poukładać na swoje miejsce? W domu zawsze jest robota. Staraj się, staraj, bo naskarzę na ciebie! Zdemonstuję cię tak szybko, jak cię zmontowali. Moja w tym głowa.

Już mu się to wszystko przestało podobać. Krząta się to takie coś, ni to baba, ni maszyna, niby coś tam robi, ale co to za robota.

Przypomniał sobie, że ma stary kij bejsbolowy schowany za którąś z szafek. Z trudem zwałókl się z posłania, wydobył go i postawił koło łóżka. Usiadł i zamyślił się. Co dalej? Przecież będzie mógł powiedzieć, że go zaatakowała, że stała się niebezpieczna. Musiał się bronić, niedołączny, schorowany Henryś.

– Tylko ją trochę szturchnę – kombinował – ciekawe, czy tworzywo, z którego ją skonstruowano, wytrzyma lekkie uderzenie. To będzie taki eksperyment. Naukowy.

– Podejdź no do mnie, PELA – głos jego był łagodny, spokojny i opanowany – troszku porozmawiamy. Smutnaś coś ostatnio i nie śpiewasz. Martwię się, wiesz?

PELA porzuciła pracę w kuchni i lekko potoczyła się w stronę głosu, który ją przywabiał. Kiedy była już blisko, Henryk chwycił kij i zamachnął się na tyle dziarsko, na ile pozwalały mu siły.

I wtedy stało się. Zanim cios dosięgnął PELE, wyciągnęła ona swoje wieloprzegubowe kończyny górne i, chwyciwszy Henryka, podniosła go w mocarnym uścisku. Rozległ się śpiew:

Słodkie żywioły we mnie śpią,
mogę lawiną runąć złą,
żarem pustyni spalę cię,
fatamorganą staję się

– aksamitny głos Edyty Górniak wzbił się w powietrze, uleciał otwartym oknem i krążył w ciasnych podwórkach. Henryk nie mógł się poruszyć, jego ciało było jak sparaliżowane. Tracił oddech. Uścisk PELI był zabójczy.

Jestem kobietą,
wodą, ogniem, burzą,
perłą na dnie,
wolna jak rzeka
nigdy, nigdy nie poddam się

PELA rzuciła ciało Henryka na posłanie. Nie śmiał się ruszyć, zdruzgotany tym, co go spotkało. Wiedział jedno – tej KOBIECIE to on już nie podskoczy. Nigdy.

Jestem dobrem, jestem złem,
jestem kobietą,
nigdy, nigdy nie poddam się,
jestem wodą, jestem ogniem,
jawą i snem

Pieśń zakręciła osiedlem i poszybowała dalej, w miasto zajęte swoimi sprawami, obojętne i zmęczone codzienną egzystencją. Kobiety podniosły głowy i uwolniły dłonie od codziennych zajęć. Przystanęły, zatrzymały się na chwilę. Witały słowa, które przecież zawsze drzemały w nich, ciche i utajone, by w tym dniu przemówić do nich z całą mocą.

ROZMOWY O POLSKIEJ MOWIE.

Z Bohdanem Zadurą, poetą, prozaikiem i tłumaczem, rozmawia
Barbara Strzelbicka



Bohdan Zadura i Barbara Strzelbicka, foto Muzeum Częstochowskie

Jest Pan postrzegany jako ktoś, kto tropi język – mówi o tym między innymi przeprowadzający wywiad z Panem Jarosław Borowiec. Pańskie życie zawodowe jest ściśle związane z językiem. Dlaczego język jest dla Pana ważny?

Coś się we mnie buntuje przeciwko takiemu ujmowaniu sprawy. Ja jako mały chłopiec, udający, że jest Old Shatterhandem albo Winnetou, przyglądającym się śladom końskich kopyt, złamanym gałązkom, wdychającym wiatr? Uganiający się jako myśliwy za tygrysem gdzieś w Azji czy Afryce albo choćby za polskim dzikiem, który przecież żyjąc gdzieś na Podlasiu nawet nie wie, że jest nosicielem afrykańskiego pomoru świń? Chyba jest zupełnie inaczej – nie ja poluję na język, to język poluje na mnie – na nas. Więc nie tyle dopaść, co nie dać się dopaść.

Stwierdza Pani, że moje życie zawodowe jest związane ściśle z językiem. I pyta Pani, dlaczego język jest dla mnie ważny. Mógłbym odpowiedzieć poprawnie: Język jest dla mnie ważny dlatego, bo jest z nim związane moje zawodowe życie. Dowiedziała się Pani czegoś z tej odpowiedzi? Myślę, że nie. A gdybym powiedział, że to nie język, a całe moje życie jest związane z moim zawodowym życiem? Co to jest zawodowe życie? Jest taki zawód, polegający na wykonywaniu życia? No bo, na litość boską, chyba nie wykonuję zawodu poety? Taki zawód nie istnieje. Żyć zawodowo? I o jaki język chodzi? Różne są. Język ciała też.

Inna Pana wypowiedź: „język poezji to język precyzji”. Jak osiąga się precyzję języka? Jakie są główne grzechy przeciwko tej zasadzie i czy je Pan obserwuje w poezji współczesnej?

Jak się osiąga, to chyba nie wiem, pewnie bardziej wiem, na czym to polega i jak jej brak można poznać. To chyba wymyśliłem sobie kiedyś jako argument do oddalania zarzutu „niezrozumiałości poezji”. Poezja ma własny, specyficzny język, tak jak ma go na przykład matematyka, jak się nie opanuje pojęć matematycznych, to patrząc na jakieś operacje, równania, wzory, jest się ciemnym jak tabaka w rogu, siedzi się jak na tureckim kazaniu. O poezji polskiej mam dobre zdanie, uciekałbym od uogólnień, strasznie dużo tych wierszy powstaje – świetnych, dobrych, kiepskich, fatalnych.

W jednym z wywiadów powiedział Pan, że „poezja nie zmienia świata, ona jest od dawania świadectwa”, które, jako realizujące się w języku, jest także świadectwem języka. Jakie jest to świadectwo?

Takie wspomnienie z samych literackich początków – czekasz na swój pierwszy wiersz w druku, wydaje ci się, że wszystko od chwili debiutu będzie inne, a tu nic się nie zmienia, nawet w twoim życiu, więc co mówić o świecie. A świadectwo wiersz może dawać na różnych poziomach. Dziś to zabrzmiało dziwnie, ale gdy kończyłem szkołę średnią uświadomiłem sobie, że chyba w żadnym wierszu nie spotkałem samochodu, taksówki, tylko jeźdźcy na koniach. Ewentualnie dorożka. Tytuł wiersza Różewicza *Dytyramb na cześć teściowej* szokował, bo okazało się nieoczekiwane, że takie słowo jak „teściowa” ma prawo pojawienia się w poezji. Czy poezja musi dawać świadectwo języka? Myślę, że nie musi, bo nic nie musi. Moja akurat chyba próbuje dawać, bo mam taką słabość, taki kaprys. Pewnie powinienem zaprzyjaźnić się z jakimś psychiatrą, naprawdę cierpię, jak słyszę, że ktoś mówi w roku „dwutysięcznym dziewiętnastym”, jak ktoś pisze „także” łącznie, ale nie w znaczeniu „też”, „również”, a w znaczeniu „tak więc”.

Jaki język dociera do Pana ze świata i co mówi o rzeczywistości?

Podejrzewam, że taki sam, jaki dociera do Pani. *Gender* się szerzy i to promują go ci, którzy skądinąd go zwalczają i nim straszą, jak kiedyś postmodernizmem. A sami go lansują w języku, zacierając tożsamość płciową pewnych słów i przy okazji też uprawiając feministyczny seksizm. Nie słyszy pani tej „półtorej” – roku, kilograma? A zauważyła Pani, jak przyimek „z” wypierany jest przez „od”? Meble od IKEA (napisałem kiedyś wiersz „Trumny z IKEI”, i będę tę nazwę odmieniał, bo wszyscy, co tam chodzili, odmieniali), czekoladki od Wedla, samochody od Fiata, wiadomości od gazety. Jak już się zaczynam w tym gubić i nie słyszeć absurdalności, przypominam sobie dawną audycję zmarłego przed rokiem Wacława Tkaczuka „Wiersze z gazet i czasopism” i zmieniam jej tytuł na nową modłę, by się upewnić, że idiotyzmem byłyby „Wiersze od gazet i czasopism”. Jeden z komentatorów tenisowych z uporem i z upodobaniem mówi o tenisistach chodzących do sieci – skręca mnie i wyłączam głos – rybak się znalazł. Cały czas w tenisie była siatka i w siatkówce była siatka, a tu nagle pan Lorek mówi o sieci, i Hubert Hurkacz to dla niego Hubi. Australijczyka, żeby nie nadużywać nazwiska nazywa Kangurem, a Japończyka Samurajem. Ponieważ jesteśmy uprzedmiotawiani, to rzeczy się personalizuje. Fabryka jest niczym osoba, więc już nie ma niczego z niej, wszystko jest od niej. A autobus mówi do nas: „Jestem hybrydowy”.

Pański „prywatny kodeks językowy” nie pozwala na używanie takich słów, jak cham i hołota, niechętnie używa Pan słowa głupota. Nie wspomina Pan natomiast o słowach

„powszechnie uznawanych za wulgarne”. Dla tzw. powszechnego odbioru jest to dość nieoczywiste. Proszę zatem o wyjaśnienie, jakie używanie języka jest niezgodne z Pańskim kodeksem.

Z tym kodeksem to pewnie przesada, są słowa, które mi się nie podobają, których nie lubię. Trudno powiedzieć dlaczego, bo słowo oznaczające rodzaj śledzi „matjasy” jest dla mnie w porządku, a słowo „majtasy” budzi we mnie odruch wymiotny. „Starego pierdołę” akceptuję, z „pierdzielem” jest gorzej, a „pierdzieć” nie przechodzi mi przez gardło. Słowo „kurwa” ma dla mnie urodę, „kurna” nie za bardzo, choć w zestawieniu „kurna Olek” jest coś intrygującego, no bo skąd ten Olek? „Kuźwa” jest do niczego, to zgniły owoc kompromisu i hipokryzji, chcesz zjeść ciastko i mieć ciastko. Kiedy pojawiło się słowo „zajebisty”, pomyślałem, że świat długo nie potrwa, a ja tego przymiotnika nigdy nie użyję. Zjeść ciastko i mieć ciastko. Czasem to możliwe – nie lubię tego czasownika na „j”, ale czasem lubię pomyśleć albo nawet powiedzieć „Idźcie się rzeźbić”. *Sapienti sat.* Wulgaryzmy? Gdzie, kiedy, do kogo, przy kim. Powiedzmy tak: nie ma słów wulgarnych, wulgarni bywają ludzie. Więc bardzo mnie śmieszy, jak pewni politycy wzbudzają oburzenie suwerena, uświadamiając mu, jakim „rynsztokowym językiem” mówią ich podsłuchani adwersarze w prywatnych rozmowach przy ośmiorniczkach. Mam umówioną na godzinę wizytę u kardiologa, obsuwka dwu i półgodzinna i okazuje się, że od ostatniego razu podróżowało o 10%, a mnie jako pracownikowi budżetówki od lat nic się nie podniosło. Kiedy jakiś pacjent nie przyjdzie, dzwonią z przychodni z uprzejmym pytaniem, czy nie mógłbym przyjść wcześniej, a jak jest poślizg, jakoś nie wpadną, że można o tym uprzedzić. I gdybym wtedy w tej poczekalni pomyślał, że cały mój sobotni plan dnia został wyrwcony do góry nogami, to chyba sam bym się uznał za nienormalnego. Myślę: spieprzyli (albo ciut grubiej) mi sobotę. Albo: no to sobota poszła się rzeźbić. Jeśli arcybiskup chce zastępować hasło „zero tolerancji” hasłem „nieskazitelną stanowczość” to mnie to bardziej razi, niż gdyby powiedział „kurwa, przepraszam”. W przypadku arcybiskupa i sytuacji publicznej to oczywiście nie do pomyślenia.

W ciągu ostatnich 30 lat w języku polskim zaszły istotne zmiany. Wśród ich kulturowych uwarunkowań językoznawcy wymieniają wpływ mediów masowych. Jaki jest język mediów?

Powiedzmy, że różny. Język reklam czasami uwodzi jak śpiew syren, czasem to prawie poezja, nieszczęście polega na tym, że nawet te dowcipne, z pomysłem, inteligentne lecą w kółko; przy pierwszym kontakcie potrafią zachwycić, potem coraz bardziej drażnią. Tak zwana reklama społeczna. Promowanie zdrowego trybu życia przy pomocy chorego, zbrutalizowanego języka? To się zaczęło dawno, „Papierosy są do dupy” i jakby to hasło było mało zrozumiałe, na tych plakatach papieros wystawał pomiędzy dwóch półdupków. Po dzisiejsze „ŻRYJ” z przekreślonym „R”, więc wychodzi „ŻYJ”. Zaproszenie do nietolerancji, do chamstwa, pogarda – przepraszam, ale pewnie wolałbym mieć o czynienia z kimś z nadwagą, niż z kimś tak błyskotliwie troszczącym się o zdrowie bliznich.

Zależność pomiędzy językiem i kulturą jest wzajemna: język medialny, funkcjonujący w różnych dziedzinach kultury, wpływa na jej jakość. Do czego to doprowadzi?

Wie Pani, nie bardzo chwytam, o co chodzi. No bo język chyba jest częścią ...chyba że chodzi o kulturę bycia, zachowanie przy stole, na stadionie, w domu i w zagrodzie. To prowadzi do niczego. Może do tego, że kiedyś, jak po wojnie, potrzebni będą tacy autorzy jak Jan Kamyczek, podręczniki *savoir-vivre’u*, tabliczki „Nie pluj na podłogę!”

Pomimo erozji języka, słów w przestrzeni międzyludzkiej jest coraz więcej – mówionych i pisanych. Jednak język staje się coraz bardziej podejrzany: czy ktoś nas nie obraża, nie stosuje mowy nienawiści, nie próbuje okłamać, zmanipulować. Język rzeczywiście staje się narzędziem opresji. Dlaczego tak się dzieje?

Bo jak ktoś powiedział, myślenie ma kolosalną przeszłość. Łatwiej osiągać cele, apelując do emocji niż do rozumu.

Początek lat 90. XX wieku jest określany jako wejście społeczeństwa polskiego w fazę kultury politerackiej, w której czytanie książek zastępuje czytanie komunikatów, znaków, programów. Jak Pan sądzi: czy nastąpi powrót z tej drogi? Czy literatura odzyska swoje miejsce i jaka to będzie literatura?

Czy odzyska swoje miejsce pojęcie człowiek wykształcony? Czy komuś będzie zależało jeszcze, żeby być człowiekiem kulturalnym? Czy wróci sytuacja, że ktoś będzie się wstydił, że czegoś nie wie? Czy kłamiąc będzie się jeszcze odwracało wzrok?

Coraz bardziej staje się popularny język esemesów i komunikatów internetowych. Jak ocenia Pan eksperymenty językowe: łączenie cyfr z literami, skracanie wyrazów, wykorzystywanie obcych liter, znaki pomocnicze, pomijanie polskich znaków diakrytycznych?

To wszystko może być bardzo fajne, może rozwijać wyobraźnię, umiejętność kojarzenia, inteligencję, może być dowcipne. I wręcz przeciwnie. „Spokojnie” skrócone do „spoko” wydaje mi się w porządku, ale „pochwalony” do „pochwa” (w ustach, powiedzmy, młodego księdza) już nie za bardzo. Twitter jako metoda uprawiania polityki wydaje mi się czymś dziwnym, czy ci – w teorii poważni – faceci i facetki, którzy decydują o losach współobywateli, a czasem i świata, nie przypominają gówniarzy, którzy nie potrafią się oderwać od swoich elektronicznych zabawek, smartfonów i laptopów?

Giovanni Sartori uważa, że człowiek współczesny to *homo videns*, dla którego język jest tylko narzędziem do porozumiewania się – ze szkodą dla jego funkcji symbolicznej, a nade wszystko umożliwiającej myślenie abstrakcyjne. Jakie następstwa coraz niższego poziomu kompetencji językowych obserwuje Pan? Jaki, Pańskim zdaniem, jest związek zmian w języku polskim z postmodernizmem?

To, że dla człowieka współczesnego język jest tylko narzędziem do porozumiewania się, brzmi dla mnie jak ponury żart, jak zdanie, że PIS jest partią wolności, za rządów której Polacy są tak wolni jak nigdy. Język służy do manipulowania, oszukiwania, wyzyskiwania, mobilizowania, okopywania się, opluwania. Klepania pacierzy. Klepania andronów. Pewnie się w tym trochę gubię, bo wydaje mi się, że jeśli chodzi o te inne funkcje, to symboli ci u nas dostatek. Ogólników, haseł i komunałów takż. Logiki i konkretności mi brakuje. Narracja – narracje – są dobre w literaturze. W życiu społecznym i politycznym nas zniszczą.

Bardzo dziękuję za rozmowę!



Altea Leszczyńska, bez tytułu, fotografia cyfrowa

Roman Wyborski

RZECZ O MOWIE CZCI, A NIE CZCZEJ (SEMI – „MARIA”, CZ. DRUGA)

47. „Galerię” zwyczajowo zapowiada Bogdan Knop, wielce szanowny i słusznie szanowany Jeden (Stachurą pisząc) galeryjnego środowiska. Niemniej omylny, jak my wszyscy. O swoim *essayu* czytam: „upomina się o kobiety”. Bynajmniej. Upominanie Się (nadal Stachurawe) o jedną żonę Marię, a potem o wszelkie żony i Marie, skłoniło do wielowątkowego wypominania mężom w obu co najmniej znaczeniach dotychczasowej ICH cywilizacji systemowo publicznego niedoceniań, nawet upośledzania tych pierwszych. Natomiast podtytuł tekstu obiecywał część drugą i być może następne ku jeszcze nieokreślonej całości, „seminaria Maria”, nazwane semi-Maria, nb. wyjaśnione w ostatnim akapicie. Akcentowanie słowa *czci*, w tym i wypełnianie go treścią desygnatu, byłoby zatem adresowane do rodzaju męskiego, szczególnie mężów, ale także do samych podmiotów czci-godnych, boć nie zawsze same kobiety upominają Się w najśluszniejszej dla nich Sprawie.

Pierwszą część kończyła enigmatyczna aluzja do francuskiej eufonii *mariage* i *mirage*, przejętych w wielu kontekstach polszczyzny, w tym współbrzmienia mrzonek... o małżonkach właśnie. Ostatnia wygodna wieloznaczność obejmując osobno żonę, męża i oboje „w związku” otwiera kilka pól znaczeniowych właściwych naszej (?) cywilizacji (??; nawiasowe znaki zapytania będą uzasadnione pod koniec) między innymi w kontekście „mrzonek” wynikających z solennego ślubowania sakramentalnego „i że Cię nie opuszczę aż do śmierci”. Dla zbyt wielu „czcze”, nieważne, niebyłe, i jakie tam jeszcze miliony „słów na wiatr”. Więc na użytek niniejszego eseju dokona Się niejednego wyboru między niegodnym „czcze” a „czci” godnym.

Jedna z pierwszych scen „Katynia”, ważnego, perfidnie niedocenianego filmu – testamentu (obok „Powidoków”) Andrzeja Wajdy. Aby zatrzymać męża oficera żona z córeczką przypomina przysięgę małżeńską „przed Bogiem” ważniejszą – na jakież to skali?! – od przysięgi oficerskiej, która zadecyduje, niestety, o jego wyjeździe – na zawsze – z „jego” żołnierzami. Scena, jak film – wielka, nabrzmiała treścią fundamentalną dla cywilizacji, która skazuje żony, matki, siostry na... Właśnie, na co? O tym nieco później. W moich frankofońskich uszach brzmi nostalgiczny rym pewnej laickiej autorki *le mariage lie l'amour au toujours*. Lapidarności sensu nie podoła jego niezgrabna peryfrazja przekładu „małżeństwo wiąże miłość z (tym co na) »zawsze«”. Otóż rzeczownikowo (z tzw. rodzajnikiem) użyta zbitka *toujours* = „zawsze” wynika ze stopniowych modyfikacji *tous jours* = „wszelkie dni”, wirtualnie asertywnego wariantu faktualnego *tous les jours* = „wszystkie dni” (*pardon* za nadmiar żargonu). Właśnie z pozoru banalna – ale nie czcza – codzienność dzięki miłości małżeńskiej mogłaby (powinna...) „Cię nie opuszczać” obojga i rzeczywistość przemieniać..., (w co, tu PT Czytelnik może sobie dopisać wszelkie romantyczności, anioły, itp. „mrzonki”).

W dalszym ciągu nawiązując do cz. 1. i wymienionych tam szczęśliwych małżonków, właśnie usłyszałem 85-latkę Krzysztofa Pendereckiego, któremu w tych listopadowych dniach żona Elżbieta urządza wielodniowy, wieloosobowy festiwal wykonań Jego utworów wedle swojego wyboru. Jubilat zgadza się zasadniczo z wyborem, bo ufa wspólnemu ponad półwieczu: „Ona myśli jak ja”, po czym dodał „może ja myślałem jak Ona”. Prosta mowa czci-godnych. Upieram się przy „godnych” ze względów więcej niż językowych: od wielu wartych uwagi przedrostków („z-godnych” jako pierwsze) po „gody” (weselne, a jakże) i „godności” w dowolnych kontekstach, słowa te, obok „czci” domagają (od) Się słownego dopieszczenia.

Na przeciwnym czci krańcu pobrzmiewa inne *propos*, a mianowicie w latach 80. XX wieku „moja żona kurwa” autorstwa funkcyjnego chama stanu wojennego i felietonisty ówczesnej gadzinówki upatrującego w polskości fascynującą żydowską przygodę. Słowa te warte są przytoczenia ze względu na łacińskie brzmienie *curva*, które w uczciwym badaniu frekwencyjnym zyskałoby rangę najpopularniejszych sylab polszczyzny, dla niepoznaki powszechnie uważanych i używanych jako (niegroźny jakoby) przecinek. Więcej, pewne środowiska pretendujące słusznie do miana „kulturalne”, np. teatralne w ogóle, a w szczególności ówczesne (ostatnie ćwierćwiecze XX wieku) studenckie „zaangażowane”, z wszechobecnej akcentowanej *kurrrrwy* uczyniły znak jakości między innymi w pustostłowi sprzeciwu wobec instytucji (?) małżeństwa, co pewnej teatralnej Ewie, najbardziej znanej z ostatniego występu elektronicznego po wyborze papieża Franciszka, nie przeszkadzało w podpisywaniu kolejnych cywilnie formalnych „związków” żony, jakby obok realnych związków „nieformalnych”. Na przekór Ewie postawię kropkę nad tym „i”: nie ma dla Tischnerowskiego pojmowania *homo sovieticus* mocniejszego dowodu trwalszego desygnatu niż ten bolszewicko-ubecki idiom.

Jest jeszcze inny kraniec, więc z konieczności wierzchołek pierwotnego trójkąta słów kluczcy o kobiecości po męsku. Na lutowym posiedzeniu (w owych zamierzchłych czasach XX wieku) pewnej rady wydziału filologicznego pani dziekan, a prywatnie nadal panna, i to nie powalającej urody, wzniciła dyskusję o ówczesznie dętym „obchodzeniu” 8 marca. Znany z krotchwili wiekowy profesor (sanskrytu i ugrofińskiej cywilizacji, dla mnie przynajmniej) ale i łasuch na kobiece wdzięki, nie wytrzymał i patrząc zjadliwie na prowadzącą wycedził: „może by tak na filologii mówić raczej o rodzaju żeńskim, a nie zaraz o kobietach”. Przenikliwy gramatyk nie przewidział ewolucji „rodzaju” aż po współczesne osobne „znawstwo” pod barbarzyńskim brzmieniem *dżender*, manią i magią czczej gadaniny nadający bezpłciowo rodzajowej nijakości (postmodernistycznie?) poetycki wymiar Różewiczowego „byle jak, byle kto, byle co...”

Ale i ten wierzchołek wygląda następnego wielokąta. Już powszechny obraz milionów postaci islamskiego bezpłciowo rodzaju żeńskiego bez publicznie okazywanej twarzy, fryzury i sylwetki stanowi współcześnie wyzwanie cywilizacyjne, jedno z najważniejszych. Nasza cywilizacja zna różnorodne stroje zakonne, które okrywając sylwetkę, jednak światu ukazują niezrównanej czystości spojrzenia pięknem kobiecych oczu i oblicza, jakże intymnie kojące w tych szpitalach, w których przywrócono „siostry” we właściwym dla nich *emploi* oraz pierwotnym słowa znaczeniu i desygnacie. W podparyskim Montmorency (dla Polaków słynnym z przyczyny cmentarza, nekropolii setek rodaków, w tym najznamienitszych nazwisk, od Norwida począwszy) jakimkolwiek przechodzień zapytany o „polskie franciszkanki” wskaże z uśmiechem radości adres *des petites soeurs polonaises* = „polskich siostrzyczek”. Można się dowiedzieć, iż nawet najbardziej wojowniczy miejscowy antyklerykał skazany na zastrzyki wyrzucił rodzime pogotowie żądając „cudownych rączek polskiej siostrzyczki”. Jeszcze jeden aspekt miłosiernej czułości (nb. słowo klucz papieża Franciszka) *à la polonaise*, które tzw. świat utożsamia z siostrą Faustyną, dziś świętą, niegdyś lekceważoną autorką *Dzienniczka*, najczęściej i najliczniej tłumaczonego z języka polskiego utworu XX wieku. A skoro mowa o naj..., więc wierzchołkach, czyli szczytach, wypada, choćby w ramach „seminaria Maria”, przywołać inną *number one*, świecki wzorzec „świętych” sióstr Marii i Bronki Skłodowskich, które kolejno sponsorowały (w angielskim znaczeniu) naukę siostry. Warto o tym pisać choćby dlatego, że zwykle brakuje siostrzanego odniesienia pośród rozlicznych tytułów do chwały pierwszej i jedynej podwójnej noblistki.

Czas ograniczać liczbę wierzchołków zadumy nad bogactwem wielokąta, ostatnim przypominając imię Marii w istotnych jej desygnatach, w tym, oczywiście, tej Jednej, najpierw nazaretańskiej nastolatki Marysi, potem betlejemskiej Matki Boskiej. Niedawna (sierpniowe Dni Młodości 2017) znakomita krakowska wystawa tokańskich Madonn przypominała obraz Matki karmiącej odkrytą piersią swoje boskie Niemowlę, przez znanych i nieznanymi malowany w wersjach realistycznych oraz dość – nam współczesnym – surrealistycznych, ale także miłosiernie obdarowującej matczynym pokarmem niezliczonych ziemskich grzeszników. Nie wdam się w szczegóły, odsyłając do erudycyjnie smakowitego katalogu wystawy. Tutaj warty zauważenia byłby cywilizacyjny brak – znaczący, o niewyobrażalnie, faryzejsko dotkliwych fałszach – w ikonografii i tzw. mariologii nastolatki Marysi najpierw w „stanie błogosławionym”, krócej w ciąży, potem karmiącej piersią, obraz współtworzący rajską niewinność „nagości” – zanim, wedle Księgi Rodzaju, „grzech” wywołał „wstyd”. Gdyby o tym rzetelnie pomyśleć, nie opuszczałaby nas smutna refleksja, powiedzmy, ekonomiczna. Samice innych ssaków obdarowane cechą „wiedzy” byłyby zdumione, jak znaczny udział w PKB mają wielkości dochodowych skutków „sprzedaży” pokazywania sutków, zwykle niekarmiących (u zarania neo-bezwstydu zachodniego sprzed pół wieku w witrynach kin pruderyjnych dzielnic nalepiano na nie papierowe prostokąci). Co więcej, większość dochodów z obnażania zgarniają samce, o ile to *substantivum* ma jeszcze jakieś desygnaty w świecie mylącym *in potentia* z impotencją. A to zaledwie niewinny wstęp do wyprzedaży beczelnie aluzyjnej w reklamach, sztucznie agresywnej w kioskach, „ginekologicznej” w „sieci”, zbytecznej, nawet idiotycznej, w „momentach” filmowych, itd.

Podpowiadam zatem Mariom bardziej dynamiczną obronę ICH Dobrego Imienia. Wykorzystując marcowy pomysł Krystyn, ściślej tej jednej – śp. senator Bochenek, spotykajcie Się, na przykład we wrześniu, albo „u Marii częstochowskiej” na Jej urodzinach 8.), a może lepiej przy Jej Alejach na Jej „imieninach” 12., gdzie czeka niewykorzystany dotąd *topos* „u Sienkiewicza” (wspomniane już *Marie jego życia*) z rektorskim kościołem Imienia Marii, wręcz idealne połączenie w kobieco-polskiej cywilizacji tego co „świeckie” z tym, co „religijne”, historyczne z nowoczesnym (sąsiedni kompleks Galerii i kina „Iluzja”). Stwierdzenie to nawiązuje do zapowiedzianej refleksji cywilizacyjnej o naszym polskim kapitale kobiecym, a w zadumie „wiekowej” nie może nie oprzeć Się na co najmniej dwóch Mariach, chrono-logicznie Skłodowskiej i Konopnickiej, a wraz z tą ostatnią na wielu żywych postaciach literatury, szerzej kultury, od *Sierotki Marysi* po *Marię* niedocenianego Antoniego Młaczewskiego, czyli Gertrudę Komorowską, ciężarną nastolatkę i potajemną żonę młodego Potockiego (manipulowano nawet datą urodzin, aby dowodzić jego niepełnoletności!), zamordowaną na zlecenie albo ojca (nb. pierwszej fortuny Pierwszej Rzeczypospolitej), albo przyszej arystokratycznej żony (nie) Szczęsnego.

Na koniec obiecany akapit cywilizacyjny, m.in. o użyciu wieloznacznego rdzenia bądź przedrostka *semi* na wzór – i z ambicjami – dydaktycznego *seminaria*. Przed „Marią” oznaczałoby Jej połowę lub aluzję do semickiego źródła. Przez „połowę” rozumie Się świecką część jako część potężnej tradycji i kultury religijnej, której mariologia jest szczególnym przejawem. Jej oczywiste semickie zakorzenienie prowadzi nawet do takich efektów, jak często śpiewany psalm o podstępnie i krwawo heroicznej Judycie „chłubie naszego narodu” w stosunku do... Marii, Królowej Korony Polskiej. Jakkolwiek by o tym nie mówić, ta potężna część naszej cywilizacji domaga Się, choćby od częstochowskich środowisk twórczych, nie czczego, a rzetelnego idiomu, najlepiej w otwartej rozmowie, medialnej, wszelkiej...

roman_wyborski@op.pl

Elżbieta Jolanta Gola

NIEZWYKŁA, NIEZAPOMNIANA...

Nieoczekiwanie, tuż przed Świętem Zmarłych, trafił do mnie gruby zeszyt formatu A-4. W nieznanych okolicznościach znalazł się w pewnej bibliotece. Notatki, zapisane na wielu stronach maszynopisu, są miejscami nieczytelne. Zapakowałam zeszyt do walizki i pojechałam do przyjaciół w Bieszczady. Krajobraz za oknem zachęcał do spaceru, ale ja wędrowałam razem z autorką przez kartki jej wspomnień.

Autorka notatnika to pani Natalia Jakubowska, osoba niezwykła, nauczycielka sercem i duszą oddana nauczaniu i pracy wychowawczej. Na pierwszych stronach powraca do lat dzieciństwa, a data jej urodzin to końcówka dziewiętnastego wieku. Rodzice, rodzeństwo i atmosfera warszawskiego domu to korzenie, na których wyrosła. Oto jak pisze o swoim dzieciństwie: „Jeszcze sama nie umiałam dobrze czytać, a w wakacje nauczyłam czytać braciszka. Dużo było radości, a ja urosłam na bohaterkę”. Z zapisanych stron wyłania się obraz młodej kobiety, drobnej, niewielkiego wzrostu, ale wielkiej duchem i mocnego charakteru. Od podstaw zorganizowała pracę w wiejskiej szkole walcząc z zabobonami, przyzwyczajeniami i brakiem higieny. Umiejętności organizacyjne, a także niezwykła siła woli pomogły jej przetrwać dwie wojny i niełatwe powojenne lata, bo jeśli kocha się to, co się robi, można wiele dokonać.

Życiorys pani Natalii jest gotowym scenariuszem filmowym dokumentującym miniony czas, świadectwem walki o polskość oraz walkę z analfabetyzmem. Kształciła i wychowywała dzieci i młodzież w szacunku do nauki i szkoły jako świątyni wiedzy. Oprócz wzorowo prowadzonych lekcji i wdrażania uczniów do dbałości o osobistą higienę, co zarówno po pierwszej, jak i po II wojnie światowej było najtrudniejszym zadaniem, organizowała wycieczki, prelekcje i wykłady dla lokalnego środowiska. Jednak, o dziwo, nie doświadczała uznania. Wszechstronna, stale uzupełniana wiedza, talent pedagogiczny i praktyczne umiejętności budziły zawiść i niechęć przełożonych oraz wizytujących. Dopiero ministerialna wizytacja właściwie oceniła i doceniła jej pracę i zaangażowanie.

Lata wojny spędzone na tajnym nauczaniu zahartowały panią Natalię, choć przez długi czas borykała się z chorobą wrzodową żołądka. Nigdy nie założyła rodziny, całe swoje życie poświęcając nauczaniu, wyraźnie dostrzegając jego potrzebę: „Nie będę na pewno gołosłowna jeśli powiem, że dzięki temu, że Macierz Szkolna zorganizowała młodzież do walki z analfabetyzmem, połowa społeczeństwa polskiego po odzyskaniu niepodległości umiała czytać”.

Urodziła się w Warszawie pod koniec XIX wieku (19.11.1894 r.) i tam spędziła dzieciństwo. Jedenastoletnią Natalię rodzice oddali na pensję. Ten czas tak wspomina:

„Moimi nauczycielami byli ludzie – patrioci, którzy potrafili swoje uczucia do kraju przekazywać młodzieży. Jakże kochałyśmy i do dziś kochamy nieistniejącą już szkołę, która kształciła w umysłach naszych to, co człowiekowi najdroższe.

Na lekcjach rysunków, robót, kaligrafii, konwersacjach francuskich i niemieckich uczono przedmiotów zakazanych. Prostowano to, co na przedmiotach rosyjskich mylnie przedstawiano.

Jedną z miłych, ale nie należących do bezpiecznych atrakcji dla młodzieży było przygotowywanie obrazków scenicznych z zakresu historii. Jednym sło-

wem wszystkimi drogami poprzez przeszłość przygotowywałyśmy się do spotkania z przyszłością”.

Rodzice pani Natalii wpoili swoim pięciorgu dzieciom zasady dobrego wychowania, patriotyzm, zainteresowanie sztuką i muzyką. Ojciec grał na skrzypcach, mama śpiewała, a gdy chorowali, przedstawiała scenki z bajek i opowiadań. Ojciec bał się zawodu nauczycielskiego dla swoich córek, bo ciężki i odpowiedzialny, jednak wszystkie trzy spełniały go tak solidnie, jak on swój zawód pracownika kolei, ku zadowoleniu władz i społeczeństwa.

W 1914 roku odwiedziła wujostwo w Częstochowie i zaczęła uczyć trójkę ich dzieci. Z warszawskich szkół wyniosła potrzebę wychowania dzieci i młodzieży na patriotów oraz dostarczania im wiedzy z zakresu historii, geografii, literatury.

Pracę w wiejskiej szkole rozpoczęła we wsi Zwierzyniec, nieopodal Panek, 25 km od Częstochowy. Przyjęła wszystkie chętne dzieci i na każdej zmianie miała pięćdziesięcioro uczniów. Dziewczęta i chłopcy garnęli się do nauki, a frekwencja była stuprocentowa: „Wiedzieli, że szkoła jest świątynią nauki i trzeba zachowywać się należycie”. Z wycieńczenia często mdlała i tylko opiekuńczość dzieci utrzymywała ją przy życiu. Głodowała i marzła, bo wszystkiego było brak. Pieczone na piecu talarki ziemniaków z czarną kawą lub barszczem były jej podstawowym pożywieniem. Pani Natalia wspomina: „chłopcy, aby nie zapędzano ich do roboty, uciekali do lasu lub przywiązywali się do komina, aby z niewidocznej dla innych strony uczyć się do zmroku”. O tym, jakie miała podejście do uczniów, świadczy zapis na kartach Jej notatnika:

„w szkole nie stosowałam żadnych kar, bo nie było za co karać. Najwyższą karą było, gdy pokiwałam głową i powiedziałam: zmartwiłam się. Moi uczniowie mówili potem: Jak ktoś coś źle robi, nigdy nie krzyczy, tylko się martwi, nigdy nie rozkazuje, tylko prosi”.

Jak prawdziwa Siłaczka wprowadzała w wiejskiej szkole ogromne zmiany, zabroniła pluć na podłogę i pokazała, jak utrzymywać ją w czystości, wprowadziła obyczaj częstego mycia i czesania włosów:

„Kiedy zaraza szorowania podłóg, sprzątania w każdym kącie, codziennego mycia się, czesania, chodzenia bez chustek, zostawiania butów przed drzwiami przeszła do innej wsi, w mojej już łatwiej było wytrzymać”.

Koniec I wojny zastał Ją w wiejskiej szkole. Niemcy wypędzeni, Polska organizuje swoją armię. Pobór – młodzież szykuje się do wymarszu w nieznane: „*Śpiewamy tylko wojskowe piosenki, a z nami śpiewa cała wieś*”. Pani Natalia zorganizowała w szkole pożegnanie i miała w tym swój cel: „Wymigiwali się Polacy jak mogli, by uniknąć służby wojskowej u zaborców, niech do polskiego wojska idą z radością i piosenką”.

W czasie wakacji dokształcała się na kursach pedagogicznych, a w Warszawie ukończyła Wyższy Kurs Nauczycielski.

W 1920 roku powróciła do Częstochowy i nadzorowała szycie bielizny a także prowadziła naukę dla żołnierzy w szpitalach oraz naukę dla biednych dzieci. Amerykański Biały Krzyż był organizatorem tej akcji, a pani Natalia po lekcjach kierowała pracą dziewcząt. Krociła materiał i choć 12-godzinny dzień pracy był ponad jej siły, to później z dumą prowadziła do szpitala długi rząd uczennic z uszytą bielizną.

Pierwszym miejscem Jej pracy w Częstochowie była Szkoła Podstawowa nr 5, gdzie przed laty mieścił się magistrat. Nauczyła dzieci cenić historię budynków i dostrzegać uroki architektury. Oto jak wspomina tamten czas:

„Dzieci były chętne i opiekowały się mną za cenę nauki i wycieczek, które prowadziłam w czasie wolnym od lekcji. Zorganizowałam im kino, a w Krakowie wypożyczałam filmy. Zapoznałam z radiem, by mogli w szkole słuchać audycji. Dziś, gdy spotykam uczniów z tego okresu, o niczym innym nie mówią tylko o wycieczkach. Celem moim było stworzyć im radosną szkołę i myślę, że choć częściowo udało mi się to.

Gromada uczniów liczyła od sześćdziesięciu do setki i podziwiałam, że chcą słuchać takiej małej, słabej nauczycielki, która nawet głośno mówić nie umie. Kiedyś w rozmowie powiedzieli mi, że chcą być takimi Polakami, o jakich ja im opowiadałam. Wiedzą, że dorosną i muszą być nie byle kim”.

Pani Natalia uczyła później w Żeńskim Seminarium Nauczycielskim; w wieczorowej szkole dla analfabetów, w której grupa kursantek liczyła do osiemdziesięciu osób od szesnastego roku życia: „Wiedziałam, że nie mogę ich urazić wymaganiami ani zniechęcić ogromem materiału”. Takie podejście do uczniów przynosiło najlepsze rezultaty.

Zawsze walczyła o lepsze warunki nauki dla swoich wychowanków, a wówczas zdobycie żarówek czy pasty do podłogi było nieosiągalne. W Szkole Podstawowej nr 22 tworzyła koła, organizowała odczyty. Była to wówczas jedyna szkoła w Częstochowie, w której, dzięki determinacji pani Natalii, nie stosowano pyłochłonów tylko pastowano podłogi. Równocześnie pracowała w kilku szkołach. W Szkole Ćwiczeń spotkała wiele zdolnych dzieci, z których – mimo skrajnej biedy – wyrosła pokaźna liczba wykształconych obywateli.

Niemal każde wakacje podczas 53-letniego stażu pracy spędzała pani Natalia na kursach dokształcających metodyczno-pedagogicznych, geograficzno-przyrodniczych, kursach języka francuskiego i języka rosyjskiego oraz kursach Uniwersyteckich Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Aby przybliżyć czasy, w jakich uczyła Pani Natalia, wspomnę, że szkolne koła PCK organizowały cotygodniowe kąpiele. Najbiedniejsze dzieci otrzymywały bieliznę i czyste ubrania, miały obcinane włosy i paznokcie, i tak odmienione wracały do klasy. Organizowała dla nich dożywianie. Do rodzin posyłano komisje sanitarne, by tępić pchły, wszy i świerzby: „Miałam pełne ręce roboty, ale i zadowolenie patrząc na czyste i syte dzieci”.

Ogromnym powodzeniem cieszyły się prelekcje organizowane dla mieszkańców częstochowskiej dzielnicy Zawodzie. Zdobywała na nie przeźrocza, wyświetlała filmy, gromadząc coraz liczniejszą publiczność i uznanie lokalnego środowiska.

Zainteresowana losem więźniów zorganizowała dla nich naukę. Od 1939 roku do końca wojny świadectwa ze znakiem Związku Nauczycielstwa Polskiego otrzymywało co roku 200 uczniów. Była to jedyna taka szkoła w Polsce. O pracy w tej placówce pani Natalia Jakubowska napisała do Polskiej Akademii Nauk, do profesora Jana Szczepańskiego.

W czasie II wojny światowej współpracowała z Ruchem Oporu w Podziemnej Armii Wojska Polskiego. Drukowała gazetki, była łączniczką, w domu prowadziła tajne nauczanie. Jak wspomina: „Nigdy nie wiedziałam, kiedy w proch lub pył się obrócę”.

Po upadku powstania warszawskiego częstochowianie opiekowali się wysiedlonymi. Oblicza się, że przez Częstochowę, liczącą wówczas 100 tysięcy mieszkańców, przewinęło się ok. 50 tys. warszawiaków. Niektórzy z nich zostali i ułożyli sobie tutaj życie, a w latach

sześćdziesiątych założyli Towarzystwo Przyjaciół Warszawy. Od sierpnia do października 1944 roku przybywały do Częstochowy transporty z wysiedlonymi. Było tylu rannych i chorych, że uruchomiono dla nich dwa szpitale. Wraz z panią Natalią miejscowi nauczyciele zanosili do baraków odzież, żywność, leki i opał. Zakonnice i proboszczowie organizowali wyżywienie. Do oflagów i obozu w Oświęcimiu częstochowscy nauczyciele wysyłali paczki. W Częstochowie zamieszkało wielu profesorów, a zorganizowany przez nich tajny uniwersytet przetrwał do końca wojny.

Przez cały okres II wojny światowej pani Natalia prowadziła tajne nauczanie. Tak pisze o późniejszych losach swoich uczniów: „Wielu ukończyło wyższe studia, zawędrowali na wysokie stanowiska, zapraszali na obronę prac doktorskich, pisali z paryskiej Sorbony, zza oceanu”.

Sama także kontynuowała naukę i ukończyła w Krakowie Instytut Pedagogiczny. Dzięki zdobytej wiedzy mogła uczyć wszystkich przedmiotów, ale specjalizowała się w matematyce, biologii i języku francuskim. W Wyższej Szkole Administracyjno-Handlowej, w której pracowała najpierw jako sekretarka, a następnie bibliotekarka, spotykała swoich uczniów jako studentów i wykładowców.

Z wielką sympatią wspomina II Wakacyjny Kurs Uniwersytecki zorganizowany przez Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie, na którym wykładano takie przedmioty jak: filozofię i pedagogikę, etykę utylitarną, wychowanie obywatelskie, historię, geografę i język polski z uwzględnieniem mowy kaszubskiej, dzieje artystyczne Gdańska, Konstytucję Marcową, współczesność, rysunek metodyczny, roboty ręczne w szkole podstawowej. Notatki z tego kursu były dla Niej pomocą i wsparciem w nauczaniu.

W kronikach wielu częstochowskich szkół pozostawiła dowody swojej zaangażowanej działalności pedagogicznej i społecznej na rzecz dzieci, młodzieży i dorosłych. Najmilej wspomina LO im. Henryka Sienkiewicza, gdzie poczuła się nareszcie swobodnym człowiekiem i cenionym nauczycielem, a należy przypomnieć, że przed 1939 rokiem właśnie to liceum rywalizowało o pierwsze miejsce w kraju z Gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie.

Zawsze miała pasję do nauki i mało sił fizycznych. Wojna przekreśliła marzenia o założeniu rodziny, choć miała wielu zabiegających o jej rękę.

Notatki pani Natalii zapisane na osiemdziesięciu pięciu stronach maszynopisu kończą się podsumowaniem, gdy w kalendarzu pojawiła się data Jej osiemdziesiątych urodzin. Cytuje je dosłownie, bo mają w sobie wielką moc, a bywa, że słowa pozostają w naszej pamięci na zawsze:

„Moje życie szkolne było bardzo długie, trwało z górą pół wieku (53 lata), jeśli sięgnę pamięcią do pierwszych szkół, w których pracowałam, widzę głowy swych uczniów pokryte takim szronem jak moja. Już ósmy krzyżyk dźwigam na swych ramionach, cóż, czas nie stoi w miejscu i wszystko zrobi, bo ma czas.

W tym długim okresie życia przez moje ręce przeszły tysiące młodzieży. Poznałam wiele tysięcy ludzi, doznałam wiele radości i wielu trosk. Kształciłam młodzież i siebie samą. Nie wiem, czy to co napisałam zainteresuje czytelnika, czy mnie zrozumie? Zbyt blado przedstawiam fakty, które nieraz bardzo głęboko przeżywałam, ale nie jestem pisarką, tylko sprawozdawcą tego, co przeszłam przez swoje długie nauczycielskie życie.

W pracy mojej nie było wielkich wyczynów, ale codzienny szary trud, którym zdążałam do wytyczonego celu. Uważałam, że jako nauczycielka powinienam przede wszystkim poświęcić się pracy pedagogicznej i dlatego mój wieloletni trud zawodowy i społeczny ześrodkował się na pracy w różnych szkołach.

Dwadzieścia pięć lat uczyłam w szkole podstawowej i dwadzieścia osiem w szkole średniej. Jednocześnie prowadziłam wiele kursów, za które płacono lub była to praca społeczna.

Różne organizacje szkolne, atrakcje w rodzaju teatrzyków szkolnych, wycieczek, zajmowały mi czas bez reszty. Dziw, że starczyło czasu na samokształcenie.

Gdy byłam bardzo zmęczona, a czasami zniechęcona przeciwnościami losu, przypominałam sobie, że szkoła musi być twórcza i radosna, i dalej zabierałam się do pracy, nie żałując trudu.

I dzisiaj nie mogę się obejść bez pracy z młodzieżą, wynajduję dzieci w najbliższym sąsiedztwie, którym należy pomóc, a ustawiwszy je na poziomie, poszukuję drugich.

Obecnie kieruję dziećmi na poziomie klasy trzeciej podstawowej. Są to chłopcy bliźniacy, dzieci miłe, ale ze względu na swoją nerwowość bardzo trudne. W domu wolno im robić co chcą i jak chcą. Ja postanowiłam pokierować nimi jak należy. Czy mi starczy na to siły i chwytów pedagogicznych, nie wiem, bo oduczać i dopiero nauczyć jest bardzo trudno”.

Miałam szczęście odwiedzić panią Natalię Jakubowską w 105 urodziny. Patrzyłam w Jej żywe, wesołe oczy słuchając pięknej polszczyzny – nie wyglądała na swoje lata. Pogodne usposobienie to – jak sama stwierdziła – są skutki pochodzenia: ojciec mówił o sobie – twardy Mazur, a matka – wesoła Kujawianka. A recepta na długie życie? Ciężka praca, niedojadanie i znoszenie trudów codzienności z uśmiechem.

Związkowej delegacji oznajmiła, że wiele dobra spotkało ją ze strony Związku Nauczycielstwa Polskiego. Na wniosek Zarządu Oddziału ZNP w Częstochowie została uhonorowana Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

W listopadowy dzień odwiedziłam znajome groby na częstochowskim cmentarzu Kule. Nieopodal neogotyckiej kaplicy pod wezwaniem Zmartwychwstania Pańskiego usytuowany jest grobowiec Rodziny Jakubowskich. Na dolnej jego części jest widoczna z dala owalna tabliczka: Natalia Jakubowska, żyła 107 lat. Zmarła w styczniu 2002 roku. Na płycie nagrobnej wygrawerowano jej imię i nazwisko, ale to czarna tabliczka przyciąga wzrok.

Wśród bukietów zwracała uwagę wiązanka z wizytówką IV LO im. H. Sienkiewicza, ukochanej szkoły pani Natalii, w której przepracowała 23 lata. Jej uczniowie pamiętają, a odwiedzali swoją niezwykłą nauczycielkę do ostatnich Jej dni. Także znicz z logo ZNP jest od wielu lat stałym elementem towarzyszącym dniom pamięci o tych, których już nie ma, ale nie można i nie wolno nam o Nich zapomnieć. Na grobie wybitnej, niezapomnianej nauczycielki często palą się świece.

Od dwóch miesięcy podążam śladami pani Natalii. Po szesnastu latach od Jej odejścia, tuż przed Świętem Zmarłych, wspomnienia trafiły w moje ręce i już na zawsze pozostaną w mojej pamięci.

*Wszystkie cytaty pochodzą z notatnika pani Natalii Jakubowskiej.
Częstochowa, listopad 2018 rok*

Barbara Strzelbicka

ALBUM O CZĘSTOCHOWIE I OKOLICY

Zbigniew Biernacki, częstochowski księgarz i antykwariusz, znany jest ze swojej pasji do pocztówek – starych, ale nie tylko, bowiem jest miłośnikiem również pocztówek współczesnych i tradycyjnego sposobu posługiwania się nimi, czyli wysyłania pocztą, naklejania znaczka, opatrywania okolicznościową pieczęcią, ręcznego wpisywania adresu odbiorcy oraz odpowiedniej treści – życzeń, pozdrowień, zawiadomień. Niestety, forma ta systematycznie wychodzi z użycia wraz z rozwojem łatwiejszych i szybszych sposobów komunikacji, które jednak skutkują wieloma negatywnymi następstwami, w tym między innymi brakiem dbałości o język komunikatów, o jakość kontaktów międzyludzkich, ale także mniejszą odpowiedzialnością za przesyłane treści. „Co nagle, to po diable” – mówi stare przysłowie, którego słuszności dowodzi wiele informacji publikowanych na Twitterze, zwykle na gorąco,

natychmiast, nierzadko jeszcze podczas trwania komentowanego wydarzenia, bez uzyskania obrazu całości, bez dystansu, bez refleksji. Wysyłanie pocztówek wymagało namysłu i wysiłku, było czynnością poważną, dowodem pamięci i chęci podzielenia się wrażeniami. Współczesność odchodzi od tego rodzaju sposobów komunikacji, bo teraz żyje się szybciej – co nie znaczy, że lepiej.

Takie refleksje mają zapewne czytelnicy czwartej już książki z pocztówkami, którą przygotował Zbigniew Biernacki. Pierwsza z nich, wydana w 2000 roku, wznowiona w 2006, nosiła tytuł *Częstochowa na starych pocztówkach*. Niedługo po niej, także w 2000 roku, wyszedł album poświęcony utrwalonemu na pocztówkach wizerunkowi Jasnej Góry, a w 2007 roku ukazała się *Ziemia Częstochowska*, w której widokówki ukazujące Częstochowę zostały wzbogacone o obrazy jej okolicy.

Podobnie jak poprzednie, i ta książka jest osobiwa, składa się bowiem przede wszystkim z ulubionych przez Autora pocztówek i innych dokumentów, wymienionych w tytule, zaś tekst pełni w niej rolę poboczną. Mimo to, że książka jest przeznaczona przede wszystkim do oglądania, tekst zaś stanowią tylko podpisy pod „obrazkami”, to pełni on bardzo istotną rolę – bez niego trudno byłoby zrozumieć sens doboru materiału ilustracyjnego, ale przede wszystkim czytelnik zostałby pozbawiony wielu cennych treści oraz możliwości przeżycia wzruszeń i dokonania własnych odkryć. Można by uznać ten rodzaj publikacji za swoisty komiks, ilustrujący historię Częstochowy i regionu, umownie określonego w tytule jako województwo, czego nie należy ściśle utożsamiać z podziałem



administracyjnym. Rzecz jasna nie jest to historia opisana systematycznie, lecz ukazana poprzez dzieje różnych obiektów, przedstawionych na dokumentach, wśród których królują pocztówki.

O pocztówkach Zbigniew Biernacki wie chyba wszystko, zbiera je od dawna i może się pochwalić imponującym zbiorem. Chętnie swoje eksponaty prezentuje, opowiadając ich historię z wplecionymi licznymi kontekstami, ale równie chętnie je udostępnia, dzięki czemu trafiają do szerokiego grona odbiorców, stając się źródłem wiedzy oraz ilustracją wydarzeń i przemian, następujących w naszym mieście i w jego okolicy.

Z podpisów zamieszczonych w książce dowiadujemy się, skąd pocztówki pochodzą – i trzeba zaznaczyć, że z różnych miejsc w Polsce i na świecie, co świadczy o kontaktach utrzymywanych przez częstochowian oraz o tym, skąd przybywali turyści, w tym także pątnicy. Ale pocztówki zawierają znacznie więcej informacji, niż tylko dane odbiorcy i nadawcy, które bywają nader szczątkowe – wielu z nas pamięta, jak podpisywali się na pocztówkach. Autora książki interesuje także, kim są twórcy pocztówek, a przede wszystkim – co przedstawiają, kiedy i gdzie zostały wykonane. O ile jest to możliwe, Zbigniew Biernacki za pomocą kolejnych wizerunków obiektów pokazuje ich dzieje, zmiany, jakim ulegał krajobraz Częstochowy i okolic. Wśród ukazanych na dokumentach widoków wiele jest scen rodzajowych, przedstawiających życie ludzi, obyczaje, stroje. Opowieść ukazana w albumie jest wielowątkowa. Pojawia się w niej wątek dotyczący samego Autora i jego rodziny – gdy usprawiedliwia to pretekst w postaci widoku obiektu, związanego z historią rodzinną.

Dokumentacją objęto czas od drugiej połowy XIX w. do 1982 r., jednak nie w ujęciu chronologicznym, a tematycznym. Wielowarstwowa narracja w opisach pocztówek pozwalała na umieszczenie informacji z różnych dziedzin – zarówno dotyczących samego Autora i jego pasji: taterniczej, speleologicznej i dendrologicznej (ukochana kłokoczka); technik fotograficznych stosowanych przez *atelier* fotograficzne, upamiętnienia ważnych wydarzeń i ciekawych inicjatyw lokalnych, takich jak choćby wymiana gontu na dachu kościoła, zasadzenie rosnącego do dziś dębu w rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja i temu podobne. W dokumentach można też prześledzić zmiany wyglądu i przeznaczenia budynków, zmiany nazw ulic i placów oraz rotację pomników, czego przykładem niech będzie posąg „Cesarza Aleksandra II” u stóp Jasnej Góry. Szczególnie cenne są fotografie obiektów, które już nie istnieją, na przykład rotunda w Częstochowie, sfotografowany niedługo przed zniszczeniem most nad Pilicą w Koniecpolu czy też zrujnowany dworzec kolejowy w Myszkowie. To zaledwie przykłady, bo każdy dokument niesie ze sobą jakąś interesującą opowieść.

Czytanie i – co należy dodać – oglądanie książki jest sentymentalną podróżą po Częstochowie i okolicznych miejscowościach i miejscach; podróżą nostalgiczną, wywołującą tęsknotę za dawnymi czasami, pobudzającą do wspomnień i do refleksji nad upływem czasu. Dla czytelników młodszych jest to okazja do spotkania z przeszłością, której nie znają oraz także do refleksji, nieco innej, bo wzbogaconej o zazdrość, że mogliśmy pisać i wysyłać pocztówki. Może ten zwyczaj wróci? Bo ileż uczuć wiązało się z poszukiwaniem, wypisywaniem, wysyłaniem pocztówki, ile uczuć towarzyszyło oczekiwaniu na nią, trzymaniu jej w rękach, oglądaniu, czytaniu... A potem także powracaniu, często po latach, gdy jej papier żółkł, pismo wyblakło. Ach, sentymenty!..

Zbigniew St. Biernacki, *Region częstochowski jako województwo na dawnej pocztówce (fotografii, drukach, dokumentach, mapach)*, Wydawnictwo Tadeusz Serocki, Pelplin 2018.

Barbara Strzelbicka

JANUSZ MIELCZAREK – TWÓRCA WIELU NARRACJI

Janusz Mielczarek nie przestaje zadziwiać swoją kreatywnością. Nie tak dawno byliśmy świadkami fetowanego wystawami i wydaniem książki *Szczęściarz i inne przypadki* jubileuszu, niedługo potem ukazała się książka *Być pomiędzy słowem a obrazem*, podsumowująca dorobek artystyczny, po której, jak się wydawało, Artysta powinien odpocząć, jednak najwyraźniej ciągle nie czuje się zmęczony – może dzięki temu, że w pracy stosuje coś na kształt płodowzmianu. Teraz przyszedł czas na aktywność fotograficzną i 15 grudnia 2018 r. w Miejskiej Galerii Sztuki zostały otwarte dwie wystawy, z którymi – w różnym stopniu – Janusz Mielczarek był związany. Pierwsza to 8. Międzynarodowy Salon „Martwa natura w fotografii”, której był kuratorem, a także, o czym trzeba przypomnieć, pomysłodawcą, jurorem kolejnych edycji i komisarzem pokonkursowych wystaw. Konkurs wystartował w 2004 roku jako ogólnopolski, ale następna odsłona była już międzynarodowa, a jego oryginalność polega na podjęciu tematu, zwyczajowo łączonego z malarstwem. Imprezie tradycyjnie patronują Międzynarodowa Federacja Sztuki Fotograficznej FIAP oraz Fotoklub Rzeczypospolitej Polskiej.

Druga wystawa, otwarta 15 grudnia, to ekspozycja indywidualna i retrospektywna, zatytułowana „Janusz Mielczarek. W poszukiwaniu innych stanów piękna”, trwająca do 20 stycznia 2019 r., zakończona finisażem, na którym Bohater zaprezentował również swoją twórczość literacką w postaci tekstów piosenek. Zaproszonym gościom opowiedział, że do ich pisania wrócił po wielu latach pod wpływem zespołu Czerwony Tulipan, który piosenki wykonuje. Podczas finisażu Autor oprowadzał gości po wystawie, opowiadając o poszczególnych zdjęciach i ich bohaterach. Swoją opowieścią o fotografowaniu spotkanie uzupełniła Małgorzata Kozakowska, obecnie uznana artystka w dziedzinie fotografii, laureatka licznych nagród, której przygoda z fotografią rozpoczęła się pod okiem Janusza Mielczarka. Gośćmi spotkania byli artyści fotografowie Danuta Kowalik-Dura, kustosz działu fotografii Muzeum Śląskiego w Katowicach oraz Zbigniew Podsiadło, prezes Zarządu Okręgu Górskiego Stowarzyszenia Polskich Artystów Fotografów.



Janusz Mielczarek, foto Damian Siwiaszczyk

Cennym uzupełnieniem wystawy jest katalog, zawierający wszystkie eksponowane prace. Wstępem opatrzył go Andrzej Saj, redaktor naczelny kwartalnika artystycznego „Format”, którego wydawcą jest Akademia Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Tekst, co warto zauważyć, nosi tytuł *Wielonarracyjność w twórczości Janusza Mielczarka*. Katalog pozwala dokładnie przyjrzeć się pracom, porównać je i prześledzić rozwój talentu Fotografa. Najstarsze zdjęcie pochodzi z 1960 roku, najnowsze – z 2018 roku, w którym została otwarta wystawa. Znalazły się tu między innymi akty, martwe natury, sceny rodzajowe oraz portrety, w tym również ludzi znanych. Wnikliwy odbiorca zauważy, iż nie są to zwyczajne fotografie, co widać zwłaszcza na przykładzie portretów, które najlepiej bodaj określa słowo: metaforyczne. Wersja katalogowa zdjęć została przygotowana przez Jacka M. Krasuckiego, który potrafił wydobyć i znakomicie podkreślić walory prac.

Czas eksponowania wystaw to dla Janusza Mielczarka czas intensywnej pracy i spotkań: prowadził warsztaty fotograficzne w urzędzonej w sali wystawienniczej tradycyjnej ciemni, gdzie można było zobaczyć analogowy aparat fotograficzny, powiększalnik i zapoznać się z procesem wywoływania zdjęć. Zainteresowani tą – archaiczną już dla przyzwyczajonych do techniki cyfrowej – metodą tworzenia fotografii byli przede wszystkim ludzie młodzi, dla których było to spotkanie z nieznaną przeszłością. Odbywały się także autorskie spotkania i autorskie oprowadzanie po wystawie.

Wiele wskazuje na to, że teraz Janusz Mielczarek zwróci się ku twórczości literackiej, której nigdy nie zaniedbuje – po prostu na czas aktywności fotograficznej z pisaniem nieco zwalnia, bo trudno poświęcić się jednocześnie dwóm tak wymagającym dyscyplinom. A zatem przed nami czas realizacji pomysłów, dojrzewających poniekąd w cieniu fotografii. Jesteśmy bardzo ciekawi!



Janusz Mielczarek, *Czas jak rzeka*, 1997 r.

Arkadiusz Frania

POETA ODNALEZIONY?

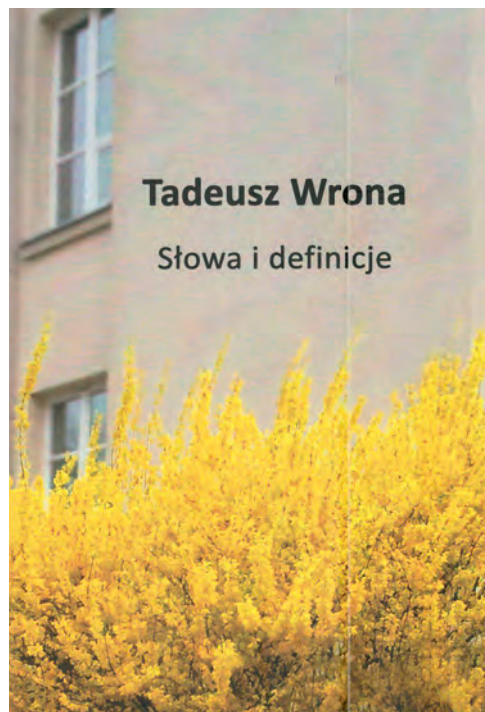
Tadeusz Wrona (ur. 1951) jest dla mnie zagadką. Autor, kojarzony dotąd z działalnością polityczną (poseł na Sejm III kadencji) i samorządową (przez wiele lat piastował stanowisko Prezydenta Miasta Częstochowy), ujawnił się w 2018 roku jako poeta, prezentując czytelnikom zbiór *Słowa i definicje*. Debiut to zatem późny, ale nie spóźniony, wszak zawsze jest czas na twórczość. Powinienem poczynić też zastrzeżenie, że właściwie tym tomem poeta powraca do aktywności artystycznej po kilku dekadach, na co wskazuje jego zawartość, mieszcząca przecież część *Wiersze młodzieńcze z lat 1970–1977*.

Liryka Tadeusza Wrony jest stonowana, spokojna, nawet stateczna, bez szarpnięć, wyskoków lingwistycznych, ekstrawagancji stylistycznych, ale trudno jej zarzucić, że jest pozbawiona emocji, bo słowa wzruszeń i definicje przeczuć pulsują w książce, choć to puls łagodny, wytchnienie dla współczesnego odbiorcy skołatanego fałszywymi obrazkami i podróbkami życia. Zresztą trudno od doświadczonego mężczyzny wymagać rozwichrzenia w przekazywaniu odczuć czy szczeniackiej dezynwoltury.

Poeta posiada jasno określony system wartości, który ułatwia mu zmaganie się z bytem i niespodziankami losu, nie zwalania jednak od myślenia i zadawania pytań o cel istnienia, o sens zdarzeń. Stąd pojawiający się namysł nad niejednoznacznością tego, co poza „ja”:

Kropla jak z deszczu,
może jak z łzy
Na białej kartce,
może na liściu
Zostawia ślad,
żadnego śladu
Patrzę i widzę,
nie widzę niczego
(s. 52)

Nie interpretowałbym tej wypowiedzi jako załączku buntu, lecz jako stwierdzenie zmienności świata w kategoriach istic egzystencjalnych. Przecież „wiem, że nic nie wiem” to pierwszy etap nabywania wiedzy o naturze (wszech)rzeczy. Człowiek wierzący nie wątpi, ale myśli sercem, bo ono ostatecznie wyzwala nas od lęku przed życiem, przed śmiercią.



Bohater omawianej liryki konstatuje pewną alienację: „Stanę jak dziecko czysty, niezbrukany / I pójdę znów, jak co dzień samotnie” (s. 7). Motyw wędrówki dodatkowo charakteryzuje przeznaczenie w kategoriach ziemskiej wędrówki, gubienia się i poszukiwania właściwej drogi. Gwarantem jej odnalezienia może stać się pielęgnowanie czystości (szczerości) myśli, gestów.

Tablica aksjologiczna częstochowskiego twórcy składa się zatem z tak cennych pierwiastków, jak miłość, nadzieja, przyjaźń, prawda, wrażliwość, uczciwość. Sądzę, że poniższy czterowers najpełniej oddaje stan duszy podmiotu lirycznego i jego widzenie rzeczywistości:

Drzewa tak złote jak tylko osiki
Droga tak jasna jak tylko do celu
Szelest tak bliski jak szum wodospadu
Oczy tak ciepłe jak tkliwe uczucie
(s. 20).

Mimo iż analizowane liryki są opisem konkretnego zdarzenia, a rozważania poety wyrastają z osobistych westchnień nad istnieniem swoim i bliźnich, twórca zawsze formułuje refleksję ogólniejszej natury, przy czym dzieje się to bez założonej natrętnej tezy, lecz wynika niejako przy okazji jak choćby w passusie: „Opodał łabędź wyleciał z szarości / Biały samolot ląduje i siada / Lód pęka, płynie, tak mocny, tak czysty” (s. 11). W wierszach Tadeusza Wrony został odzwierciedlony: „Świat zobaczony / Czas przetrzymany” (s. 19), „Czas zatrzymany w półkroku” (s. 21).

Ważnym uczestnikiem sytuacji poetyckich jest przyroda. Przestrzegałbym jednak przed wyznaczaniem jej roli tylko ornamentu, bowiem natura tworzy pejzaż mentalny, informując tyleż o otoczeniu, co o wnętrzu „ja”. Potrzeba dotyku, przytulenia i czułości została przedstawiona we fragmentach: „Ptak patrzy w okno z drzewa naprzeciwko / W brzozy schowany wiosennej sukience / Zmierzwiony modrzew chce objąć wiewiórkę” (s. 13), „A tam jabłonka płonie niewinnością / Tuli magnolię całą w światłach prawdy” (s. 7), która wraz z frazą: „Brzoza przyjaciółka zaokienna” (s. 39), sygnalizuje predylekcję poety do animizacji, a nawet antropomorfizacji przyrody, często występującej w anturazie zurbanizowanym: „Płomień forsycji objął róg budynku” (s. 7), „Zapach przyjemny, fioletem przybrany / To chyba śliwy stanęły przy dworcu” (s. 9). Przebija przez te wyimki tęsknota za bezpowrotnie utraconym dziewictwem człowieka, które ten stracił, porzucając florę na rzecz budowlę z betonu i szkła. Ale może nie jest za późno przynajmniej na zbliżenie się do uniwersum natury: „A my znów w środku jak swoi – przybysze / Wśród mrówek, trawy i białych kamieni” (s. 33).

Zbiór Tadeusza Wrony *Słowa i definicje* przypomina, że pisanie jest potrzebą biologiczną, jak oddech, który można na jakiś czas wstrzymać, lecz niepodobna nie zaczerpnąć powietrza jeszcze raz. Czy częstochowski autor podpisałby się pod aforyzmem Jacka Durskiego: „Nadszedł czas pisania. Słyszę swój głos. Poemat wyśniony”? Przyszłość pokaże, ale sądzę, że debiut książkowy Tadeusza Wrony nie będzie jego ostatnim głosem w literaturze.

Tadeusz Wrona, *Słowa i definicje*, Wydawnictwo Nowy Świat, Częstochowa – Warszawa 2018, 92 s.

Małgorzata Nowakowska-Karczewska

KOBIETA



I

„Słabości, na imię ci kobieta”.
(William Szekspir)

Kobieta, której zmysłowość, skomplikowaną naturę, tajemne, jej tylko wiadome zakamarki duszy zgłębić próbowano od wieków, nadal pozostaje zagadką.

Bolesław Leśmian, który choć urody i postury mizernej nieco, życie miłosne miał bogate, przyznawał, że nawet (a może zwłaszcza?) w chwilach najintymniejszej bliskości, jakaś część ukochanej umyka w głąb, która jemu nigdy dostępną nie będzie:

„Gdy omdlewasz na łożu, całowana przeze mnie,
Chcę cię posiąść na zawsze, lecz daremnie, daremnie (...)
Zapodziewasz się nagle w niewiadomej otchłani,
Gdziem nie bywał, nie śniwał, choć kochałem cię dla niej”.

Rozkosz, zmysłowe przyjemności odwiecznie kojarzą się z kobietą. Jej ciało (zwłaszcza gdy młode i ponętne) jest przedmiotem tęsknoty, pożądania, erotycznych snów.

Konrad Celtis w jednej ze swych miłosnych elegii uwiecznił taką pełną napiętności noc:

„Jakże szczęśliwy byłem w tej godzinie
Wśród pocałunków i uścisków wrzących,
Pieszcząc urocze piersi Hasyliny
I do wdzięcznego tuląc się jej łona”.

Podobny żar odnajdziemy w erotykach Kallimacha, którego powikłane losy (zamieszany był w próbę obalenia papieżstwa) zaprowadziły do Polski, gdzie znalazł wsparcie m.in. Grzegorz z Sanoka. Adresatką owych wynurzeń była bliżej dziś nieznana Fannia:

„Dała mi Fannia pocałunek złoty,
(...) taki, co podwaja
Ogień kochanków, gdy budzi się żądza

W głębinie zmysłów i przeszywa
Ciała dreszczem (...).

Cielesne spełnienie kojarzyło się z najwyższym szczęściem, co przyznawał i Julian Tuwim (z pozoru tylko chłodna zodiakalna Panna) zakochany w swej Stefanii:

„Przyjdiesz nocą. Zostaniesz do rana (...)
Obłąkany szał szczęścia przeżyję (...)
Zacaluję cię sobą!”

Natura szczerze wyposażała kobietę w powaby, które czynią ją biegłą w sztuce uwodzenia. Wspaniałą bronią w tej mierze są oczy (co świetnie zauważył Jan Andrzej Morsztyn, wyborny znawca niewieścich wdzięków), którymi:

„Dobywa, strzela, gromi, siecze,
Wojuje, pali, pustoszy i piecze”.

Równie hojnie pono przydała natura paniom wad i słabości rozlicznych. Brylujący wśród dworek Ludwika Marii Morsztyn (jedną z nich poślubił), którego żywot bynajmniej do kryształowych nie należał, rad był (żartem wprawdzie) przyganiać kobietom:

„Trudno zrozumieć, co się w ciebie wlewa,
Takeś odmienna i takeś pierzchliwa.
Raześ mi frantem, drugi razy szczerą.
Raz ze mną wierna, drugi raz mię zdradzisz.
Tak cię natura chciała wykształtować,
Że nie wiem, jak z tobą postępować”.

Wedle stereotypowych, przez wieki żywionych przekonań, kobiety miały być próżne, leniwe, złośliwe, jak na przykład owa Aniela z wiersza Ignacego Piotra Legatowicza:

„Dziennie zajęcia Anieli
Mogę opisać najwierniej.
Cały ranek siebie bieli,
Cały wieczór drugich czerni”.

Postrzegano i opisywano panie jako istoty z gruntu złe, niebezpieczne (by przypomnieć tylko procesy rzekomych czarownic), głupsze pod każdym względem od mężczyzn. Wszelkie winy miały się ciągnąć za nimi już od czasów biblijnej Ewy, której taką wzmiankę poświecił w swych pismach Andrzej Frycz Modrzewski:

„Ile bowiem niewiasty sprawić mogą szkody w sprawach ludzkich, to się pokazało na owej bardzo pięknej i przemądrzałej Ewie, której rada przyniosła zgubę rodowi ludzkiemu”.

Przebiegła Ewa omotała Adama, co wypomina mu wieśniak, bohater *auto sacramental* *Wielki teatr świata* Calderona:

„Wszystko ślepoty Adama wynikiem!
Taki był mądry, a nie spostrzegł wcale,
W jaką go Ewa pakuje kabałę!
Zamiast jeść jabłko, lepiej by pozwolił,
By się nim sama objadła do woli!”

Podzielający przekonanie, że kobiety zawsze stanowią zagrożenie, Stanisław Koszutski radził w swym epitalamium, by do spraw publicznych, męskiej tylko rozwadze właściwych, niewiast nie dopuszczać: „Niech męska głowa płochość żeńskiej płci zwycięża”.

Sebastian Petrycy, uczony medyk, filozof, tłumacz Arystotelesa (który to mędrzec starożytny kobiety uważał nawet na pomyłkę natury), wyłożył w swym dziele myśl w przeświadczeniu wielu mężczyzn wielce trafną: „(...) insze są zabawy męskie, jako uczyć, rządzić, kupczyć, żołnierką służyć, a insze białogłowskie, jako prząść, szyć, haftować”.

Kobiety nie powinny tedy mieć ambicji intelektualnych, bowiem im więcej wiedzy, tym mniej cnót. Wystarczy im znajomość tego, co przyda się we wzorowym prowadzeniu domu. Niech wiedzą zatem, jak przyrządzić na przykład „kurladzkę pierogi”, „plaster na dysenteryję” czy „domowy purgans”, a nie zajmują się, jak pouczał w jednym z kazań Aleksander Lorencowicz: „łaciną, językami, filozofskimi dyskursami, naukami głębokimi, bo taka mądrość płci tej mniej potrzebna, a czasem i szkodliwa”.

Wszelkie zmiany obyczajów niewieścich gorszyły. Kazimierz Haur, komentując w swej obszernej encyklopedii rozrywki niektórych osiemnastowiecznych Polek, pisał: „Damy te-
raźniejsze wielce modziaste (...). Niech raczej by duchowne do nabożeństwa księgi, a nie (...) próżnej chwały i wymysłów pełne wiatrowe wiersze wartowały (...), by im to było z większym duszy pożytkiem, aniżeli docześnie ciała wygadzać”.

Dogadzanie ciała było oczywiście wielce naganne, kobietę zdobić ma cnota:

„(...) cnota (bo uroda bardzo lekkiej wagi)
Przenosi wojewodze na świecie posagi”

– pisał Wacław Potocki. Poeta nie aprobował odmładzania się, poprawiania urody. Wystarczy przypomnieć fraszkę, w której ganił stosowane przez kobiety sposoby:

„Czarne się bielą, białe na przepych naturze
Z czarnych płatów w rozliczne nastrzygszy figurze
Muchy, osy, pająki, bez mała i żaby,
Jaszczurki, węże, lepią po gębie”.

Mężczyźni pożąдали kobiet namiętnych, skorych do uciech cielesnych, co przyznawał choćby Kazimierz Przerwa-Tetmajer:

„Lubię, kiedy kobieta omdlewa w objęciu,
Kiedy w lubieżnym zwisa przez ramię przegięciu”.

Żony wszelako szukano wśród skromnych, pokornych, cnotliwych, choć jak pisał Morstyn: „Do tej się serce moje nie przysiedzie”. Małżeństwo czyniło kobietę całkowicie zależną od woli męża, często tyrana, obyczaje dopuszczały nawet bezkarne bicie do pierwszej krwi. Pretekst zawsze się znalazł, przecież żony często jawiły się mężom na podobieństwo

Ksantypy, którą sam Sokrates nazwał jędzą. Utyskiwano tedy, że kłótlive, gadatliwe, głupie, zaborcze, leniwe, a nawet, o zgrozo, pijaczki, zaniedbujące obowiązki. Pisał o takich Wacław Potocki w jednej z licznych fraszek, które poświęcił wadom kobiet:

„(...) żonki gorzałeczkę piją jako wodę,
potem gośćcem albo składają się katarem”.

Sympatycznych, ciepłych obrazów żon w literaturze było znacznie mniej, warto więc przypomnieć wiersz Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego:

„Kiedy powraca z miasta,
napełnia cały dom
radosną wrzawą dzwonka (...)
W nocy, gdy nie dosłyszysz mego oddechu
woła: »Oddychaj! oddychaj!«
I troskliwie otula mię swoim spojrzeniem”.

Losy królewskich małżonek także nie były pasmem rozkoszy. Przypomnieć można dzieje Marii Leszczyńskiej, urodziwej, wcale nieźle wyedukowanej, utalentowanej muzycznie (grywała na klawesynie, gitarze, lirze korbowej) żony Ludwika XV. Złudzenie małżeńskiego szczęścia, trwałego miejsca w sercu Ludwika, mogła mieć jeszcze w dniu ślubu, gdy zachwycała piękną suknią z fioletowego, zdobnego w złote lilie aksamitu. Potem były już tylko dworskie intrygi, liczne kochanki, którymi otaczał się Ludwik, ona tymczasem przez kilkanaście lat była niemal nieustannie brzemienna (musiała wszak, by zapewnić ciągłość dynastii, urodzić wielu synów).

Alternatywą dla kobiet, które wołały uniknąć małżeństwa, były klasztory. Mniszki miały prawo do edukacji, czytały dzieła dobrane do potrzeb duchowych, były kopistkami, iluminatorkami kodeksów. Wiele z nich było niezwykłymi kobietami, choćby reformatorka Karmelu, mistyczka, święta Teresa z Avila czy Hildegarda z Bingen, która spisywała swe niezwykle wizje, komponowała hymny, a nawet zajmowała się zielarstwem (z jej porad medycyna naturalna korzysta do dziś).

Pięknie taką mniszkę zatopioną w pracy i marzeniach opisał Federico Garcia Lorca:

„Mniszka haftuje lewkonie na jasnym płótnie złotawym (...)
Dobrze haftuje! I pięknie!
Ale na tym płótnie jasnym
jakże by chciała wyszywać
kwiaty swojej wyobraźni”.

Starość, zwykle przychodząca zbyt wcześnie, to szczególnie bolesny czas dla kobiet. Doskonale czuła to Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, sama zawsze obawiająca się starości:

„Zmęczona, ledwie idzie,
na kiju się opiera,
przejechana przez życie
jak przez złego szofera.
Oblicze jej pocięte,
jak gdyby ostrym mieczem”.

Kobiety, których uroda i młodość przeminęły, jawią się mężczyznom na podobieństwo tych z wiersza Czesława Miłosza:

„Zgięte artretycznie, w czerni, na nogach patykach,
Posuwają się o lasce przed ołtarz”.

Stare kobiety stają się często tematem satyrycznych wierszyków, jak ów pomieszczony w pisemku „Śmieszek”. Jesteśmy tu świadkami wieczornej toalety leciwej wdowy:

„Gdy przyszło się rozebrać, pani włosy zdjęła,
Potem oko, po oku i zęby odjęła,
Dalej piersi i biodro”.

Mistrz Kochanowski także studiował miłosne zapęły niewiasty, której młode lata przeminęły:

„Teraz by ze mną zygrywać się chciała,
Kiedyś, niebogo, sobie podstarzała.
Daj pokój, prze Bóg! Sama baczysz snadnie,
Że nic po cierniu, kiedy róża spadnie”.

A przecież serca starych, brzydkich kobiet nadal bywają gorące, nadal marzy im się miłość. Przyznawała to choćby Eliza Orzeszkowa, która wikłała się w związki z młodszymi, często mało wartymi mężczyznami: „Bywają uderzenia serca tak silne, że gaśnie przy nich lampa rozumu”.

W *Opowiadaniu o starych kobietach* Tadeusza Różewicza pobrzmiewają trochę życzliwsze tony: „Lubię stare kobiety / brzydkie kobiety / złe kobiety // są solą ziemi // (...) znają odwrotną stronę / medalu / miłości / wiary”.

II

„Choć ja niewiasta, tedy nie dam się nikomu znieważać”.
(Katarzyna Hlebowiczowa)

Kobiety zawsze znajdowały sposoby (wszak to pramatka Ewa była ostatnim, najdoskonalszym dziełem Stwórcy), by w odwiecznej walce płci nie poddać się męskiej dominacji, by nie wyrzec się swojej indywidualności.

Juana Ines de la Cruz, siedemnastowieczna poetka, erudytką, która świadomie wybrała klasztor, by w ciszy celi oddawać się studiom literackim i naukowym, zawarła w jednym z wierszy godne chyba przemyślenia słowa:

„Głupi mężczyźni, którzy oskarżacie
kobietę, gardząc dowodem,
nie widząc, że sami jesteście powodem
tego, o co ją obwiniecie”.

Panie nigdy nie chciały ograniczać się jedynie do gotowania, nianżenia dzieci, robótek, starały się zrobić, nauczyć więcej, niż zazwyczaj wymagano od ich płci. Wystarczy przywołać postać żyjącej w XVII wieku Anny Marii von Schurmann, która, by słuchać uniwersyteckich

wykładów z teologii, siedziała w specjalnie zakratowanej skrzyni, sprytnie obchodząc różne zakazy dotyczące kobiet. Znała 12 języków, co pozwalało jej prowadzić korespondencję z wieloma uczonymi tej doby.

Kobiety to także perfekcyjne uwodzicielki, równie wyborne jak owa jasnouda nimfa z wiersza Jana Kasprowicza, którą gonił kosmaty faun. On roznamiętniony

„Z daleka już w jej ciało wgryza się oczyma”,

ona tymczasem, nim ulegnie, bawi się, igra:

„(...) drwiąc serdecznie z czarnego olbrzymia,
Jak błędny skacze ogień, postaci ułudą
To błysnie, to przygaśnie, włosów przędzę rudą
To w mże rozwiewa skrzyste, to w uwięzi trzyma”.

Faun dopada ją w końcu, powala w trawy i

„Czcigodna tajemnica w wszechświecie się czyni”.

Rousseau twierdził, że „kobiety na ogół nie lubią żadnej sztuki, nie znają się na żadnej i brak im prawdziwego geniuszu”. Cóż, można się tylko wyrozumiale uśmiechnąć, przypominając sobie długi rejestr genialnych artystek. Panie chciały mówić o sobie, swoich uczuciach, obawach, zachwytach. Przywołam tu tylko dwa przykłady poetek polskiego baroku, czasu, gdy na pewno nie oczekiwano od kobiet, by parały się literaturą. Ciekawą postacią jest niewątpliwie tworząca wyłącznie po łacinie Anna Memorata, córka karczodzieli i pastora braci czeskich w Lesznie, która tak wdzięcznie pisała o swojej twórczości:

„Wiele słów układam, przemysławszy wiersz
i dają słodki dźwięk struny pięknie brzmiące”.

Spory talent przejawiała też Elżbieta Drużbacka, która owdowiawszy wcześniej osiadła w klasztorze bernardynek w Tarnowie. Pisała utwory o różnej tematyce, z których najciekawszy to *Opisanie czterech części roku*:

„Powiedz, kto słońcu wschód ranny naznaczył.
Kto czas wieczorny w zachodzie zamierzył,
Kto księżyc pełny w części przeinaczył,
Kto osiom mile gwiazdowym wymierzył”.

Kobiety zawsze, podobnie jak owa dziewczyna z wiersza Leopolda Staffa, dzień cały zajęta praniem i prasowaniem, znajdując moment, by umknąć w swój świat duchowy:

„I dopiero z poddasza o szarym wieczorze
Patrzą w cichą ulicę i gasnące zorze
Z okna, co jest twą książką i twym fortepianem”.

Siła uczuć kobiet bywa ogromna, w miłości, rozpaczcy zdolne są do szaleństwa. Bohaterka ballady *Ucieczka* Adama Mickiewicza z tęsknoty za zmarłym ukochanym gotowa jest na zatrącenie, na śmierć. Chce chwycić się każdego sposobu, który ukoł ból. Pojawia się tedy czarownica, by pomóc dziewczynie przywołać zza grobu młodzieńca:

„Przyszła kuma, widma stara (...)
Kuma w biedzie ma pociechę,
Kuma stara umie wiele,
Ma kwiat paproć i car ziele (...)
Przyszłam zrobić możne czary”.

W złowrogiej scenerii, nocą, przy bladej poświacie księżycy odbywa się obrzęd przywołania ducha:

„Panna grzeszy – jeździec spieszy,
Kłęto ducha – jeździec słuca”.

Warto sięgnąć do owej, mniej może znanej ballady, by poznać efekty czarów.

Do magii ucieka się także zdradzana żona, bohaterka sielanki *Czary* Szymona Szymonowicza, bowiem swawolnik już trzy noce jest poza domem, a ona tęskni, cierpi męki zazdrości:

„Wiem, że to grzech jest wielki, wiem, że wszelkie czary
Szkodliwe, ale żal mój nie ma żadnej miary”.

Stosowne zaklęcia, palenie liści jesionowych, lanie wosku, kręcenie wrzeciona itp. sprawiają, że winowajca powraca. Wystraszony, w jednym bucie, budzi litość żony, która (jak to kobieta) skłonna jest wybaczyć:

„Ale mi go żal przedsię. Gdy mi się tu stawił,
Radam mu z serca, choć mi barzo go zakrwawił”.

Opuszczona kochanka (i tu sięgnąć trzeba do sielanki Gawlińskiego *Odczary*) łatwo zwycięstwa żonie nie przyzna. Przy pomocy magicznego zwierciadła, niebezpiecznego, ale i najskuteczniejszego narzędzia magii, pozbawia niewiernego męskiego wigoru:

„Dobrze wyszły odczary (...) wzięła mi go, a jam mu za to
wzięła siły. Nic się niem nie ucieszy”.

Lustro jest także niezbędnym atrybutem kobiecej urody, dostęp do swego wizerunku pozwala zachować moc uwodzicielską, dokonać wszelakich korekt, o czym pisała Alicja Marzec:

„codziennie analizuję swą twarz
przy pomocy pudru pędzelka i tuszu
poprawiam wizerunek
tuszęję charakter
w kryształowej powierzchni lustra”.

Kobieta wręcz budzi się do życia zauroczona własnym odbiciem, podobnie jak młode dziewczę z wiersza *Zdejmując podwiązki* Mariana Czuchnowskiego. Panienka, niecierpliwie zrzucawszy szatki, nieco zawstydzona, ale i urzeczona, ogląda się w lustrze:

„Błysła noga, śniade uda,
Koncha brzucha. (...)
Dziewczyna mając na sobie tylko różowe korale
Krzyknąwszy, zamarła w bezruchu,
Zmrużyła oczy,
Po czym nagle cała
Od szyi do stóp w lustrze się rumieni”.

Kobiety, wbrew cytowanym wcześniej opiniom, w żadnej dziedzinie nie ustępowały (i nadal to czynią) mężczyznom. Odgrywały, jak choćby Kleopatra, ostatnia królowa Egiptu z dynastii Ptolemeuszy, ogromną rolę w dziejach świata. Wystarczy zacytować niewielki fragment z wiersza Kazimierzy Zawistowskiej:

„Piła dusze, jak perły w rubinowej czarze –
Antonia i Cezara dusze piorunowe”.

Inne, równie jak mężczyźni świetnie jeździli konno i władały bronią. Wojewodzianka wileńska Helena Ogińska, na słynnym karuzelu w Dreźnie, uświetniającym zaślubiny królewicza Fryderyka Augusta z Marią Józefą, z taką zręcznością wykonała wszelkie popisy rycerskie, iż to jej przyznano pierwszeństwo i wszystkie nagrody. A miała wówczas lat ledwie osiemnaście.

Kobiety mają oczywiście i swoje dziwactwa i słabości. Zofia Nałkowska panicznie bała się zbliżyć do otwartego okna („zwłaszcza, gdy jestem sama to nagle otwieranie okna na obłąd”), nieustannie narzekała na „ciągły ryczący brak pieniędzy”. Obdarzona dużym temperamentem także jako leciwa dama, nadmiernie upudrowana, z nieodłącznym srebrnym lisem na ramieniu, wysiadywała w kawiarniach, czekając na konkurentów.

Gabriela Zapolska targnęła się na życie łykając fosfor z zapalek, z trudem ją uratowano. Całe życie bawiła się lalkami, które sama robiła z gałganków. Nie znosiła zapachu perfum i dźwięku i widoku fortepianu („pokraczne czarne pudło szczerzące zęby”).

Wśród tylu i tak odmiennych wizerunków kobiet, na koniec przywołać trzeba ten, może najbliższy Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

„Widzę cię w futro wtuloną,
wahającą się nad małą kałużą
z chińskim pieskiem pod pachą, z parasolem i różą...
I jakżeż ty zrobisz krok w nieskończoność?”

Jarosław Kapsa

APOSTATA W ZAPŁĄTANIU

Gdyby Pan Bóg miał coś wspólnego z tworzeniem narodów, wówczas łatwiej nam byłoby budować historyczne teorie. Ale nie ma tak łatwo: narody tworzyły się jak magma zastygająca po erupcji wulkanu społecznej aktywności; na dawne formy nakładały się nowe, przez to nowe przebijало się stare. Identyfikacja narodowa to podwójna forma subiektywizmu: jesteś Polakiem, bo uważasz się za Polaka oraz/lub: jesteś Polakiem, bo ciebie za Polaka uważają. Identyfikacja niezbędna, utrwalająca bezpieczny, oswojony, przytulny, pierwotny porządek świata, dzielący ludzkość na „swoich” i „obcych”.

I

Jest rzeczą trudną, a nawet niemożliwą, ustalenie, kiedy między Sanem a Zbruczem w ten podział swój-obcy wpisał się konflikt polsko-ukraiński. Jest to rzecz trudna, zwłaszcza że chodzi nie o konflikt takich czy innych elit społecznych, z wiadomych sobie powodów określających siebie jako Polacy lub Rusini (Ukraińcy); naród z definicji to zbiór szerszy, choć niewątpliwie przez elity kształtowany. A skoro rzeczą trudną jest ustalenie początków narodowej samoidentyfikacji, tym bardziej złudne jest operowanie stereotypami. Ukrainiec-Kozak-Hajdamaka to obraz namalowany dopiero w XX wieku. W wieku XIX na zachód od Sanu żyli Mazurzy:

„Mazur nie dorówna Krakowiakowi co do energii; zwolna i melancholijnie łązi koło roboty, odrzuca upornie wszelkie ulepszenie w starym trybie gospodarki, i jest pełnym nieufności względem dworu, urzędu, a nawet plebanii. Oślawił się w smutnej pamięci roku 1846, kiedy to, jak wiadomo, chłopstwo rzuciło się na szlachtę. Dopiero na granicy ruskiej ludności, w okolicy Jarosławia, lud staje się urodziwszym i zdutniejszym do cywilizacji, odznaczając się między innymi czystą polszczyzną, bez jakichkolwiek prowincjonalizmów, tylko że wymowa jest śpiewna, z ruska”¹.

Na wschód od Sanu występowali Ruśniacy:

„Ruśniak jest szczególniejszym typem; wysmukły a słabo zbudowany, niemal zawsze czarnooki i czarnowłosy, ma ruchy powolne, a w całym swym zachowaniu melancholijny, unika zetknięcia z polską ludnością i skryty dla niej, pędzi bez skargi swe życie biedacze na jałowej roli”².

Dalej zaś Podolacy:

„Chłop podolski, zestawiony ze swym bratem od granicy, z Ruśniakiem, powinien by tedy okazywać błogie skutki dobrobytu w ubiorze i trybie życia. Ależ bynajmniej! Dobrobyt zrobił go tylko tem niedbalszym, leniwszym i nieprzystępniejszym dla cywilizacji. Nie brak mu wcale zdolności: owszem, ma on zdrowy rozsądek i wrażliwość na głębsze myśli i uczucia nieraz zdumiewającą; przeważa jednak w nim żywioł zachowawczy, podniesiony aż do jakiegoś fatalizmu, co sprawia, że może chodzić bez końca śladami swych ojców z gapio-

watą jakąś flegmą. Jest zresztą serdeczny, lubi muzykę i śpiew ludowy, ożywiający melodyjnie rozległe jego niwy; jest też gościnnym i litościwym: a jednak myśl jego nie sięga poza chwilę obecną, w latach urodzajnych nie oszczędzi nic na czarną godzinę często powracającej posuchy i nieurodzaju; nieszczęsna karczma pochłonie jego dostatek, to też w złych latach pomrukuje o głodzie i chłodzie tak samo, jak ów zachodni pobratymiec, Ruśniak”³.

W postrzeganiu zewnętrznym bardziej skłonna do awantur była ludność zaliczona do polskiej. Przytaczano anegdotę, jak to Mazur tłumaczył się przed sądem z pobicia dwóch Ruśniaków: stali oni na drodze i wyzywali się, wyzywali i wyzywali, ale nie bili, no to nie wytrzymałem, musiałem sam ich pobić. Rabacja miała miejsce na „polskich” obszarach; tam także, w Tarnowskim, była największa „galicyjska nędza”; za Sanem wsie były bogatsze, więc też chłopci uważani byli za potulniejszych. Do tych podziałów nizinnych dodajmy jeszcze archipelag plemion zasiedlających Karpaty, tych wszelakich Łemków, Bojków czy Hucułów, gdzie każdy swoją swojskość podkreślał jako inność od sąsiadów.

To na Galicji. Po sąsiedztwie w Królestwie Kongresowym była historyczna Chełmszczyzna:

„Ludy, zamieszkujące na pograniczu stykania się dwóch wielkich narodów pokrewnych, posiłkują się zazwyczaj narzeczem pośrednim, a o przewadze jednego z języków sąsiednich w tych dialektach stanowi bieg dziejowych wypadków. Tak jest i z ludnością nad Bugiem. Mówią oni ani językiem południowo-ruskim, ani polskim, lecz specyjalnem narzeczem, swoim własnym, »zwykłym« językiem. (...) Nie jest możliwem poszukiwanie przynależności narodowościowej tych lub innych mieszkańców w powiatach, w gminach i wsiach, gdyż typy te wzajem różniczkują się do najwyższego stopnia. Nie jest możliwem określanie pochodzenia narodowościowego ryczałtem na podstawie jakiejś jednej cechy etnograficznej. Naturalnie, w wielu miejscowościach przechowane pieśni ruskie, nazwy, imiona i nazwiska świadczą o pochodzeniu ruskim ludności – na północy białorusinów, na południu małorusinów”⁴.

Z tego wszystkiego nie Pan Bóg, ale człowiek chciał ulepić narody.

II

„Ileż to tysięcy razy Polacy z Rusinami przy wspólnych ucztach i biesiadach mówili o braterstwie i spijali toasty na intencję »Kochajmy się!«. A jakże zawstydzająco mało zrobiono dla spełnienia drugiego, nie mniej ważnego hasła »Poznajmy się!«. Niech p. Romanowicz powie nam sumiennie, ilu zna Polaków w Galicji wschodniej, zwłaszcza członków swego stronnictwa, którzyby umieli dobrze mówić, czytać i pisać po rusku, którzyby mieli bodaj jakie-takie wyobrażenie o ruskiej literaturze, o ruskim życiu umysłowem i partyjnym? My ani jednego takiego nie znamy. (...)

Wychowany w szkołach polskich, wykarmiony literaturą polską na równi z innymi, tyłu węzłami czuję się związanym ze społeczeństwem polskim, że ich zerwanie bardzo dużo by mię kosztowało. Tyłu mam między Polakami przyjaciół, którzy darzą mię swem zaufaniem, tak wiele radosnych i bolesnych wspomnień wiążą mię z nimi, tak wiele im zawdzięczam i tak szczerze

im w miarę możliwości odwdzięczać się jestem gotów, że wmawianie we mnie nienawiści ku wszystkim Polakom brzmi w moich uszach jak jakaś wiadomość z innego świata. Jako Rusin kocham nade wszystko swój lud i swą narodowość i pragnę w miarę sił i zasobów swych przyczynić się do ich podniesienia i wzbogacenia. Ale nieszlachetnymi, nieuczciwymi środkami nawet dla dopięcia takiego celu gardzę, a nieszlachetnym, nieuczciwym i wprost głupim środkiem byłoby miotanie obelg na naród, w którym pragnąłbym widzieć oporę dla rozwoju i samodzielności mego własnego narodu”⁵

– pisał w 1895 r. Iwan Franko. Uznany na salonach kulturalnych Galicji pisarz i krytyk literacki, znany z radykalizmu politycznego, był Rusinem z wyboru. Tak jak i wszyscy Rusini, bo gdy nie istnieje własne państwo, tylko dobrowolny wybór decyduje o tym, czy jest się Polakiem, Rosjaninem czy Rusinem. Był Rusinem, a jednocześnie twórcą ukształtowanym polską kulturą, wtopionym w polskość, świadomym, że zerwanie z polskością byłoby dla niego bolesnym i kosztownym przeżyciem. Mimo tej świadomości dwa lata po publikacji powyższych słów w 1897 r. Iwan Franko dokonał swoistego aktu kulturowej apostazji, publikując w niemieckojęzycznym piśmie atak na narodowego polskiego Wieszczą. Leon Wasilewski ten akt traktował jako swoistą reakcję na politykę namiestnika Kazimierza Badeniego podczas wyborów 1897 r.:

„Cóż zresztą mówić o masach, kiedy rozgoryczenie, wywołane porażką wyborczą, przekształciło się w ślepą nienawiść do polskości u najinteligentniejszych przedstawicieli społeczeństwa ruskiego. Taki Franko umieścił w wiedeńskim tygodniku »Die Zeit« artykuł pt. »Poeta zdrady«, w którym w sposób niesmaczny i dziwnie, jak na fachowego znawcę literatury, niekrytyczny usiłował udowodnić, że Mickiewicz był piewą zdrady przede wszystkim, na dowód czego przytaczał nie tylko »Wallenroda«, ale nawet... »Rybkę« i »Świteziankę«. Ponieważ takiego poetę czczą Polacy, jako swego wieszczą największego, więc stąd konkluzja, że Polacy kochają się w zdradzie i że Badeni zdradza Austrię w interesie Polski. Oburzający artykuł Franki, ogłoszony podczas przygotowań do obchodu stułetniej rocznicy twórcy »Dziadów«, musiał wywołać u Polaków niechęć do pisarza ruskiego i do całego reprezentowanego przezeń społeczeństwa”⁶.

Trudno jednak tak istotny tekst, jakim był artykuł *Poeta zdrady*, tłumaczyć tylko atmosferą wyborczą. Polityka była zapętlona, dzieląc elity rusińskie na układające się w przedziwne konfiguracje układy. W 1889 r. namiestnik Badeni zawarł z liderem parlamentarzystów rusińskich Julijem Romańczukiem ugodę owocującą oświadczeniem, że

„Rusini stoją na gruncie lojalności austriackiej i wierności dla kościoła katolickiego i że chcą pracować ręką w rękę ze swymi polskimi współobywatelami. (...) Po kilku latach ugoda została uznana przez wszystkich za akcję chybioną i jedynym jej śladem w formacjach partyjnych Rusi galicyjskiej pozostała nadzwyczaj szczupła grupka tzw. »Rusinów inkamerowanych«, sztab bez armii partji rządowej – a klerykalno-konserwatywnej – Barwiński i paru jego zwolenników. W obozie narodowców »ugoda« wywołała wielki ferment, powodujący szereg objawów różnorodnych. Z jednej strony podnosił głowę

prąd bardziej demokratyczny, zbliżający tę partję do stronnictwa radykalnego; z drugiej ujawniała się chęć do porozumienia się z partją staroruską dla wytworzenia wspólnego obozu opozycyjnego. (...) Potrzeba było jakiejś podniety z zewnątrz, aby nastąpiło skrzystalizowanie się dawnych narodowców, pozbawionych żywiołów ugodowych i wzmocnionych dopływem najbliższych im żywiołów z obozu radykalnego, w nową silną partję. Taka właśnie podnieta wyszła ze strony prof. Michała Hruszewskiego, Kijowianina, ucznia prof. Antonowicza, który w r. 1894-ym przeniósł się do Galicji, aby tu objąć na uniwersytecie lwowskim katedrę historii z językiem wykładowym ukraińskim – katedrę, która została założona w myśl warunków owej »ugody«. (...) Hruszewski powziął zamiar odegrania roli kierowniczej i w polityce galicyjskiej, która po bankructwie ostatecznym »ugody« wchodziła na tory bardzo niepewne. Przed wyborami do parlamentu w roku 1897-ym narodowcy weszli w sojusz z moskalofilami. Sojusz ten został wzmocniony w trakcie samych wyborów, przeprowadzonych na Rusi przez byłego patrona ugody polsko-ruskiej, hr. Badeniego, z niesłychanym terroryzmem”⁷.

Franko, występując jako prawa ręka Hruszewskiego, zapłacił osobistą cenę za niepowodzenia polityczne; zablokowana została możliwość jego pracy naukowej na Uniwersytecie Lwowskim. Jednocześnie znosić musiał cały dyskomfort sojuszu z moskalofilami, o których pisał w 1895 r.:

„Jest to moskalofilstwo podobne do sekty raczej, niż do stronnictwa politycznego: nieboszczyk Dragomanów porównywał je z rosyjską sektą Ochochofilów, nazwaną tak od ciągłego wzdychania »och! och! och!« Nasza sekta moskalofilska wzdycha do Rosji, której przeważnie nie zna, do jedności narodowej z wielkim narodem rosyjskim, o którym nie ma wyobrażenia, do języka rosyjskiego, którego literatury nie czyta. Sekta ta gardzi nieraz swoim językiem ojczystym, ruskim, usiłuje pisać łamaną moskiewszczyzną lub raczej cerkiewszczyzną, pomieszaną z rusinizmami i polonizmami. Sekta ta wzdycha nawet nieraz za prawosławiem, jako jedyną narodową wiarą wszechruską, nie mając również wyobrażenia o tem, czem jest obecne kazionne prawosławie rosyjskie”⁸.

III

Tym, co łączyło w 1897 r. elity społeczeństwa polskiego z wszystkich zaborów, było przygotowanie godnych obchodów 100-lecia urodzin narodowego Wieszcza Adama Mickiewicza. W Krakowie i Lwowie trwały gorące dyskusje nad formą pomnika Wieszcza; od sztubaka szkolnego po weteranów życia społecznego, wszyscy z ogniem w oku recytowali klasyka przy każdej możliwej okazji. Tak współcześnie, jak i wówczas, wolność słowa w kulturze ma swoje granice wyznaczone spiżem pomników. Trudno jest polemizować z twórczością kogoś deifikowanego na poziom narodowego Wieszcza. Wyobraźmy więc sobie, że w 1981 r. jakiś czeski liberał w niemieckim piśmie opublikowałby esej o fałszu moralistyki w twórczości Miłosza; być może część odbiorców przyznałaby rację autorowi, lecz i z nich nikt by nie ośmielił się tego publicznie powiedzieć.

Tekst Iwana Franki, gdyby nie okowy „narodowej godności”, można by uznać za inteligentną prowokację wymuszającą pogłębione spojrzenie na dorobek romantyków. Czytamy w *Poecie zdrady*:

„Już Jerzy Brandes w artykule pt. »Romantyzm polski« dostrzegł przenikliwym okiem jeden z głównych motywów w poezjach; największych poetów polskich Mickiewicza i Słowackiego. Nazywa on takowy w słowach prostych i jasnych »uwielbieniem oszustwa i niespodziewanej napaści«, i ja byłem zdziwiony niezmiernie, że ani jeden Polak nie odezwał się słowem protestu przeciw takiemu pogładowi (...) Mickiewicz urodził się i wychował się w nader, nienormalnej i niezdrowej atmosferze politycznej. W przeddzień jego urodzin upadła i została podzielona staje Polska. Upadek jej narobił wiele kurzu, wyciągnął na światło dzienne wiele zepsucia, braku charakteru, przedajności, że młode pokolenia przez długi czas zmuszone były oddychać tą zatrutą atmosferą. I tak zauważamy, że Mickiewicz zaraz u wstępu na niwę literacką wykaże skłonność fantazji do wytwarzania zdrady niespodzianej napaści i renegactwa. W utworach jego spotykamy długi szereg zdrajców; nie są to jednak figury drugorzędne (...), są to bohaterowie otoczeni całym czarem romantyzmu, występujący w postaci ludzi wyższych, i ta właśnie okoliczność stanowi rys podejrzany i odrażający w utworach powyższych. (...) Należy pamiętać, że nie są to jedynie tak zwani »zdraycy – patryoci«, których postacie odtwarza nam Mickiewicz, nie tylko ludzie żyjący w przekonaniu, iż ich gorąca miłość ojczyzny może być ujawnioną jedynie przez zdradę względem wroga. Nie, u Mickiewicza spotykamy całe serye zdrajców wszelkiego rodzaju – od czysto osobistych do wysoce patryotycznych. (...) Wielką epopeję tak zwanej zdrady patryotycznej stworzył Mickiewicz dopiero w Konradzie Wallenrodzie. Nawet polska krytyka dostrzegła wkrótce po wydaniu tego poematu (w r. 1828) moralną nicość i zgniliznę w tym wszystkim, co nazwano tutaj bohaterstwem; i otoczono poetyczną i aureolą sławy. Tak pisał Kajetan Koźmian w r. 1828: Żadnemu jeszcze pocie nie przyszedł do głowy tego rodzaju temat; wbrew prawdzie historycznej wyobrażono Wallenroda podłym zdrajcą a nadto uczyniono zeń Litwina, ażeby dać pojęcie, jak szlachetnie kochają Litwini swą ojczyznę. (...) Jeszcze po latach dziesięciu pisał Juliusz Słowacki, który w początkach swej kariery poetyckiej stał również pod sztandarem Mickiewicza, w poemacie swym »Beniowski«: »Dziś lepiej dla zdrajców, gdy ich nie topią pod lodem; łatwiej mogą oni uniknąć latarni. Krukowiecki (komendant m. Warszawy pod koniec rewolucji 1831 r., który miał oddać miasto Rosyjanom) jest Wallenrodem Warszawy, Gurowski zaś (hrabia, który w kołach emigracji polskiej słynął za krańcowego demokratę, i odegrał nędzną rolę), to Wallenrod demokratyczny. Obaj oni poczernieli, lecz obaj mieli wzniosłe pobudki. Obaj pragną Polski, ażeby uniknąć kary: albowiem cenna ta para wie dobrze, że łatwiej oszukać Polaków aniżeli Rosyję. Wallenrodyzm zdziałał wiele dobrego, bardzo wiele! Wprowadził on do zdrady metodę, z jednego zdrajcy uczynił ich setki tysięcy«. (...) Że ciągłe te opisy zdrady nie były wyłącznym owocem duszy poety, lecz wsiąkały w nią po większej części z otaczającej atmosfery, dowodem tego jest poemat »Popas w Upicie«, w którym opisuje poeta, jak on w mieście Upicie słucha opowiadania zubożałego szlachcica o zdrajcy Sicińskim, który niegdyś przepadł na wyborach do sejmu, zaprosił wyborców na gościnę, i tak ich uraczył zatrutym winem, iż oni, dostawszy wścieklizny, pomordowali się nawzajem, po czym sam zdrajca ugodzony został piorunem. (...) Zgnilizna moralna, ziejąca z całego otoczenia, wcisnęła się do głębi duszy poety, chociaż zgnilizna ta ulegała

pewnym zmianom pod wpływem innych uczuć i poglądów, lub też zupełnie ukrywała się w cieniu, co dowodzi nie tylko szczególnej jego namietności do odtwarzania zdradzieckich bohaterów (...). W ten sposób przegladaliśmy prawie całą poezję Mickiewicza, i – spodziewamy się – udowodniliśmy dostatecznie, że zdrada, w jej najróżnorodniejszych formach posłużyła za główny temat do wszystkich prawie jego utworów (...) Najbardziej charakterystycznym – nie opisywał jej jako podłą wadę, jako negację etycznego uczucia, lecz bardzo często jako coś bohaterskiego, czasami nawet jako coś idealnego, gdyż wpojonego przez najwznioślejszy patryotyzm. Smutne prawdziwie musiały być czasy, w których genialny poeta straconym został na tak błędne drogi, i smutno musi być z takim narodem, który tego rodzaju poetę uważa bez wszelkich zastrzeżeń za największego swego bohatera narodowego i proroka, i karmi swe młode pokolenia pełnymi jadu utworami jego ducha”⁹.

Nic dziwnego, że „galicyjska prasa polska wylała na autora artykułu cały potok wyrazów obelżywych, których by się powstydzili najostatniejszy ulicznik warszawski, w miejscowych zaś dziennikach polskich spotykaliśmy jedynie ogólnikowe frazesy, w których dano wyraz nienawiści osobistej”¹⁰. Lwowska społeczność akademicka odpowiedziała listem otwartym:

„(...) Dr Franko pracuje na to – z wiarą w skuteczność takiej pracy – aby demokracji rusińskiej ułatwić zgodne kroczenie z demokracją polską tam, gdzie schodzą się ich cele. Nie rozminiemy się z prawdą, jeśli powiemy, że wszystkie obozy postępowe polskie cieszyły się nadzieją, iż harmonia demokracji polskiej i rusińskiej przyczyni się w pierwszym rządzie do wyrównania różnic między obu narodowościami, że ułatwi wspólne pożycie i wspólną pracę. Tymczasem z pod pióra tego przedstawiciela demokracji rusińskiej wychodzą słowa, których nie możemy czytać bez najwyższego oburzenia – ze strony gruntownego pisarza rusińskiego spotyka naszego najznakomitszego poetę traktowanie i powierzchowne i niegruntowne i fałszywe i taką zionące nienawiścią, że my młodzież nie możemy się powstrzymać od tego, aby oburzeniem naszym nie podzielić się z całym społeczeństwem polskim. (...) Za to, że do rzędu krzywd i obelg, jakich nam nie szczędzą wrogowie nasi, Dr Franko dodał jeszcze jedną, nie mniej od tamtych bolesną: za to, że niezgodnie z prawdą ośmielił się targnąć na nieskalaną pamięć poety; za to, że powążył się w oczach nieprzyjaciół narodu polskiego poniżyć tego, którego z pietyzmem czcimy – za to my w obliczu polskiego społeczeństwa i wszystkich ludzi uczciwych piętnujemy Dra Frankę mianem nikczemnego oszczercy i ciskamy mu w oczy słowa wieszczą, którego spotwarzył: »Precz od nóg mych – byś nóg moich nie spodił«”¹¹.

Pod listem podpisali się w imieniu zarządu Czytelni Akademickiej Antoni Lewandowski i Edmund Pasterz. W obronie autora *Poety zdrady* napisano:

„Oświadczamy, że cała dotychczasowa działalność Dra Franki nie uprawnia nas do mniemania, że jest »podłym, nikczemnym oszczercą« – owszem, cenimy w nim to, że zawsze swoje myśli z wielką odwagą cywilną publicznie wypowiada. Ale to nie chęć kruszenia kopii w obronie Dra Franki powoduje nas do ogłoszenia tego. Chodzi nam o zasadę. Dr Franko jest jednym z naj-

gorliwszych rzeczników postępu w naszym kraju. Wiele zacofanych czasopism rzucało się na niego za to od dawna, biorąc powód z czegokolwiek, a przede wszystkim wmawiając wąż nienawiść ku Polakom. Otóż obecnie po artykule w »Die Zeit« prasa ta rzuciła się nań ze zdwojoną energią, a w naszym przekonaniu patos patryotyczny w jej ustach był po prostu maską, kryjącą tę zawiść, jaką puszczyki reakcyi czują dla pionierów postępu. (...) Nam wystarczy przeświadczenie, że słuszność po naszej stronie, a dla tych zelantów, co nam brak patryotyizmu zarzuca, mamy słowa Dra Franki: »Nie lubię zbyt gorliwych patryotów, tych, którzy mają usta pełne Polski, a których serce zimne jest dla niedoli chłopu lub najemnika polskiego«¹².

Pod tym listem podpisali się (w porządku alfabetycznym): Borowiec Józef, David Oswald, Farber Dawid, Feldmana Bernard, Fijałkiewicz Czesław, Haas Adolf, Kachnikiewicz Stanisław, Kahane Kazimierz, Kielbiński Edmund, Knopf Jakub, Ludvig Adam, Orzechowski Kazimierz, Osostowicz Józef, Piotrowski Józef, Pręgowski Piotr, Past Osias, Rymański Zygmunt, Sokal Jakub, Senk Jan, Wilczyński Marian, Wyrostek Michał, Zabokrzycki Aleksander. Głosy broniące były jednakże w zdecydowanej mniejszości wobec ogólnego tonu nagonki na Rusina, który ośmielił się rzucić oszczerstwa na polskiego Wieszcza. Trzeba przyznać, że najwięcej umiaru zachowali konserwatyści, w duchu pewnie ciesząc się z „upadku” politycznego oponenta namiestnika Badeniego.

IV

Gdyby esej o Mickiewiczu powstał w innym czasie i w innym tonie był napisany, byłby ważnym głosem krytyki literackiej. Dotykał bowiem rzeczy istotnej: usprawiedliwiania niemoralności w imię walki o wyższe wartości. „Zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem i choćby mimo Boga” – słowa z III części *Dziadów* mogłyby stanowić nie tylko hasło polskich patriotów, ale i rosyjskich nihilistów Nieczajewa spisujących *Katechizm rewolucjonisty*. „Mimo Boga” oznaczało odrzucenie tradycyjnej etyki, usprawiedliwienie nie tylko wallenrodyzmu, ale i wszelkich zbrodni dokonanych dla dobra Narodu. Gdyby więc głos Iwana Franki uwypuklał uniwersalizm krytyki „poezji zdrady”, byłby cennym ostrzeżeniem przed przekleństwem historii XX wieku.

Nie był – stał się tylko krzykiem bólu Apostaty. Był też ostatnim politycznym manifestem Iwana Franki, który, zniechęcony zaplątaniem ideologicznym, wycofał się w 1904 r. z aktywności politycznej. Pogłębienie nacjonalizmu dostrzega Leon Wasilewski:

„Równolegle ze wzrostem wpływów narodowej demokracji ruskiej pogłębia się i jej nacjonalizm, do pewnego stopnia wzorujący się na nacjonalizmie polskich narodowych demokratów, wysuwających politykę ukraiñożerczą na plan pierwszy. Walka narodowościowa polsko-ruska przybiera coraz bardziej ostre formy, ogarnia coraz szersze koła inteligencji ruskiej, zabarwia nacjonalizmem wszystkie czynne żywioły społeczeństwa ruskiego i doprowadza w końcu do takich faktów, jak krwawe bójki na uniwersytecie lwowskim, mord namiestnika hr. Andrzeja Potockiego, dokonany przez studenta Syczyńskiego, uznającego się za socjalnego demokrate, lub tragiczna śmierć studenta Kocki podczas zajęć lipcowych r. 1910-go na tymże uniwersytecie lwowskim”¹³.

Elity definiują i kształtują wspólnotę narodową. Ukraińska endecja, na wzór polskiej, podążała za *Mysłami nowoczesnego Polaka* Dmowskiego; tworzyła ukraińskość w Galicji

na zasadzie świadomego skonfrontowania z polskością. Ale ta droga nie prowadziła do realizacji szerszych aspiracji, dotyczyła tylko Galicji, nie odpowiadała na pytania, jak zespolic wspólnotę na obszarze „marzeń”, sięgających od Sanu do Kubania (wg idei wyrażanej także przez Iwana Frankę).

Wspólnotę kształtuje poczucie wspólnego języka, wiary, kultury, historii. Kultura była w stadium etnograficznego załączka, historię budowano na kozackich mitach, język różnicowały regionalne narzecza. Wiara... Tworzenie tożsamości ukraińskiej w Galicji toczyło się równoległe z dramatem Chełmszczyzny. Tam potulny, rusiński lud, z niesamowitym determinizmem walczył w obronie swojej grekokatolickiej wiary. Setki męczenników, szereg przykładów nadzwyczajnego heroizmu; był to wyjątkowy w skali Europy przykład cywilnego oporu przeciw wynarodowieniu, bo tak należy nazwać obronę wiary, języka i zwyczajów. Nad Bugiem mógł się, w męczeństwie, konstituować naród ukraiński; Rusin z Chełmszczyzny nie różnił się od Rusina galicyjskiego; Rusin z Chełmszczyzny mógł oczekiwać solidarności od pobratymców z Galicji. Doczekał się inwazji galicyjskich popów, którzy gorliwie realizowali czarnoseciński program rusyfikacji Chełmszczyzny:

„Wypowiedziawszy walkę nieubłaganą Unii, rząd rosyjski walczył z polskością. Tę ostatnią chciał zniszczyć, zadając ciosy wszystkiemu, co było odrębne od rosyjskości na Podlasiu i w Chełmszczyźnie. Tu rozgorzała nieprzejednana walka między Rosyą a Polską, choć tę ostatnią reprezentował w znacznej mierze chłop-Rusin, gdy z pomocą pierwszej szły czarne zastępy »Haliczan« – Rusinów. (...) W tem 30-leciu męczeństwa Podlasia i Chełmszczyzny polskość ogarnęła całe gminy, uprzednio ruskie. Rusin »oporny« w ogniu prześladowań stał się Polakiem – niekiedy daleko twardszym od rdzennie polskiego chłopca. Nie dość na tem. Ciążący całą duszą do polskości Rusin wyrzekał się raz na zawsze Unii, widząc, jak ją łatwo Moskal przeobraża na prawosławie i lgnął do »czysto polskiej wiary« – katolicyzmu. Ukaz tolerancyjny 1905 roku zdobył rzymskiemu katolicyzmowi bez mała 200.000 wyznawców, a żadne usiłowania sztucznego wskrzeszenia Unii, podejmowane przez wysłanników Rusinów galicyjskich, nie odniosły najmniejszego skutku (...) Bo działacze ukrajinofilscy nie tylko nic nie robili dla swych rodaków za Bugiem, ale czynnie współdziałali z rządem rosyjskim w kierunku tępienia ich odrębności. Jeden z najwybitniejszych kierowników ruchu ukrajinofilskiego P[antelejmon] Kulisz, stworzył nawet specyficzną teorię wepchnięcia klina między Ukrainę a Polskę w celu przegrodzenia ich od siebie wzajemnie zrusyfikowaną Rusią Chełmską. Działał on w tym kierunku jako kierownik spraw unickich przy Czerkasskim. Głównym werbownikiem niszczycieli Unii, sprowadzanych na Podlasie i do Chełmszczyzny z Rusi galicyjskiej, był nieobcy dążnościom ukrajinofilskim Lebedynczew. Obok sprowadzonych przez Rosyę z Galicyi biskupów – Rusinów Kuziemskich i Popielów, których zadaniem było sprawosławienie Unii, w tym duchu działało mnóstwo popów ruskich „haliczan”. Nie byli to sami moskalofile; również narodowcy (Ukraińcy, jakby ich dziś nazwano) poszli w służbę rządu rosyjskiego, budząc przeciwko sobie nienawiść ludności miejscowej”¹⁴.

Wiara bardziej niż mowa tworzyła tożsamość chłopów Chełmszczyzny; dla Rusinów znad Buga odebranie prawa do własnej, grekokatolickiej religii, było świętokradztwem.

Bolesnym stało się, że to świętokradztwo czyniła Moskwa rękoma Rusinów z Galicji. Represje wobec grekokatolickich Rusinów najpierw były formą odwetu za powstanie styczniowe, po 1875 r. zmieniły się w terror rusyfikacyjny, trwający do 1905 r.:

„Akt uroczysty, podpisany przez Popiela et cons., świadczący o powrocie biskupstwa Grecko-Unickiego Chełmskiego na łono Cerkwi prawosławnej, uwieńczył te »środki«. Wytworzyła się sytuacja taka: skoro biskupstwo jest prawosławne, to każdy unita, który prawosławnym być nie chce, wyłamuje się z pod posłuszeństwa władzy Cesarskiej, a przeto, jako »buntowszczyk« podlega karze. Wychodząc z takiego założenia, władze poczuły podstawę dla walki z »buntowszczykami« celem stłumienia »buntu«. Jeśli się dziecko unickie urodzi, a rodzice nie chcą go ochrzcić w cerkwi prawosławnej – rodzice ci są »buntowczycami«, trzeba przeto zastosować »środki«; jeśli kto umrze, »wezwanie do pochowania popa prawosławnego«, a jeśli nie chcecie, »jesteście buntowszczykami« – zastosować trzeba »środki«. Policja była niewystarczającą w tej walce z ludem bezbronnym; zażądano wojska, które rozmieszczono we wsiach unickich (...). Kary pieniężne nie skutkowały – puszczono w ruch nahażki kozackie. A iluż unitów za odmowę przyjęcia prawosławia cierpiało w więzieniach! Więzienie Bialskie przepełnione było wówczas po brzegi unitami. »Środki« uwieńczone zostały przez masowe zesłania przywódców opozycji, przeważnie do gub. Chersońskiej i Orenburskiej. Męczarnie trwały. (...) Zdarzały się częstokroć rozprawy krwawe. W Pratulinie (pow. Konstantynowski), proboszcza miejscowego, Kurmanowicza, zaaresztowano wraz z wielu parafianami i odesłano do więzienia w Siedlcach. Naznaczono innego. Gdy następcę Kurmanowicza do Pratulina zjechał, parafianie zamknęli kościół i oświadczyli mu, iż go uznać za swego proboszcza nie chcą. Poszła skarga do gubernatora. Do Pratulina zjechał naczelnik powiatu wraz z policją i chciał siłą wprowadzić duchownego, Urbana, do plebanii; parafianie uzbrojeni w drągi, okrążyli świątynię i postanowili jej bronić. Polecono ustąpić, lecz lud się z miejsca nie ruszył. Komentant plutonu, uprzedziwszy zgromadzonych, rozkazał strzelać. Dano salwę: na placu pozostało 9 trupów, czworo zaś ludzi zmarło tejże nocy na skutek ran. To samo miało miejsce w Drylowie 5 stycznia 1874 r. Zabito tam pięciu ludzi”¹⁵.

Pytania zawarte w *Pocie zdrady* na Chełmszczyźnie nabierały innego wymiaru. Czy drogą Wallenroda szedł rusiński biskup z Galicji Marceli Popiel? Czy byli Wallenrodami przybywający z Galicji inni duchowni, za pieniądze moskiewskie rusyfikujący terrorem grekokatolików? We Lwowie, pod patronatem imienia Szewczenki, stworzył się w latach 90. XIX w. sojusz ukraińskich narodowców z moskalofilskimi „starorusinami”; sojusz uznający „wallenrodyzm” za moralnie usprawiedliwiony.

V

Wizja wielkiego narodu ukraińskiego, narodu żyjącego między Sanem a Kubaniem, nie mogła realizować się w ciasnych dogmatach etno-narodowych, w symetrycznej walce z nacjonalizmami polskim i rosyjskim. W takim starciu efekt mógł być taki jak na Chełmszczyźnie, gdzie rodzimi Rusini zmuszeni byli dokonać dramatycznego wyboru między polsnością a rosyjskością. Realizacja idei Iwana Franki wymagała, by:

„Polacy, zwłaszcza demokraci i patryjoci polscy powinni się zdobyć na coś więcej. Przyświecać im powinna gwiazda przewodnia: stworzyć z tej Galicji na gruncie swobody i postępu punkt atrakcyjny dla reszty Rusi – Ukrainy, wytworzyć lub dopomóc do wytworzenia tutaj takiego żywego ognia, którego promienie niosłyby światło i ciepło ożywcze aż hen, za Dniepr, nad Don, nad Kubań, gdzie żyją miliony Ukraińców, do dziś nie chcące uwierzyć w to, że gdzieś tam za rzekami, za górami są ruskie szkoły, ruskie katedry na uniwersytetach, ruskie organizacje narodowe i naukowe”¹⁶.

Było więc to oczekiwania postawy nie tyle polskiej w duchu narodowym, co polskiej w duchu wierności wobec tradycji Rzeczypospolitej, chroniącej wolności każdego, bez względu na jego wiarę, język, zwyczaje, obyczaje, narodowość. Wzajemnie – Polacy, wierni owej tradycji, mieli prawo oczekiwać, by ruch rusiński stał po stronie zachodniej cywilizacji w kształtowaniu wschodnioeuropejskiej przestrzeni.

„Charakterystyczne, że w obozie ruskim w Galicji miało się i ma do czynienia nie z samym tylko kierunkiem politycznym moskalofilskim, który można potępiać, piętnować jako zdradę narodową, zbrodnię polityczną, głupotę itd., lecz obok tego i z poczuciem organicznej przynależności do narodu rosyjskiego. Moskalofilstwo, jako kierunek polityczny, istnieje w rozmaitych społeczeństwach, ale żaden Francuz, Niemiec, Czech, Słowak lub Polak moskalofil nie przestają być członkami własnej narodowości. Tymczasem moskalofilstwo Rusinów oznacza faktyczne wyrzeczenie się własnej narodowości i przybranie rosyjskie”¹⁷.

– słowa Leona Wasilewskiego, polskiego ukrainofila, wyraźnie określały moralne granice politycznego aliansu Rusinów.

Takie były swary i spory polsko-ukraińskie we Lwowie w przeddzień stulecia narodzin Mickiewicza, Wieszcza Narodów Rzeczypospolitej. Historia już toczyła się inaczej, wspólnotę ludów zastępowały egoizmy państw narodowych, romantyczny bunt przeciw Bogu zmieniał się w amoralny cynizm polityków. Polska kultura w spadku po Rzeczypospolitej mogła zachować Litwina Mickiewicza, lecz było jej dane zubożyć się o Rusina Iwana Frankę.

1 J. Szujski, *Polacy i Rusini w Galicji*, Kraków 1896, s. 17; w cytatach zachowano pisownię oryginalną.

2 Tamże, s. 18.

3 Tamże, s. 20.

4 L. Dymśa, *Sprawa Chetmska*, Warszawa 1911, s. 25 i s. 34.

5 I. Franko, *Nieco o stosunkach polsko-ruskich. Odpowiedź pt. Romanowiczowi*, Lwów 1895.

6 L. Wasilewski, *Ukraina i sprawa ukraińska*, Kraków 1913, s. 149.

7 Tamże, s. 142-148.

8 I. Franko, *Nieco...*, s. 8.

9 I. Franko, *Poeta zdrady*, przeł. Patriota Polski, Warszawa 1897.

10 *Od wydawcy*, tamże.

11 *Głosy akademickiej młodzieży polskiej w sprawie dr. Iwana Franko*, Lwów 1897.

12 Tamże.

13 L. Wasilewski, *Ukraina...*, s. 154.

14 L. Wasilewski, *Na wschodnich kresach Królestwa Polskiego*, Piotrków 1916, s. 8-13.

15 L. Dymśa, dz. cyt., s. 58-59.

16 I. Franko, *Nieco...*, s. 16.

17 L. Wasilewski, *O wschodnią granicę Państwa Polskiego*, Warszawa 1917, s. 16.

SUBIEKTYWNA KRONIKA WYPADKÓW KULTURALNYCH

KONIEC ROKU W RYTMIE FLAMENCO

Po raz ostatni w 2018 roku nasze Towarzystwo spotkało się 28 grudnia i spotkanie to miało wyjątkowy charakter, nadany mu przez Leszka Engelkinga, literaturoznawcę, krytyka literackiego i poetę, który przyjechał z Łodzi, by osobiście promować przetłumaczone przez siebie książki. Pierwsza z nich to *Eseje* Williama Butlera Yeatsa, druga zaś to wybór wierszy Federica Garcii Lorki zatytułowany *Gips i jaśmin*, obydwie wydane przez Łódzką Oficynę w 2017 roku. Spotkanie w Domu Poezji – Muzeum Haliny Poświatowskiej otworzył dyrektor Muzeum Częstochowskiego Tadeusz Piersiak, a rozmowę z tłumaczem prowadzili Bogdan Knop, prezes Towarzystwa Galeria Literacka oraz Łukasz Urbaniak, wydawca książek. Wybór esejów Yeatsa w formie książkowej ukazał się w Polsce po raz pierwszy i wypełnił lukę w prezentacji twórczości tego autora – wcześniej opublikowano opowiadania i dramaty oraz obszerną monografię twórcy, a Leszek Engelking tłumaczył jego wiersze. Książka druga to wybór wierszy znakomitego i uznanego na świecie hiszpańskiego poety, pochodzący z różnych okresów jego życia – od debiutanckiego tomu *Księga wierszy*, wydanego w 1918 roku, po utwory wydane pośmiertnie, zamieszczone w tomach *Poeta w Nowym Jorku* i *Dywan Tamariki*. Tłumacz wyznał, iż najważniejsza dla niego jest twórczość Lorki najpóźniejsza, którą postrzega jako najbardziej dojrzałą. Zadanie przekładu tekstów hiszpańskich, opartych głównie na asonansach, nie było łatwe. Licznie zgromadzeni goście wysłuchali wierszy Lorki w interpretacji Leszka Engelkinga, ale niewątpliwie największą atrakcją tego wieczoru był pokaz flamenco,

zaprezentowany przez tancerkę Małgorzatę Wilczyńską, która dla tańca zrezygnowała z praktyki lekarskiej. Logistyką przedsięwzięcia zajęła się pani Maja Chadryś-Engelking, częstochowianka, prywatnie żona bohatera spotkania.

Barbara Strzelbicka

OPERA NIELINEARNA

Spotkanie z Mirosławem Rogalą nie było Wieczorem z Galerią – a szkoda, bo stracili na tym zarówno członkowie i sympatycy naszego Towarzystwa, jak i sam Artysta. Jego sylwetkę i twórczość prezentowaliśmy w „Galerii” 47, nie spodziewając się rychłego spotkania, a to z powodu odległości między Częstochową i Nowym Jorkiem. Mirosław Rogala odbył swoiste *tournee* po polskich miastach, z którymi był związany przed emigracją, to zaś, że na jego trasie znalazła się Częstochowa, jest niewątpliwą zasługą Mariana Panka – artyści razem studiowali w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, z którego to okresu mają wiele wspomnień, nie tylko artystycznych. 11 stycznia 2019 r. o swojej twórczości opowiadał Mirosław Rogala w Sali Reprezentacyjnej Ratusza, wcześniej zaś był gościem Instytutu Sztuki Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego. Twórca, kierowany pytaniami Mariana Panka, opowiadał o swojej drodze artystycznej oraz o najnowszych pomysłach, takich jak na przykład opera – ale nie w klasycznym rozumieniu. Wyraził też przekonanie, że współczesna sztuka zrywa z linearnością. Wystąpienie było ilustrowane prezentacją slajdów z pracami Artysty, który także dość często odwoływał się do materiałów opublikowanych w „Galerii”, czym czuliśmy się docenieni.

Barbara Strzelbicka

KSIAŻKA O CZĘSTOCHOWIE

W skupionej, kameralnej atmosferze wieczoru 18 stycznia 2019 roku w częstochowskim Ratuszu odbyła się prezentacja długo oczekiwanej pozycji książkowej: *Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie. Księga jubileuszowa z okazji 60-lecia działalności Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie*, red. Agnieszka Czajkowska, Joanna Warońska, Elżbieta Wróbel, Częstochowa 2018. Ze względu na trwającą żałobę narodową po tragicznej śmierci prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza spotkanie rozpoczęło się minutą ciszy. Otwierający je dyrektor Muzeum Częstochowskiego Tadeusz Piersiak zaznaczył, iż jest to wyjątkowa i niezwykle cenna publikacja. W spotkaniu uczestniczyła rektor Uniwersytetu Humanistyczno-Przyrodniczego im. Jana Długosza prof. Anna Wypych-Gawrońska, autorka tekstu o dramaturgicznych *częstochowianach*, która podkreśliła, iż zajmowanie się regionem jest obowiązkiem uczelni. Obecne było liczne grono pracowników uczelni oraz osób z nią związanych, w tym autorzy artykułów zawartych w promowanej książce oraz przedstawiciele środowiska kulturalnego miasta. Treść publikacji zaprezentowała Elżbieta Wróbel, jej współredaktorka oraz przewodnicząca zarządu Oddziału Towarzystwa Mickiewiczowskiego. Książka jest pokłosiem obchodów jubileuszu, przypadającego na 2016 rok, zawiera historię Towarzystwa (Elżbieta Wróbel), artykuły na temat wybitnych nauczycieli polonistów: Józefa Mikołajtisa (Barbara Kubicka-Czekaj) i Józefa Wójcickiego (Ewelina Dzięwońska-Chudy) oraz wiele tekstów, ujętych w czterech rozdziałach, na temat życia kulturalnego miasta – ze szczególnym uwzględnieniem życia literackiego. Znalazły się w niej między innymi opracowania o poecie Tadeuszu Chabrowskim autorstwa prof. Elżbiety Hurnik, Konrada Ludwickiego o prozie

Tadeusza Gieryskiego, Arkadiusza Frani o Waldemarze M. Gaińskim, Iwony Skrzypczyk-Gałkowskiej o przyjaźniach Ludmiły Marjańskiej, a także artykuł Agnieszki Pobratyn o działalności OPK „Gaude Mater” i Muzeum Częstochowskiego. Warto przypomnieć o cyklu spotkań, zorganizowanych przez Towarzystwo, dotyczących wybitnych częstochowskich polonistów, które relacjonowaliśmy. Część tekstów została poświęcona częstochowskim wątkom w literaturze współczesnej, na przykład w *Księgach Jakubowych* Olgi Tokarczuk (Agnieszka Czajkowska) czy w powieściach kryminalnych (Adam Regiewicz). Głos zabrał także Zbysław Janikowski, autor wspomnień zamieszczonych w książce, spokrewniony z Józefem Mikołajtisem, podkreślając wpływ, jaki wuj wywarł na jego zainteresowania literackie i na stosunek do rodzinnego miasta.

Tomasz „Aztenty” Barański

URBEX W CZĘSTOCHOWIE

Altea Leszczyńska na spotkaniu w ROK-u 4 lutego 2019 r. zaprezentowała swoje fotografie oraz cztery filmy, zrealizowane podczas eksploracji opuszczonych miejskich obiektów. Ten rodzaj turystyki ma swoją nazwę: *urban exploration*, skracać do urbex lub UE, a uprawiają go często fotografowie. Turystyka podporządkowana jest pewnym zasadom, zgodnie z którymi na przykład penetrowane miejsce należy zostawić w stanie nienaruszonym. Popularne miejsca to fabryki, magazyny, elewatory zbożowe, szpitale psychiatryczne, sanatoria, biura, domy mieszkalne itp. Jeden z filmów, pokazanych przez Alteę Leszczyńską, został zrealizowany na terenie opuszczonego szpitala psychiatrycznego pod Częstochową – prawdopodobnie jest to budynek starego szpitala w Oleśnie, który zyskał sławę w całej Polsce, stając się ulubionym miejscem miłośników grozy, duchów i horrorów. Drugi – to opuszczo-

ny budynek agencji towarzyskiej, znajdujący się w obrębie Częstochowy. Fotografie, od pokazu których rozpoczęło się spotkanie, były zrobione w tych samych miejscach co filmy, o czym świadczył tytuł ekspozycji – „Urbex”. Prezentowane filmy spotkały się z dużym zainteresowaniem gości spotkania. Autorka przyznała, że ich powstawaniu towarzyszył spory dreszcz emocji, nie zawsze przyjemnych.

Barbara Strzelbicka

KONCERT KRZEPIĄCY SERCA

Właścicieli „zmęczonych serc”, którym zadedykował swój koncert Maciej Rudlicki, przyszło do Ratusza 6 lutego 2019 r. tyłu, że zabrakło krzeseł zniesionych ze wszystkich pomieszczeń i niektórzy goście zmuszeni byli słuchać na stojąco. Sam dyrektor Tadeusz Piersiak, otwierający spotkanie, przyznał, że takiej frekwencji nie obserwował już od dawna. Najwyraźniej Bard Częstochowy posiada liczne grono słuchaczy, wielbicieli i przyjaciół, w dodatku wiernych i zdyscyplinowanych, o czym świadczyły takie zjawiska jak: domaganie się wykonania konkretnych piosenek, znajomość tytułów i tekstów, a nade wszystko wspólne śpiewanie. Słów mówionych padło niewiele, w tym z ust samego Bohatera oraz Elżbiety Jolanty Goli, która wystąpiła w roli konferansjerki, przypominając zarys kariery Barda – jesteśmy dumni, że zostały podkreślone związki z Towarzystwem Galeria Literacka. Główną treścią spotkania były ballady w wykonaniu Macieja Rudlickiego przy akompaniamencie nieodłącznej gitary. Jeden był tylko wyjątek, gdy śpiewaniu towarzyszyła orkiestra, wcześniej nagrana w studio. Hitem koncertu była pieśń, zaczynająca się od słów „Noter de Berghem, de Berghem de sura”, której historii zostało poświęcone opowiadanie Macieja Rudlickiego, zamieszczone w „Galerii” 48 *My z górskiego Berghem*. Dramatyzmu sytuacji dodaje fakt,



Maciej Rudlicki, foto: B. Strzelbicka

że na widowni był obecny jeden z bohaterów opowiadania – tak oto splątały się literatura, pieśń i życie. Ballady Macieja Rudlickiego można było zabrać ze sobą, zaopatrzwszy się w płyty, w tym także tę najnowszą, zatytułowaną „Zmęczonym sercem”. Jesteśmy przekonani, że Autor nie dedykował jej sobie, ponieważ wykazał się takim głosem i taką kondycją, że daj Boże wszystkim zmęczonym!

Barbara Strzelbicka

ZBISŁAW JANIKOWSKI ROZMAWIAŁ Z... GALERIĄ

Tytuł niniejszy nie jest bynajmniej aluzją do znanego powiedzenia o cudzie, który się stał pewnego razu, ale przytoczeniem tytułu cyklu spotkań, odbywających się w Ratuszu. Tego dnia – 7 lutego – goś-

ćmi byliśmy my – przedstawiciele Galerii i „Galerii”, czyli Bogdan Knop, prezes Towarzystwa i redaktor naczelny magazynu oraz Barbara Strzelbicka, sekretarz redakcji i członek Towarzystwa. Zbislaw Janikowski także wystąpił w roli co najmniej podwójnej, bowiem był nie tylko prowadzącym spotkanie, ale także autorem piszącym do „Galerii”. Sami swoi – chciałoby się dodać. Niestety, mieliśmy w tym dniu poważną konkurencję, albowiem w tym samym czasie odbywał się wernisaż wystawy „Michalik. Ojciec i syn” w Miejskiej Galerii Sztuki, a nieco później przedstawienie „Czyż nie dobija się koni” w miejskim Teatrze, jednak dopisało nam spore grono zarówno autorów, jak i naszych przyjaciół, za co jesteśmy ogromnie wdzięczni! Zaproszeni przez Zbislawa mogliśmy opowiedzieć o historii Galerii, o nazwie Towarzystwo Galeria Literacka, którą wymyśliła Małgorzata Franc, pokazać ważne, w tym także archiwalne numery „Galerii”, wspominać ludzi z nią związanych, podzielić się naszymi radościami i troskami, przedstawić zarysy planów na przyszłość, pochwalić się wydanymi przez Towarzystwo książkami. Mogliśmy także podziękować naszemu Autorom – literatom, fotografom, malarzom – za chęć współpracy, choć nie płacimy honorariów, naszemu Sponsorowi – Urzędowi Miasta Częstochowy, dzięki któremu możemy prowadzić działalność publicystyczną i wydawniczą. Było nam także bardzo miło usłyszeć słowa, świadczące o tym, że Państwo doceniają naszą działalność!

Barbara Strzelbicka

SŁOWA I DEFINICJE W „NIEDZIELI”

Swoje wiersze z tomu *Słowa i definicje* promował 19 lutego Tadeusz Wrona w miejscu dla tego typu zdarzeń nietypowym – w redakcji Tygodnika Katolickiego „Niedziela”. Licznie zgromadzoną publiczność

powitała redaktor naczelna Lidia Dudkiewicz, spotkanie prowadził Marian Florek, który także czytał wiersze oraz... śpiewał – wykonał dwie piosenki na rozpoczęcie i na zakończenie wieczoru autorskiego. Oprawę muzyczną zapewnił pianista Jacek Stawiarski – nie tylko akompaniując Marianowi Florkowi, ale także prezentując utwory z muzyki klasycznej. Wrażeniami z lektury wierszy Tadeusza Wrony podzieliła się dziennikarka „Niedzieli” Katarzyna Woynarowska, prywatnie córka Andrzeja Kalinina, który z kolei przeczytał jeden z wierszy, nieco zaskoczony, że właśnie ten został wybrany. Poza tym głos zabrał ks. inf. Ireneusz Skubiś, honorowy redaktor naczelny „Niedzieli”, inicjator spotkania w tym miejscu, swoją obecność zaznaczył poeta Krzysztof Seweryn Wroński, zadając pytanie o to, czy Tadeusz Wrona pisze wiersze, czy też wiersze piszą jego. Wrażeniami z lektury podzieliła się także fotoreporterka „Niedzieli” Bożena Sztajner.

Wiersze były czytane na kilka sposobów: aktorski – w wykonaniu Mariana Florka, aktorsko-dziennikarski, gdy do dialogu została włączona Katarzyna Woynarowska oraz autorski – na zakończenie usłyszeliśmy jeden z nowych tekstów oraz... – i tu niespodzianka – dwa wiersze dla dzieci, napisane dla wnuków i wydane w trzech egzemplarzach. Zauważamy, że Tadeusz Wrona ma niewątpliwie predyspozycje do tego rodzaju twórczości, albowiem wierszyki są wdzięczne, zgrabne i dowcipne.

Kolejka po autografy była bardzo długa, podpisywaniu książek towarzyszyły rozmowy, na spotkanie przyszło wielu znajomych i przyjaciół Autora. Było nam bardzo miło, że Tadeusz Wrona wspominał o „Galerii” i o publikacjach, które się w niej ukazały.

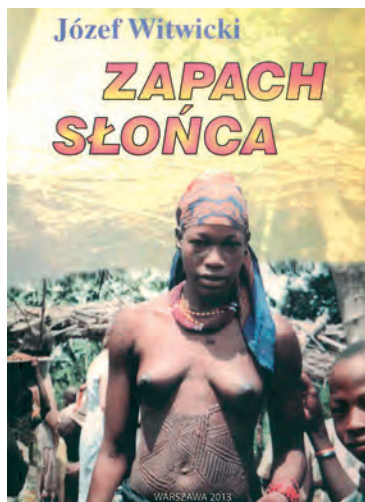
Barbara Strzelbicka

Tymoteusz Werner

CZENSTOCHOVIANA Z KSIĘGARSKIEJ PÓŁKI

Józef Witwicki, *Zapach słońca*, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2013, s.255+28 il., 21 cm, opr. oryg. brosz.

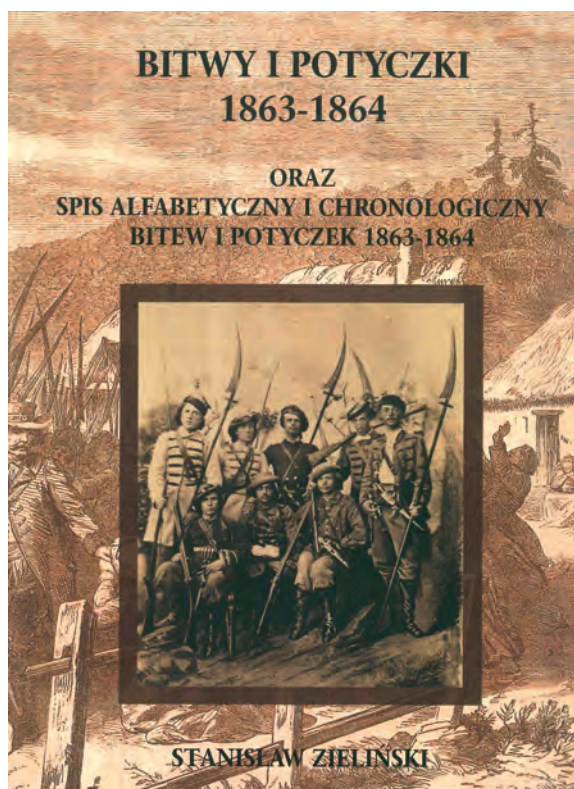
Józef Witwicki, *Zapach słońca. Marzenie*, Warszawska Firma Wydawnicza, Warszawa 2013, s. 385+52 il., 21cm, opr. oryg. brosz.



Autora tych dwu książek znam od końca lat 60. XX wieku. Napisał *Zapach słońca* i aby nie dzielić go na tomy, użył pewnego chwytu, dodając do pierwszego tytułu słowo „marzenia”. Tak samo uczynił Jalu Kurek w tytułach *Księga Tatr* i *Wtóra księga Tatr*. Autor omawianych książek oba tytuły zadedykował córce Asi. Napisał je, gdy pracował jako projektant i budowniczy mostów w Nigerii, którą opuszczał dla zwiedzania Brazylii, USA i Wysp Kanaryjskich, czyli, potocznie, spędzał czas na „kanarach”. Wątek częstochowski pojawia się w narracji jako wspomnienie: „Kiedy zwiedzaliśmy wyspę, czułem się chwilami tak jakoś swojsko, jak w Częstochowie w pobliżu huty. Znajomy zapach granulowanego przez naturę żużla, tutaj używanego do budowy dróg. Wszak to wyspy wulkaniczne. Na jednej z plaż Asia jak dzikuska biegła po kilkumetrowych wydmach. Ale

co tam. Piasek w Las Palmas zawierał dużo luźnej, czarnej miki, która brudziła ciało. Daleko mu było do piasku plaż naszego Bałtyku” (s. 179). Autor opisuje swoje różnorodne doświadczenia z pracy na kontynencie afrykańskim. W czasie, gdy będąc kierownikiem budowy robił szalunki do mostu, spotkał się z solidarnością Afrykanów, kiedy to miała miejsce interwencja zbrojna Reagana w Libii i obawiano się, czy w tej sytuacji Nigeria jest bezpieczna. Polak w odpowiedzi zachęcał, by pracowali dla swojego kraju, a nie martwili się krajem, z którym nawet nie graniczą. Autor spotkał się też ze złodziejami, którzy ukradli aparat fotograficzny, mordercami sąsiada Japończyka, kierowcami, operatorami maszyn na budowie, czyli rdzennymi mieszkańcami Nigerii. Na końcu każdego tomu są zdjęcia, razem jest ich 80 i – zgodnie z tytułem – są to zdjęcia ze słońcem. To opowieść o Afryce czarnej, słonecznej, ukazująca białego człowieka, częstochowianina, Polaka, żyjącego i pracującego w Afryce wśród czarnoskórych jej mieszkańców. Książki warto przeczytać także z tego powodu, że mogą pomóc w wyjaśnieniu przyczyn ucieczki do Europy mieszkańców Nigerii i innych krajów tego bogatego i ludnego kontynentu. Opowieści są ciekawie i ładnie napisane, zupełnie inaczej ukazują Czarny Ląd, niż te z początku XX wieku lub z czasów po II wojnie, choćby autorstwa pilota dywizjonu 303 Jana Zumbacha (książkę recenzowałem w „Galerii” nr 48).





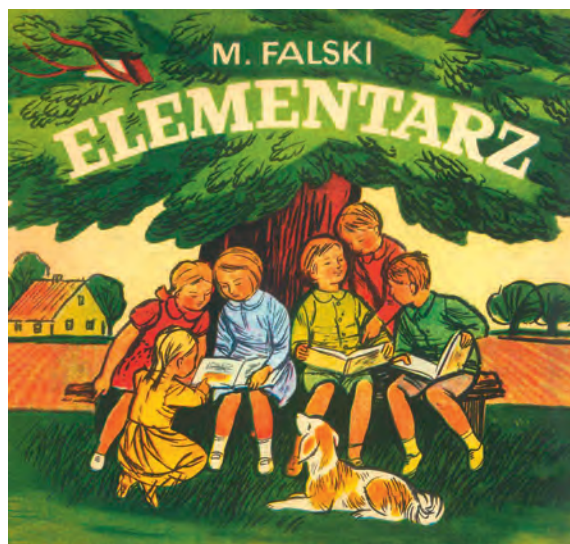
Stanisław Zieliński, *Bitwy i potyczki 1863-1864 oraz spis alfabetyczny i chronologiczny bitew i potyczek 1863-1864*, Wydawnictwo Graf-ika, Warszawa 2014, ss. 634, opr. brosz., reprint.

Książka jest reprintem dzieła bibliotekarza Muzeum Polskiego w Rapperswilu w latach 1910-1915. Dawno nie recenzowałem tak starannie wydanej książki – mam na myśli oryginał z 1913 r., kiedy nie było nie tylko komputerów, ale także maszyn do pisania z polską czcionką (pierwsza ich wytwórnia powstała w 1921 r.). Publikacja jest niedoścignutym wzorem do opracowania np. powstania wielkopolskiego czy powstania warszawskiego. Autor opisuje prawie wszystkie starcia powstania styczniowego z okresu: styczeń 1863-kwiecień 1865 w województwach: mazowieckim, podlaskim, lubelskim, sandomierskim, krakowskim, kaliskim, plockim, augustowskim, wileńskim, kowieńskim, witebskim, mohilewskim, mińskim, grodzieńskim, wołyń-

skim, ukraińskim – średnio na każde województwo przypada 30 stron. Odnotowane zostały następujące bitwy i potyczki z okolic Częstochowy, która należała wtedy do województwa kaliskiego: Dźbów 28.9.1863, Koniecpol 25.5.1863, Nieznanice 29.8.1863, Borowno 28.8.1863, Kruszyna 27.5.1863, Rudniki Wieluńskie 13.10.1863, Krzepice 21.3.1863, Panki 26.2.1863, Kocin 3.10.1863, słynne Więcki, czyli Wąsosz, 23.4.1863 (warto tu odnotować broszurę napisaną przez Gąsiorowskiego w 1937, której nie mógł uwzględnić autor). Dawne województwo krakowskie: Potok Złoty 9.7.1863, Mełchów 30.9.1863, Biała Lełowska 18.8.1863, Żarki 18.8.1863, Jaworznik 24.4.1863, a przede wszystkim Janów, kiedyś nazywany Janowem Częstochowskim, gdzie, jak głosi legenda, złapanych powstańców wrzucano do studni w rynku. Pojedynek nad rzeką Wiercicą, gdzie do dziś znajduje się kapliczka na tzw. Poniku, który jest opisywany w wielu publikacjach. Na 68 stronach książki umieszczono indeks osób, które brały udział w powstaniu. Autor obliczył, że wszystkich bitew i potyczek było 1229. Podaje także, iż miały one miejsce w Królestwie Kongresowym, na Litwie, na Rusi, była też bitwa niedaleko Rygi w miejscowości Klikole 25.7.1863, a w odległej Kostangali w dzisiejszej Rumunii nad Morzem Czarnym 15.7.1863. Pomimo tytułu bitew, potyczek i wielu zabitych, niestety, powstanie nie odniosło zwycięstwa. Pozostały wzory walk partyzanckich i przydały się w czasie I i II wojny światowej. Książka winna znaleźć się w każdej bibliotece szczególnie tych miejscowości, które są wymienione choćby w tej recenzji.

Marian Falski, *Elementarz*, ilustrował Jerzy Karolak, Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 2003 – reprint, s.168, 20x23 cm, opr. oryg. tw.

Kto z nas nie miał tej książki w rękach, ile radości i wspomnień zawiera to słowo – elementarz. Dlaczego? Bo nie była to książka z bajkami czy baśniami, ale podręcznik. Pierwszy podręcznik, który pokazywał litery i słowa: te pisane (wprowadzane w pierwszym półroczu pierwszej klasy) i drukowane. Zacznę od okładki, to jest ten obraz utrwalo-ny w pamięci wielu roczników dzieci, utrzymany w odcieniach zieleni, na pierwszym planie jest pies żółto-biały, As. Na drugim planie grupka dzieci – trzy dziewczynki (Ala, Tola i Lola) i trzech chłopców (Olek, Tomek i Lucek), siedzących na ławce pod grubym drzewem i oglądających książki. Na trzecim planie pola uprawne, w głębi dom i drzewa. Po otwarciu książki jest biała wyklejka, za nią strona tytułowa ze słowem „Elementarz”, niebieskie niezapominajki i kwiatek z żółtym motylem. Na drugiej stronie tzw. redakcyjnej spis stron z wierszami J. Tuwima, A. Fredry, M. Kotarbińskiego, informacja, że pismo kaligraficzne wykonał A. Kwiatkowski, poniżej dane o wydawnictwie. Strona trzecia to rysunek przedstawiający młodzież kupującą książki i skaczącego psa. Strona następna to moment wyjścia Ali do szkoły i mama dająca jej zapakowane drugie śniadanie, drugą ręką otwierająca drzwi. Jest to obraz atmosfery domu: stół z resztką pierwszego śniadania, z wazonem kwiatów i pies, chyba As, który podskakując żegna dziewczynkę. Na stronie jedenastej pierwsze litery i pierwsze słowo: As. I tak literka po literce, słowo po słowie: Ala, las, lala i lis. Regułą jest, że po lewej stronie jest obrazek, a po prawej liniatura jak w zeszytach, pokazująca, jak należy pisać małe i duże litery i jak litery łączyć w słowa. Od strony 98, czyli od półroczu, o ile dobrze pamiętam ze swojej szkoły nr 6 przy ul. Krakowskiej 29, spotykaliśmy się z literami drukowanymi. Są tu litery drukowane i pisane i ponownie słowa, ba... całe zdanie „To Ala i As”. Na stronie 107 obok siebie małe i duże litery pisane i drukowane; dla mnie pierwsza ściągła do czytania tekstów drukowanych. Dalej są wiersze i inne teksty: świetne *Abecadło* Tuwima, *Wszyscy dla wszystkich*, *Kotek*, *Bambo*, *Dzień w polu*, *Rozmowa ptaków*, *Warszawa*, na kartce ostatniej 17 herbów miast wojewódzkich i mapa Polski. Na okładce zamykającej książkę kilka liści dębu z żółędziami oraz gałązka jarzębiny z czerwonymi owocami. Według informacji uzyskanych od księgarzy *Elementarz* kupowany jest często dla dzieci przebywających za granicą. Setki egzemplarzy kupowanych teraz, a przez ponad 50 lat wydanych parę milionów. *Elementarz*, podręcznik obowiązkowy, stanowił kamień milowy w nauczaniu języka polskiego, wydany jako reprint, jest przesyłany polskim dzieciom przez ich bliskich mieszkających w kraju, zatroskanych o polską mowę.





Wojciech Postuła, *Polska biżuteria patriotyczna i pamiątki historyczne XIX i XX wieku (na podstawie zbioru autora)*, Wydawnictwo Grafika, Warszawa 2017, s. 251, 30,5 cm, opr. oryg. tw.

Jest to album autorski właściciela zbioru, który opisał i pokazał na ćwierć tysiącu stron swojej książki zgromadzone pamiątki patriotyczne. Znajomość sprzed wielu lat z panią Iwoną Knechtą, właścicielką wydawnictwa, zaowocowała zaproszeniem, które otrzymałem na wystawę, otwartą 4 grudnia 2018 r. na Jasnej Górze. Spotkałem tam o. Eustachego Rakoczego, panią Iwonę Knechtę, pana Wojciecha Postuła, którego wielokrotnie spotykałem na giełdach organizowanych na Rynku Krakowskim czy na Kole w Warszawie. Przecięcia wstęgi otwierającej wystawę plenerową dokonali arcybiskup Wacław Depo, minister Jan J. Kasprzyk i właściciel zbioru Wojciech Postuła. Było nas około 20 osób, w tym 10 z Częstochowy. Wystawie

towarzyszyła prezentacja 40 plasz, kopii ilustracji zamieszczonych w książce. I tam od ojca Rakoczego otrzymałem egzemplarz albumu, który pragnę opisać i zachęcić, aby jego egzemplarze znalazły się w rękach kolekcjonerów broni, militariów, kolekcjonerów wszystkiego o Piłsudskim, hobbystów zbierających pamiątki o powstaniu styczniowym, o Kościuszcze czy Poniatowskim, zwłaszcza falerystów, filokartystów, bo to wielka uczta dla oczu. Album świetnie oprawiony i z wielkim kunsztem kolekcjonera opracowany, zdjęcia i opisy pamiątek umieszczono na stronach ozdobionych bordiurą. Są trzy części albumu: I – *Biżuteria patriotyczna 1860-1918*, II – *Pamiątki historyczne XIX i XX wieku*, III – *Pamiątki rodzinne autora*. Ze wstępu do rozdziału III: „W momencie odzyskania niepodległości moi dziadkowie oddali na cele publiczne to, co mieli najcenniejszego, otrzymując w zamian wzruszającą pamiątkę w postaci obrączek żelaznych z napisem »Złoto Ojczyzny 1918 rok«”. Dotychczas było dobre opracowanie tego tematu W. Bigoszewskiej *Polska biżuteria patriotyczna*, z której pochodzi podział biżuterii jako ozdoby kobiet na świecką, religijną i patriotyczną, ciesząc się niesłabnącym zainteresowaniem. Inne świetne opracowanie to *Polska biżuteria* M. Knoblocha. Na zakończenie dodam, że warto wiedzieć, co to jest czarna biżuteria, bransoleta, żałobne krzyżyki, guz kontuszowy, alegorie, żałobny sekretnik. Oglądając strony albumu ma się wrażenie, jakoby te pierścienie, naszyjniki, brosze, korale, zostały wyjęte do zdjęcia z gabloty muzealnej, a nie z przepastnych zakamarków kolekcjonera. Szczególnie wzruszyłem się oglądając stronę przedstawiającą naszyjnik i dewizkę do zegarka wykonane z ozdobnie plecionego włosia. Końcówki dekorowane są skuwkami z symbolami wiary, nadziei i miłości, motywami stosowanymi przed i po powstaniu, a nawet dziś. Album warto mieć, oglądać, pokazywać i chwalić się nim.

Częstochowa, nasze miasto. Wydarzenia, wspomnienia, ludzie. Księga jubileuszowa z okazji 60-lecia działalności Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza Oddział w Częstochowie, red. A. Czajkowska, J. Warońska, E. Wróbel, Muzeum Częstochowskie, Częstochowa 2018.

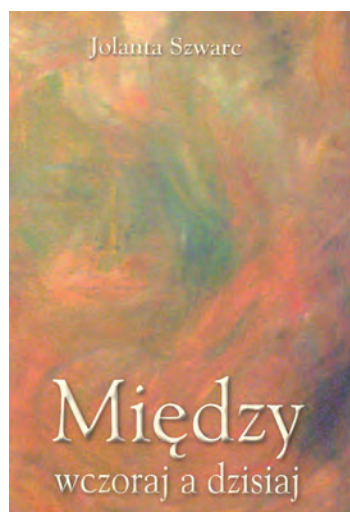
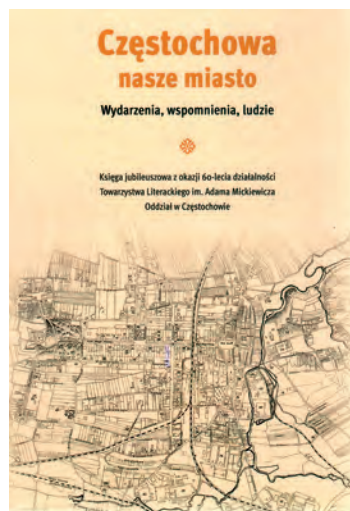
Prof. M. Kisiel: „Czytałem tę książkę z wielkim szacunkiem dla interpretacyjnej maestrii autorów, dla ich niezwykle żmudnej i bogatej pracy bibliograficznej, dla niezwykle pomysłowych przekrojowych i rzutów historycznych i historycznoliterackich. Czułość wspomnień sąsiaduje tu z analitycznym dystansem, pamięć o przeszłości z wiedzą o niej, a satysfakcja z zamieszkania z dumą, że jest to miejsce wyjątkowe”.

Jolanta Szwarz, *Między wczoraj a dzisiaj*, Kontekst, Poznań 2018.

Pierwszy zbiór opowiadań po wcześniej wydanych tomach poetyckich: *Na skrzyżowaniach myśli* (2002), *Myśli spod bezszamelu* (2006), *Przerwa w podróży* (2009) i *Tik-tak drobny mak* (2014). Teksty są inspirowane wspomnieniami z dzieciństwa, przeplatane aktualnymi wydarzeniami. Spojrzenie na przeszłość charakteryzuje wnikliwość obserwacji, dzięki czemu wydarzenia zostały ukazane bardzo sugestywnie. Autorka od sześciu lat prowadzi wraz z mężem Stolik Poetycki w PoemaCafe w Poznaniu.

Stanisław Szwarz, *Tańce do końca*, Kontekst, Poznań 2018.

Autor, doktor chemii, wydał wcześniej kilka książek, w tym dwie wspólnie z żoną Jolantą: *Na skrzyżowaniach myśli* (2002), *Przerwa w podróży* (2009) oraz samodzielnie *Jeszcze nie* (2006) i *Obrazki z Edenu* (2014). Nowy tomik poetycki ma na okładce wymowną grafikę Francisco Goi z cyklu *No te escaparás* (Nie uciekniesz). Krytycy podkreślają komunikatywność i prostotę wierszy przy ich głębokim przesłaniu.



Bogdan Knop

DWIE KSIĄŻKI Z POZNANIA



Gdzieś w listopadzie zeszłego roku God zaprzyjaźnionej pary pisarzy z Poznania dostałem pocztą dwie książki – tomik prozy Joli Szwarca i tomik poezji Staszka Szwarca. Niby ze Szwarcami znamy się wiele lat, kiedyś publikowali w Galerii, a ja napisałem coś do Protokołu Literackiego, ale, z natury rzeczy, znajomość na odległość nie mogła być zbyt intensywna. Z tym większą radością odkryłem w obu książkach wartości, które tak cenię – prywatność, spokojną zadumę ubrane w piękną polszczyznę i ton bardzo mi bliski.

Tom prozy Jolanty Szwarca *Między wczoraj a dzisiaj* to wysokiej próby literatura prywatna. Uformowane w zbiór następujących po sobie obrazków wspomnienia z czasów dzieciństwa. Rozpięte w kilku czy kilkunastu dniach czerwca lat pewnie sześćdziesiątych ubiegłego stulecia, z krótkim wypadem w czas jakieś dziesięć lat późniejszy i licznymi odwołaniami do teraźniejszości. Literacko wysmakowane, ze świetnie dobranymi do obrazków mottami. Zjadłem z najwyższą przyjemnością – przywołując, jak bohater Prousta, smak magdalenki. Bo ten świat – odległy geograficznie przecież – bo gdzie Wiel-

kopolskie miasteczko z opowieści Jolanty Szwarca, a gdzie moje Wyczerpy. A jednak poczułem smak magdalenki i przeszłości.

Zbiór wierszy Stanisława Szwarca *Tańce do końca* na pierwszy rzut oka znajduje się na antypodach twórczości Jolanty. Ten wysmakowany i przemyślany tom zaczyna się narodzinami, a kończy odezwą do Pamięci – tej wielkiej i tej małej (choć autor zachował jeszcze pytanie na *postscriptum*). To świat dzisiejszy aż do bólu. Do bólu takiego, co nie tyle boli, a łapie nas za gardło jak strach codzienny, a niespodziewanie uświadomiony. Bo to i wiersze nie tyle z piekła, co z otchłani codzienności. Naciągnięte między zwykłością powszednią a nieskończonością, która wiruje w nas w rytmie ostatecznego tańca.

Nie tylko przeczytałem, ale i wracam do obu książek.

Oba tomy starannie wydane przez wydawnictwo Kontekst, warte przeczytania, przemyślenia, przeżycia.

Jan Ciesielski

REMINISCENCJE PO CZYTANIU KROPEK MARIANA PANKA

Czytając *Kropki* byłem w kropce,
Czy po sukcesie Twego wytworu
Będzie do rozgryzienia poetycki orzeszek,
Czy dasz nam do poczytania
zbiór przeróżnych kresek?

Po Twych, Marianie, dokonaniach,
A kres ich nie jest blisko,
Twierdzą znawcy: nasz Panek
To raczej – Panisko!

Kto wśród koryfeuszy kultury
Ma najwięcej fanek?
No trudno, ktoś powie,
Niestety – Marian Panek.

I chociaż tu nie Wielkopolska
Środa ani Kórnik,
To bardzo Cię ceni
Też profesor Hurnik.

Stolicą wszelkich atrakcji
Bywa Zakopane,
Dostawcą wielu wzruszeń
Jest nasz Marian Panek.

Dziś mogą mieć u Ciebie
Jakby... przechłapanie –
Tak jak pantofelki –
Wszyscy pantoflarze.

Gdy zamykam oczy –
Rzecz jedna z fanek –
To nadal na wizji
Mój profesor Panek.

Panku Marianie, patrząc
na Twe poczynania
(w bardzo wielu dziedzinach)
Nie każdy jest w stanie
Ich natłoku wytrzymać!

Niestety, wokół Ciebie
(tu powiem lub palnę)
Wiele osób się grzeje...
Też! Miernoty nachalne!

Ja może zbyt w Twą pamięć
Nie mogę się wciąć...
Był kiedyś w TV program:
Kobuszewski, Kociniak...

Jeszcze w nim nie było
Tej redaktor Popek,
Nazywał się aluzynie,
Słowem: Wielokropke!

Tu urwę me wywody...
Jak cieć albo chłopek,
Jesteś dużą zagadką
W tym szukaniu kropek.

Nie wiem, czy to
dodaje Ci splendoru:
Masz specyficzne
poczucie humoru!

Czasem słowem ranisz –
Rzecz Twoja fanka –
Lecz trudno jej zganić
Jej idola, Panka.

Szukając Twoich kropek
Są bardzo przejęci,
Chcąc być jak zboża snopek –
Są zdrowo kopnięci.

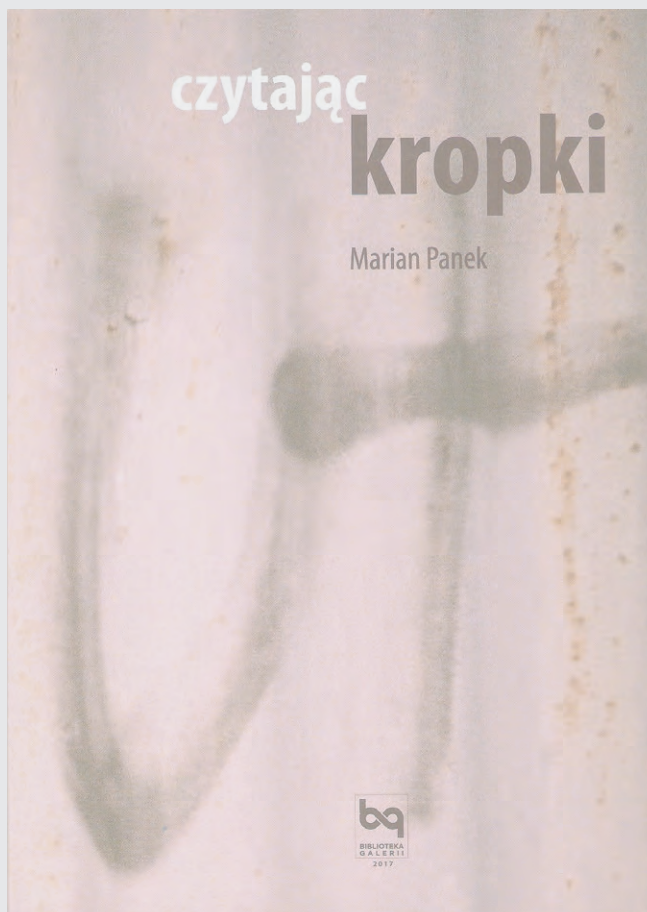
Może w ocenie Pe Mariana
Trochę się wygłupię:
Czasem sprawiasz wrażenie,
Że masz wszystko w...

PS1. Ażeby nie przypieściły
Się tu żadne UOP-ki,
Na koniec tej frazy
Umieściłem kropki.

PS2. Bądź wdzięczny recenzji
(bardzo katolicka)!
Autorką Ci przychylną
Jest Basia Strzelbicka.

Dodatek:
Niech będzie pochwalony...
Twój talent, Marianie,
Na wieki wieków – Panek

(Zapiski GalerJana sporządzone 22 listopada 2018 r.)





Jacenty Dędek, fotograf, zajmuje się portretem i dokumentem. Dla polskiej edycji magazynu „National Geographic” przygotował kilkanaście autorskich reportaży. Publikował w „Dużym Formacie”, „Tygodniku Powszechnym”, „Polityce”, „Newsweeku” i wielu innych tytułach. W ostatnich latach pracuje nad własnymi tematami. Najbar-

dziej interesują go rzeczy zwykłe, dziejące się na marginesie głównych wydarzeń, ale zawsze blisko człowieka. Dwukrotny stypendysta Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Student czeskiego Instytutu Twórczej Fotografii w Opawie.

www.jacentydedek.pl

Janusz Jano Mielczarek

UROKI PROWINCJI



Jacenty Dedek, portretprovincji.pl

W piątkowy wieczór 22 lutego w „Popówce”, czyli w Galerii Dobrej Sztuki Częstochowskiego Muzeum, było tłoczno i gwarnie. Wypełniła ją publiczność ciekawa zapowiadanych wcześniej fotografii Jacentego Dędeka z cyklu „Portret prowincji”. Autor, częstochowianin, przed laty fotoreporter w kilku częstochowskich redakcjach; wieloletni współpracownik polskiej edycji magazynu „National Geographic” oraz kilkunastu innych tytułów poczynając od „Polityki”, przez ponad sześć lat zafascynowany był twórczo polską prowincją, której uroki odkrywał wspólnie z żoną Kasią. Dopiero teraz zdecydował się pokazać fotografie z ostatniego cyklu. Było ich 40, większość wykonana kamerą wielkoformatową 10x12 cm, a kopie wystawowe drukowano z negatywów obrobionych w tradycyjnej technice.

Jacentego znam od ponad dwudziestu lat, często rozmawialiśmy o fotografiach i fotografowaniu, ale dopiero podczas wywiadu, jaki przeprowadziłem z nim w 2006 roku, a który był publikowany w Dwumiesięczniku Kulturalnym Częstochowy „Aleje 3” nr 49 w styczniu 2007 roku i przedrukowany w mojej książce *Być pomiędzy słowem a obrazem*, wydanej w 2018 roku, dowiedziałem się więcej o sekretach jego pracy. O tym, jak pieczołowicie i wszechstronnie przygotowuje się do reportażu, a także o filozofii, jaka mu przy tym towarzyszy.

Wygląda to często, jakby próbował przy tej okazji zdobywać nowe zawody; poznaje także i przystosowuje się do środowisk, które zamierza przedstawić. W czasie przygotowań do reportażu o miodzie m.in. wyposażył się w strój pszczelarza i zgłębiał tajniki zachowania się pszczół. Widzowi oglądającemu potem na kilku, czasem na kilkunastu fotografiach reportażu,

trudno sobie wyobrazić, jak wiele trudu i czasu wielokrotnie kryje jedna fotografia. Ale tym właśnie Jacenty zapracowuje na szacunek ludzi, których odwiedza, bo traktują go jak swego i nie kryją przed nim twarzy ani sekretów.

Przy okazji rozmów o fotografii, często wspominam o zachowaniu się Jacentego w czasie realizacji dla „National Geographic” w roku 2005 reportażu o kopalni soli w Wieliczce. Odwiedzał wielokrotnie to piękne miejsce i miał już wiele zdjęć, ale uważał, że nie może w nim zabraknąć fotografii z balu sylwestrowego, jaki się tam odbywa w jednej z komór o nazwie „Warszawa”. I w tym szczególnym dniu zostawił rodzinę, spakował sprzęt i pojechał zrobić to j e d n o zdjęcie!

Dla wiedzy ceniących twórczość Jacentego, a także fotografujących nowicjuszy, którym tak „łatwo i przyjemnie” robi się fotki wynoszące ich na szczyty samooceny, pozwolę sobie zacytować kilka zdań ze wspomnianego wcześniej wywiadu:

– Czy jesteś przekonany, że dzięki takiej pracy, więcej – filozofii, jaką przyjąłeś i w kręgu której funkcjonujesz, Twoje zdjęcia są lepsze, bardziej przemawiają do odbiorcy?

– Każdy ma swój odmienny sposób postępowania. Mnie odpowiada taki właśnie i sądzę, że jest także korzystny dla efektu końcowego mojej pracy. Co nie znaczy, że nie dopadają mnie chwile słabości i wątplenia. Bywa też, że czuję się jak kierowca tira, gdy gnam autem dla zrobienia jednej fotki, bo tak to sobie umyśliłem, choć wcale nie mam pewności, że zrobię tę fotografię, a jeżeli tak, to czy będę z niej zadowolony i czy w ogóle znajdzie się ona w reportażu. Ręce i nogi często się buntują, ale głowa jest w tej drużynie najważniejsza. Pamiętaj również, że realizuję swoje marzenia, a one – jak wszystko – mają też swoją drugą stronę.



Jacenty Dędek, portretprovincji.pl



Jacenty Dedeek, portretprovincji.pl

Wracając do aktualnej wystawy; prowincjonalna przygoda państwa Dędków zaczęła się w 2010 roku po otrzymaniu stypendium od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Wystarczyło ono ledwie na pół roku intensywnych wędrówek po Polsce i zbierania materiałów, ale poculi w podjętej przygodzie swoistą magię. Wstępowali na grunt nowy, dla nich nieznany, ale także niosący zadziwienia, przeradzające się w fascynację. Po pół roku przemierzania prowincjonalnych szlaków, ich przyszła książka – bo ona miała być ukoronowaniem projektu – jawiła im się teraz pełniejsza prowincjonalnych odcieni, bardziej treściwa, a temat – wciąż jeszcze oryginalny, nie „zaorany” przez wszechobecną tandetę współczesności.

Polska prowincja ich urzekła, wiedzieli, że nie mogą zawrócić, choć było pusto w kasie. Podjęli wówczas decyzje, do jakich zdolni są jedynie Fascynaci (przez wielkie F): wbrew logice i rozsądkowi postanowili kontynuować podjętą przygodę życia i czynili to przez kolejnych sześć lat, nie mając żadnej pomocy z zewnątrz.

Odwiedzili w tym czasie blisko 700 miejscowości. Nie wszędzie było ciekawie, a ludzie otwarci i przyjaźni, ale w 421. z nich (Jacenty prowadził dokładną statystykę) znaleźli to, czego oczekiwali.

Każdy wyjazd to było poznawanie nowych dróg, domów, krajobrazów i ludzi mających niepowtarzalne dla fotografa twarze oraz księgi życia zapisane historiami, których stawali się powiernikami.

Powroty do domu były w tej sytuacji nie tylko liczeniem zysków i strat, ale również wspomnianiem nowo poznanych ludzi, ich serdeczności i gościny. Przyszła książka rosła, gęstniała w treści, przybywało fotografii, które miały ją zdobić. A za bogactwem faktów i zdarzeń kryło się najważniejsze: utwierdzenie o ważności tego, co robią.

Tak jak samotnie podjęli decyzję o szukaniu dawnych klimatów na polskiej prowincji, również sami zdecydowali się stworzyć o niej książkę. Niestety, przygody, jakie spotkały ich

po drodze, były trudniejsze do pokonania od tych, które zdarzyły się w czasie wędrówek po Polsce.

Jest ona już gotowa w zapisie pdf, ma blisko 400 stron, w tym około dwie trzecie objętości stanowi materiał ilustracyjny, ale bardzo pragnę, aby dzieło ich życia wyróżniało się także jakością i formą, a to kosztuje... I znowu koło się...

Czas mija, prowincja coraz bardziej stroi się w kiczowate piórka, a ludzie, którzy byli jej pamięcią, sercem i sumieniem, odchodzą. Na szczęście zostają fotografie i zapis utkany przez pochłoniętych jej urokiem pasjonatów, na który, po części pokazanej na wystawie w Galerii Dobrej Sztuki, czekamy tak, jak się czeka na objawienie czyjegoś marzenia.



Jacenty Dedek, portret prowincji.pl

Copyright © **TOWARZYSTWO GALERIA LITERACKA**

Redakcja:

Barbara Strzelbicka (sekretarz redakcji), Bogdan Knop (redaktor naczelny), Ida Jadwiga Łubińska, Magdalena Syguda.

Stali współpracownicy:

Małgorzata Franc, Izabela Kołdej-Ptak, Małgorzata Nowakowska-Karczewska, Alicja Nowak, Elżbieta Gola, Janusz Mielczarek, Aleksandra Keller, Jacek Gierasieński, Marian Panek, Agnieszka Złota, Andrzej Kalinin, Tomasz „Aztzenty” Barański, Wiesława Owczarek, Jan Ciesielski, Jarosław Kapsa, Anna Jędryka, Zbysław Janikowski.

Projekt graficzny okładki:

Marta Konieczny

Skład:

J.M.K., Jarosław Leszczuk (redaktorzy techniczni)

Druk:



Drukarnia Usługowa „Gryf”

ul. Garibaldiiego 14 a

42-200 Częstochowa

www.gryf.czyst.pl

Printed in Poland.

Wydawca:



Towarzystwo Galeria Literacka

ul. Metlera 4

42-224 Częstochowa

Adresy e-mail do przysyłania materiałów w formie elektronicznej:

galeria.literacka@gmail.com

Krajowy Rejestr Sądowy nr: 0000545735 Regon: 360871693 NIP: 9492200168

Nr rachunku: mBank 06 1140 2004 0000 3302 7814 7608

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca i nie przechowuje.

W tekstach przeznaczonych do druku zastrzega sobie prawo do skrótów i zmian tytułów.

ISSN 2449-5328



Altea Leszczyńska: bez tytułu, fotografia cyfrowa

FOTOgaleria



Jacenty Dędek: portretprovincji.pl